



Ewa
Bagłaj

DUBLERKA

Dalsze przygody bohaterki *BROSZKI*

Świat Książki

Ewa
Bagłaj

DUBLERKA

Świat Książki

*Nie można kochać za bardzo, zawsze Kochamy za mało;
bo to, co wydaje nam się nadmiarem - to może miłość siebie
lub miłość miłości.*

Anna Kamińska

Od autorki

Serdecznie dziękuję Czytelnikom *Broszki* za życzliwe przyjęcie książki i sympatyczne spotkania. Dajecie mi naprawdę wiele radości! Na Wasze pytania o dalsze losy bohaterów odpowiadam w *Dublerce*. Jest to również całkowicie wymyślona historia, a postaci - wbrew pozorom - fikcyjne.

Rozdział pierwszy

- To zwierzę jest wściekłe! - Poprzez szum ulicy przedarł się histeryczny kobiecy głos. - Niech ktoś zabierze stąd tego czarnego diabła!

Na przystanku autobusowym zawrzało. Pyszny karry ogier bez jeźdźca i bez siodła znalazł się nagle w centrum podwarszawskich Łomianek. Przygalopował nie wiadomo skąd. Omal nie wpadł pod autobus linii podmiejskiej, zwany ełką. Koń zdażył w ostatniej chwili, bokiem otarł się prawie o przedni zderzak. Pojazd zahamował z piskiem opon, które miażdżyły wykruszone spod kopyt pecyny błota, podczas gdy zwierzę dobiegło już do trawnika po przeciwnej stronie. Ludzie, kryjący się dotąd przed jesienną mżawką pod zadaszeniem, rozbiegli się w panice we wszystkie strony. Mokra sierść karosza pieniała się z nerwów i wielkiego wysiłku. Białe płaty odrywały się od pyska, kiedy muskał nim lśniące kolana. Po czym zadarł ku niebu głowę, ledwie widoczną spod bujnej frędzlastej fryzury, i zarżał donośnie. Skarga zagubionego w mieście zwierzęcia rozdarła powietrze i wstrząsnęła kru-

czą grzywą, która sięgała sporo poniżej łopatki. Gęsty ogon spływał falami aż do ziemi.

Ogier ze zniecierpliwieniem grzebnał nogą i ruszył wzdłuż Warszawskiej zamaszystym kłusem, z elegancją, której nie powstydziliby się arab. Unosił wysoko kopyta i z rasową przesadą zginał nogi, a długie szczotki powiewały przy każdym kroku niczym hermesowe skrzydełka.

- Trzeba zadzwonić po straż miejską! - oprzytomniał ktoś z tłumu. Zdezorientowane zwierzę kręciło się niepewnie po wypielęgnowanym trawniku, wybijając szerokie kratery w rozmiękczonej ziemi. Zamieszanie powiększali kolejni przechodnie, ale auta jechały dalej jak gdyby nigdy nic.

- To chyba ten koń z serialu... - rozlegało się tu i ówdzie. - *Z Niestrudzonych.*

Kilku mężczyzn rzuciło się łapać domniemanego „gwiazdora”, ale karosz nie pozwolił do siebie podejść. Płoszył się, odskakiwał o parę metrów i dalej szukał drogi do stajni. Biegał to w jedną, to w drugą stronę wzdłuż jeżdżących się zabezpieczeniami luksusowych posesji. Wreszcie, zahukany przez nieumiejętnych naganiaczy, zawrócił na jezdnię. Klaksony samochodów w mig roztrąbiły się jak na paradzie. Koń wyminął sznur pojazdów zręcznym slalomem i zniknął w jednej z przecznic. Łoskot podków zamierał w oddali, by zaraz zagrzmieć ze zdwojoną siłą, gdy koń przekonał się, że trafił w ślepy zaułek. Po chwili ukazał się znowu w pełnej krasie - tak wspaniały i potężny, że mężczyzna z rozpostartymi ramionami, usiłujący zastąpić mu drogę, wydał się absurdalnie mały.

Kary demon błysnął oczyma, powleczonymi niebieskim blaskiem, jak to bywa u ogierów, i grożąc obnażonymi zębami, siłą przedarł się przez tworzony naprędce szpaler z ludzi. Na chodniku przerażona matka zasłoniła sobą wózek, gdy mijając ją, zachwiał się i potknął ze zmęczenia. Nie dał się osaczyć i przybiegł znów na przystanek przed moim domem. Pewny, że już wystarczająco oddalił się od prześladowców, schylił łeb i nerwowo szarpał zębami resztki paździenikowej trawy. Wodze, które dotąd frunęły za nim jak wąsy suma, teraz osunęły się przez szyję i upadły w błoto.

Na ten widok odzyskałam wreszcie władzę w nogach. Do tej pory stałam z reklamówką zakupów przy osiedlowym sklepiku, nie wierząc własnym oczom. Teraz przestraszyłam się, że koń znów się spłoszy i rzuci gwałtownie do ucieczki, a wtedy najpewniej zapłacze się w wodze i połamię nogi. Pasł się kilka metrów ode mnie. Spod „mokrej Włoszki” obserwowało mnie czujne oko. Jeden krok za dużo i gotów ruszyć z kopyta. Nie mogę mu na to pozwolić. Ale jak?

Spojrzałam na zawartość torby.

- Dobry konik, stój spokojnie - zachęcałam przeciągle, sięgając powoli po jabłko i rozłupując je na połowę. Drgnął na ten dźwięk i podniósł łeb, jakby chciał ostrzec swój tabun. Wodze ze splecionych w warkocz rzemyków zwieszały mu się z obu stron pyska jak skankanka. Ich końcówka dyndała niebezpiecznie blisko przednich nóg. Położyłam smakołyk na wyciągniętej dłoni.

- Oho, widzę, że masz na brzuchu ślad po popręgu.

Ktoś na tobie dzisiaj jeździł i uciekłeś mu spod stajni, co łobuzie? A może zgubiłeś swego jeźdźca razem z siodłem gdzieś w terenie? - paplałam bez sensu, byle melodyjnie. Słuchał. Nieznacznie przysuwałam się do niego, przypominając sobie rady mojego, a raczej nie mojego Filipa: „Broszka, jeśli chcesz złapać nieufnego konia, to nie podchodź do niego na wprost, ale bokiem, powoli, no i nigdy nie patrz mu w oczy”.

Poskutkowało. Najpierw ostrożnie, wyciągając raz po raz grubą, umięśnioną szyję, schrupał kilogram jabłek. Potem spokojnie pozwolił się schwytać - z ulgą oddał się pod opiekę człowieka. Samowolnie wyżarł mi jeszcze kajzerkę, nim otrzepałam ubrudzone wodze, i dał się odprowadzić pod ogrodzenie. Wokół nas, w bezpiecznej odległości, narastał tłumek ciekawskich. Prześcigali się w domysłach i komentarzach.

- Ale cudo, musi kosztować majątek...

- Ciekawe, komu zwiął...

- A ja wam mówię, że to Gruzin z tego serialu o konnej policji. Taki sam jak w telewizji - dowodził zwawy emeryt, spocony po obławie, którą przed chwilą samozwańczo komenderował.

Pochyliłam się do końskiego brzucha, żeby ukryć rozbawienie, i odruchowo sprawdziłam, czy nie ma otarć od siodła. Nie miał. W ogóle był fantastycznie utrzymany, ale prawdopodobnie bez kondycji. Wciąż dyszał ciężko. Chyba że przebył naprawdę długą drogę...

- A pani to taka odważna, że tak koło niego się kręci. Przecież może kopnąć.

- Albo ugryzie.

- Może to twój koń? - zagadnął odkrywco chłopak spętany bojówkami z radykalnie obniżonym krokiem.

- A wyglądam, jakbym wyszła ze stajni? - nie wytrzymałam i roześmiałam się. Kto się wybiera na jazdę w pantoflach na obcasie, białej bluzce i płaszczyku?! Wracałam z inauguracji roku akademickiego. Dopiero co zaczęłam studia na wymarzonej pedagogice w Warszawie, po cichu opłakując koniec wakacji w siodle. A tu proszę, okrzyknęli mnie właścicielką rumaka ze snów! Dobra wróżba. Bo w chwili, kiedy kary wyłonił się spomiędzy willowych zabudowań, zrozumiałam, że nie warto się oszukiwać: będę nadal jeździła konno, żeby nie wiem co! Nawet bez Filipa. Problem tylko, jak to pragnienie połączyć z chudością studenckiej kieszeni.

- Ciekawe, czy to naprawdę ogier Dawida Gryty? - powątpiewała kobieta w moherowym berecie. - Tu wkoło pełno jest różnych ośrodków. Najechało się tych stołecznych biznesmenów, pobudowali zamki i na konie jeszcze mają kasę. - Grymas rozgoryczenia ściągnął chudą twarz.

- Jak się pracuje, to się ma - uciał ten sam przedsiębiorczy emeryt. - A ja pani mówię, że to koń tego aktora. Zobaczysz pani, że mam rację, jak tu po niego przyjedzie!

Gruzin od września galopował przez stolicę na wielkich billboardach, reklamując nowe odcinki popularnego serialu - jako wierzchowiec głównego bohatera, dowódcy policyjnego patrolu konnego. W tej roli występował mój ulubiony aktor i reżyser, Dawid Gryta, który wreszcie mógł w pełni zaprezentować swoje kas-

kaderskie umiejętności. Trzymająca w napięciu fabuła, konie i jeźdźcy o wybitnych zdolnościach, w obsadzie same gwiazdy - nic dziwnego, że od kilku miesięcy *Niestrudzeni* skutecznie konkurowali z popularnymi serialami sensacyjnymi. Ja oglądałam nawet powtórki niektórych odcinków. Ale ani plakaty na mieście, ani zdjęcia ogiera publikowane w poczytnych tygodnikach, ani nawet ekran telewizyjny nie oddawały egzotycznej urody tego konia. Jego wygląd porażał. Gruzin lśnił, nawet stojąc w miejscu, a dumna postawa i błyskawica w oku nadawały mu przedziwny majestat.

- Jakby dopiero co zwyciężył w turnieju rycerskim - powiedział któryś z gapiów, sam nie wiedząc, jak blisko jest prawdy.

Przodkowie rasy fryzyjskiej, którą reprezentował Gruzin, służyli nie tylko krzyżackim komturom, jak ten sportretowany przez Matejkę w „Bitwie pod Grunwaldem”. Paradne i bojowe wierzchowce w czasie pokoju walczyły w turniejach rycerskich, a na wojnie budziły respekt demonicznym wyglądem. Nacierwały na przeciwników pewnym krokiem, jakby odrealnionym przez niezwykle zderzenie pełnego wdzięku ruchu z atletyczną budową ciała. Wrażenie siły i ogromu tych koni potęgowała dumna postawa - skutek wysoko osadzonej szyi. Wiem od Filipa, że początek tej rasy, wyhodowanej we Fryzji na pograniczu dzisiejszych Niemiec i Holandii, wywodzi się ponoć od zwycięskich rumaków armii Juliusza Cezara. No, no! Pomyśleć, że taki rodowód ma osobnik, który właśnie wpakował swą szlachetną mordę do mojej reklamówki w nadziei na znalezienie kolejnego smakołyku.

Ja od początku nie miałam wątpliwości, że to Gruzin, mimo że wszyscy przedstawiciele tej rasy są do siebie łądząco podobni. Maści karej bez odmian, z wyjątkiem małej gwiazdki na czole u niektórych, o sylwetkach jakby odlanych z jednej formy oraz grzywach i ogonach niczym sztormowe fale. Do Polski fryzy sprowadzono zaledwie kilka lat temu. Bardzo rzadko się je u nas spotyka. Tym bardziej że, jak słyszałam, kosztują fortunę. Gruzina jednak nie dało się pomylić z żadnym innym ogierem fryzyjskim, bo tylko on poruszał się naturalnym, niewyuczonym przez tresurę inochodem. To znaczy nie stawiał nóg na przemian, jak to zwykle robią konie, ale jednocześnie dwie prawe, a potem dwie lewe - jak żyrafa.

Dawid Gryta nie przyjechał po swojego wierzchowca dlatego, że karetka na sygnale odwiozła go do szpitala. Choć wtedy jeszcze nikt nie skojarzył z gwiazdorem jej wibrującego alarmu, który sporo wcześniej dało się słyszeć od strony Kampinoskiego Parku Narodowego. Zamiast limuzyny idola, której spodziewał się żądny wrażeń tłumek, przy krawężniku zaparkowały wkrótce radiowóz straży miejskiej i ciemnozielony gazik z wypsikany na masce graffiti. Czerwone i złote litery splatały się w ogniste logo ośrodka kaskadersko-jeździeckiego „Jupiter”.

Pasażer gazika był szybszy. Drzwi po jego stronie odskoczyły z impetem, pchnięte czubkiem oficerskiego buta. Za wypucowaną cholewą wyłoniła się reszta policyjnego munduru. Ubrany w niego mężczyzna obrzucił zbiegowisko bystrym spojrzeniem oczu osadzo-

nych w mocno ogorzałej twarzy. Mimo powagi w ich piwnej głębi czaiła się jakaś psotna iskierka.

- Dzięki. - Przejmując Gruzina, mrugnął do mnie rutynowo, w sekundę oceniwszy długie do pasa jasne włosy, figurę i ubranie. Widocznie wypadłam nie najgorzej, bo poprawił czapkę z uwodzicielskim błyskiem w oku.

- Uciekł wam z planu? - z radiowozu wygrzebał się strażnik z żądaniem wyjaśnień.

Opiekun konia zaczął się tłumaczyć, a ja, teraz przez obu ignorowana, odsunęłam się na bok.

- Broszka? A co ty tu robisz?

Kierowca gazika, na którego nie zwróciłam dotąd uwagi, wychylił się z drugiej strony auta. Wysiadł, a wtedy musiałam powędrować wzrokiem bardzo, bardzo wysoko, żeby dojrzeć jego uśmiech. Napotkałam znajome oczy.

- Kuba! Ale numer! Już przyjęli cię do pracy?

Poczułam się nagle tak, jakby lato na Podlasiu wcale się nie skończyło. Nie spodziewałam się, że tak szybko znów go spotkam. Poznaliśmy się na wakacjach i wkrótce wiedziałam już, że gdybym mogła mieć brata, to chciałabym właśnie takiego. Sporo razem przeżyliśmy, szukając klaczy, która zginęła z ośrodka w Kostomłotach, gdzie jeździłam. Historia Lolity trafiła do prasy. Grycie, znanemu miłośnikowi koni i kaskaderskich wyczynów, spodobało się, co zrobił Jakub, aby ratować cenną arabkę - a faktycznie dokonywał wtedy cudów zręczności! Reżyser postanowił zatrudnić go przy realizacji filmu o losach zaginionej klaczy. Ale przecież dopiero powstaje scenariusz. Tymczasem

Kuba stał teraz przede mną. Ubrany całkiem na czarno. Może przez to wyglądał tak jakoś inaczej, do-
roślej...

- Hej, co się stało z twoim kucykiem?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i przeciągnął dłońią
po ostrzyżonej głowie.

- Jeszcze nie mogę się przyzwyczać... To na potrze-
by *Niestrudzonych*. Jak widzisz, teraz czarny ze mnie
charakter. - Zademonstrował wyciągniętą z kieszeni
najprawdziwszą kominiarkę. Dwudziestoletni facet za-
dowolony jak dziecko, które może pobawić się w ban-
dytę. Cały zwariowany Kuba. - A on ma ze mnie zro-
bić kaskadera. - Ruchem głowy wskazał na policyjny
mundur walczący z niecierpliwym Gruzinem. Ogier
najwyraźniej odzyskał siły i zaczął się nudzić. Wiercił
się, potrzasał raz po raz łbem, a wyprowadzony z bło-
ta na chodnik przestępował z nogi na nogę, froterując
mokre płyty swoimi „mopami”.

Kaskader policjant skończył właśnie rozmawiać ze
strażnikiem i obrócił się do nas.

- Młody, wrócisz sam, a ja odprowadzę konia. I po-
spiesz się, bo może samochód potrzebny.

Choć był niski, spojrzenie towarzyszące jego sło-
wom automatycznie dodawało mu kilkanaście centy-
metrów. Gestem nieznoszącym sprzeciwu, choć bez
przemocy, pociągnął za sobą Gruzina na dwukilome-
trowy spacer do ośrodka położonego na skraju Puszczy
Kampinoskiej. Kuba posłusznie, choć bez entuzjaz-
mu wrócił za kierownicę. Włączył silnik. I zgasił.

- Słuchaj, przyszło mi coś do głowy. A może ciebie
dałoby się wkręcić na plan? Dopiero co zaczęły się

nagrania kolejnej serii odcinków. Będzie sporo scen z końmi, potrzeba jeżdżących statystów...

- A co się w ogóle dzisiaj stało? - przerwałam w obawie, że nie zdążę się dowiedzieć, dlaczego spieniony Gruzin trafił na główną ulicę Łomianek.

W tej chwili zapikał telefon Kuby.

- Znaleźliśmy... Nie, nie trzeba, poszedł spokojnie... Tak, chyba wszystko z nim w porządku... Okej, już jadę - rzucił w słuchawkę i zaraz się rozłączył. - To z „Jupitera”. Sorki, naprawdę muszę już lecieć. - Zaplątał pas i uruchomił silnik. - Nagrywaliśmy pościg. Gruzin spłoszył się i poniósł. Pękł popręg, Gryta spadł razem z siodłem. Stopa zaplątała mu się w strzemieniu i wciągnęło go pod brzuch konia. Cud, że to przeżył. - Chłopak pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widział na własne oczy. - W dodatku wiesz co? Rzemienie przy siodle były ponacinane. Dlatego się rozleciało.

- Ktoś umyślnie spowodował wypadek?!

Ale Kuba już nie usłyszał mojego pytania. Wystartował w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że sprawdzi się w swoim zawodzie.

Rozdział drugi

Zostałam sama na placu boju i, chcąc nie chcąc, skupiłam na sobie uwagę gapiów, którzy jeszcze się nie rozeszli. Ludzie przyglądali się niecodziennemu widowisku nie tylko z ulicy, ale i z okien pobliskich kamienic. Zupełnie jak by to było u nas w Terespolu, choć Terespol to małe miasteczko przy wschodniej granicy Polski, a tu - przedmieścia stolicy. Grzecznie opędziłam się od zajętych dociekaniem, kim naprawdę jestem i skąd znam ekipę filmową. Zawróciłam do sklepu Mariolki. Nawet nie zauważyłam, kiedy wyjrzała przed swój „Spożywczak”. W oryginalnym fartuszku ekspedientki, który sama zaprojektowała i uszyła ze skrawków tkanin w odcieniach brązu i pomarańczy, ze zdrowym rumieńcem na okrągławej buzi wyglądała jak najlepsza reklama swego małego biznesu. Podekscytowana, aż dmuchnęła w rudawą grzywkę równo przyciętą nad orzechowymi oczami. Cała była zawsze jakaś taka jesienna i zażywna, jak... kasztanowy ludzik. No, dałaby mi ona za to porównanie! Złapała mnie za rękaw płaszcza ubrudzony końską śliną.

- Opowiadaj!

- O nie, moja droga, padam z nóg. Szpilki to nie są buty dla ludzi. Lecę na górę. Pogadamy, jak skończysz robotę.

Wspięłam się po schodach na piętro. Sklep z magazynem zajmował cały parter. Na mieszkanie została góra niewysokiej kamienicy z łąt siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Budynek wołał już głośno o remont, ale dzięki temu stać nas było na czynsz. Uchował się między nowiutkimi willami, które ograniczały widok z okien. Każda z nich przewyższała ten dom o połowę. Zaś nasze największe okno, balkonowe od głównej ulicy Warszawskiej, przysłoniła wczoraj gigantyczna tablica reklamowa z filiżanką „polskiej herbaty o angielskim smaku” wielkości dwóch przenośnych toalet. Rano powitał mnie widok sześciu zębów znanej aktorki, które ukazywała w uśmiechu znad brzeżka porcelany. Nic więcej nie mieściło się w trój skrzydłowym oknie z perspektywy poduszki.

W kuchni dalej czuć było odgrzewaną kapustą, postną i bez przypraw. O nie, znów ta dieta! - przełknęłam rozczarowanie zamiast spodziewanego obiadu. Jak długo musi jeść tę paskudną zupę? Przez tydzień, jeśli dobrze zapamiętałam. Może nie wytrzyma. Mariolka to po mojej babci najlepsza kucharka, jaką znam. Mieszkałam u niej przez całe liceum i zdążyłam się przyzwyczaić. A teraz, kiedy przeprowadziła się na nowe miejsce i otworzyła wymarzony sklep, zabrała się za kolejny punkt życiowego planu. Ku utrapieniu mojego żołądka zaczęła się odchudzać. Nie to, żebym sama nie dbała o linię, ale te jej zupy kapuściane, diety pszeniczne i gotowane na parze kalafiory! Brrr...

Cisnęłam pantofle w kąt, wyszperałam w lodówce słoik domowej roboty sałatki i zagłębiając się w fotelu, strzeliłam pilotem w kierunku telewizora. Że też Gruzin musiał mi schrupać wszystkie jabłka. Swoją drogą to niemożliwe, żeby ktoś próbował zaszkodzić słynnemu reżyserowi. I to aranżując wypadek w taki naiwny, „babski” sposób: podcięcie rzemieni, które trzymają siodło na grzbiecie konia! Śmiechu wart podstęp rodem z romansów historycznych dla pań. I co, nikt tam nie sprawdza sprzętu przed jazdą? Chyba że ten, kto ubierał Gruzina, rzeczywiście nie dopilnował, w jakim stanie jest siodło - i po wypadku dorobił teorię spiskową, żeby uniknąć odpowiedzialności. Skakałam po kanałach, ale nigdzie nie było nic ciekawego, więc zostałam przy programie informacyjnym. Same ciekawostki i skandale, mało konkretów o gospodarce - jak to zwykle komentował ze złością dziadek. Ruszyłam nastawić wodę na herbatę. W szafce były oczywiście wszystkie rodzaje odchudzających, ale zwykłej czarnej już nie znalazłam. Widać miała nie kusić Mariolki. Nasypałam zielonej yamamoto. Czajnik zagwizdał nagłaco.

- Ten, zdawałoby się, tragiczny wypadek, na szczęście okazał się mniej groźny w skutkach, niż spodziewali się specjaliści - oznajmiał właśnie kobiecy głos z politycznie poprawnym optymizmem, kiedy odstawiałam wrzątek. Znowu jakaś katastrofa? Nie, tym razem chodziło o coś innego. Starannie modulowany alt kontynuował:

- Jak poinformował nas rzecznik kierownika produkcji, złamanie stawu skokowego oraz ogólne obra-

żenią nie przeszkodzą Dawidowi Grycie w realizacji nagrań. Reżyser prawdopodobnie już jutro opuści szpital, gdzie został poddany...

Zdażyłam' dobiec w ostatniej minucie prezentowanego materiału. Nagranie z pleneru należącego zapewne do ośrodka „Jupiter” pokazywało, jak rozpędzony Gruzin spłoszył się, uskoczył w prawo i ruszył na jednego z operatorów. Gryta nie zdążył zatrzymać konia, ale kamerzyście w ostatniej chwili udało się uciec. Ogier staranował porzuconą kamerę ze statywem i popędził w kierunku bramy wyjściowej, częściowo zastawionej czymś w rodzaju wozu transmisyjnego. Wtedy pękł popręg i jeździec zrolował się wraz z siodłem pod młóćące kopyta. Aktor miał szczęście, że nie został strącony - impet uderzenia poszedł na szkielet siodła, którym ten odruchowo się osłonił, upadając na podjazd parę metrów przed otwartymi wrotami. Ostatni kadr był zbliżeniem na grymas bólu wykrzywiający poranioną żuźlem twarz. Tym razem Gryta nie grał.

Ta migawka z ostatniej chwili zaskoczyła mnie. Nie sądziłam, że powiedzą o wypadku w telewizji, a już na pewno nie spodziewałam się, że tak szybko. Ze słów prezenterki wynikało, że Gruzin błąkał się samopas po okolicy co najmniej dwie godziny. Ktoś z „Jupitera” potwierdził też nieoficjalnie podejrzenia członków ekipy filmowej, którymi zdążył podzielić się ze mną Ku-ba - że ktoś umyślnie doprowadził do wypadku.

A jeśli nie? Może twórcom serialu tak bardzo zależy na reklamie, że nie zawahali się wykorzystać do celów promocyjnych nawet przypadkowej kontuzji ulubień-

ca publiczności? Inna sprawa, że trudno uwierzyć, by coś takiego spotkało akurat Grytę, przy jego refleksie i doświadczeniu. Tyle razy podziwiałam na ekranie jego popisy jeździeckie. Nawet w niebezpiecznych scenach szarżował niczym urodzony kaskader. Taki był z siebie dumny, tak chełpił się w licznych wywiadach tym, że nigdy nie wyręcza się dublerami. Kto jak kto, ale on przecież nie dałby się zaskoczyć i, co gorsza, pokonać przez uszkodzony popręg! Tak mi się przynajmniej do tej pory wydawało. Ale przecież sama złapałam dziś Gruzina, głaskałam go, mam jeszcze na rękach i ubraniu jego zapach... Co za koń! Żeby tak choć raz się na nim przejechać... Zobaczyć, jak to jest, dosiadać fryza, który w dodatku gra w filmach i zna pewnie niejedną cyrkową sztuczkę. No i należy wiadomo do kogo... Właśnie, ciekawe, czy uda mi się z tym statystowaniem. Tak czy owak wybiorę się do „Jupitera”. Tym bardziej, że Kuba już tam jest. Myślałam, że Gryta zatrudni go dopiero w przyszłe wakacje, kiedy mają rozpocząć się zdjęcia do filmu o Lolicie.

To spotkanie mnie jednak rozbiło. Tak starałam się nie myśleć o Filipie, a teraz tęsknota za nim wróciła ze zdwojoną siłą. Odżyły wszystkie wspomnienia i to nie tylko te bolesne z ostatnich wakacji, ale te najwspanialsze, z dwóch lat, kiedy wszystko było między nami takie ładne. Pierwsze spotkania w lecznicy, gdzie miał praktykę weterynaryjną. A potem, gdy skończył studia i otworzył własny gabinet w Kostomłotach, w pobliżu ośrodka jeździeckiego Wujka. Wszyscy tak go nazywali, choć prawdziwym wujkiem był tylko dla Filipa. Jeździłam tam, piętnaście kilometrów w jedną stronę

z Terespoła, gdzie mieszkałam z dziadkami, którzy mnie wychowywali po śmierci rodziców. Albo ponad dwieście kilometrów z Warszawy, kiedy tylko udało mi się urwać ze szkoły. Te wspólne przejażdżki w terenie! Galop po łące, w lecie białej od kwiatów dzikiej marchwi. Nam tylko znane ścieżki w sosnowych zagajnikach nad Bugiem, gdzie co jakiś czas natykaliśmy się na słupy wytyczające granicę z Białorusią. Trucht w cieniu łanów kukurydzy i niepohamowany na nią apetyt naszych wierzchowców. Spacer rozświetloną ścieżką między polami kwitnących słoneczników. Bajka!... Za to właśnie kocham konie i Podlasie. Szczególnie w Kostomłotach wszystko było wtedy magiczne, lepsze niż gdziekolwiek indziej.

Filip niestety też. Chociaż... Co z tego, że przez cały czas mnie oszukiwał? Może to był jednak błąd, że nie dałam mu szansy, kiedy tak bardzo o nią prosił? Przecież niczego nie chcę bardziej niż tego, żeby z nim być. Powiedział, żebym zadzwoniła, jeżeli zmienię zdanie... Gdzie mój telefon? Zrywam się z fotela, myszkuję po pokoju. Komórkę mam od niedawna i jeszcze nie zdążyłam się do niej przyzwyczaić. Przetrzęsam torebkę, grzebię w bałaganie na biurku. Szybko, szybko, żeby nie zdążył dojść do głosu rozsądek. Wystarczy jedna rozmowa, by wszystko zmienić...

- Już jestem! - w korytarzu wesoły głos Mariolki i jej cygańska spódnica wyfruwająca spod roboczego fartucha, który łąduje na przeciążonym wieszaku.

Nie zdążyłam i już nie zadzwonię. Współlokatorka wsuwa stopy w czekoladowobrazowe kapcie i od progu nawija o dzisiejszej sensacji.

- A ten przystojniak od konia to kto? Ty go znasz?

No wiadomo, za Kubą wszystkie się oglądają. Uśmiechnęłam się mimowolnie na wspomnienie dnia, kiedy poznaliśmy się na kąpielisku. Potem okazało się, że przyjechał do rodziny w Kostomłotach.

- To ten chłopak, o którym ci opowiadałam, że Filip taki był o niego zazdrosny. Bo wpadłam Kubie w oko od samego początku i tamten się bał, czy aby nie z wzajemnością. Ale bez obaw - pospieszyłam z zapewnieniem.

Ciekawe, czy nadal tak mu się podobam, pomyślało mi się. Choć, prawdę mówiąc, nietrudno to odgadnąć z dzisiejszego zachowania Kuby. Tylko czemu ja dostaję to, czego nie potrzebuję, a tego, o czym marzę, pewnie nigdy nie będę miała? A co najgorsze, sama o tym decyduję. Dorosłość jest stanowczo zbyt skomplikowana.

- Ale ja pytam o tego drugiego, w mundurze! - zniecierpliwiła się Mariolka. - Musisz mnie z nim koniecznie poznać.

Hmm, nigdy nie nazwałabym go przystojniakiem!

- Jego nie znam, tyle co po dzisiejszym. No i ze strony internetowej *Niestrudzonych*. To Serafin, jeden z najlepszych kaskaderów w Polsce. Ale uważaj, on ma opinię Don Juana!

Nie wiem, za co oberwałam jabłkiem, aż zabolęło. Ale dobrze, że przyniosła ich całą siatkę.

Rozdział trzeci

Niewiele brakowało, żebym w ogóle nie wybrała się do „Jupitera”. Po pierwszym tygodniu na studiach przeżyтым w stresie i niedospaniu, nie załatwiwszy kilku ważnych spraw, miałam ochotę tylko na jedno: jak najszybciej rzucić naukę i wracać do domu. Nie dość, że plan zajęć zmieniał się jak talia kart tasowanych co dzień według innego klucza - i podobnie jak komputerowy pasjans wciąż nie chciał się właściwie ułożyć - to jeszcze okazało się, że pedagogika ma niewiele wspólnego z dziećmi. Natomiast stanowczo zbyt dużo z kolejkami do ksero i przesiadywaniem w czytelnii. A już ten przydzielony mi referat o idei wychowania w starożytnej Sparcie!

W sobotnie przedpołudnie buntowniczo zakopałam się pod kołdrą po sam koniec warkocza.

- To już nie chcesz grać w *Niestrudzonych*? - Mariolka wzięła mnie na ambicję. - Twoja sprawa, ale skąd wiesz, czy nie przesypiasz właśnie życiowej szansy?

O nie, ta znów naczytała się jakichś poradników o samorealizacji. Odwróciłam się do ściany na znak

protestu. Ale nie poczułam się lepiej. Co gorsza, ona ma rację. Sama niedawno doszłam do wniosku, że najbardziej opłaca mi się żyć intensywnie. Zwłaszcza teraz, kiedy mam dziewiętnaście lat i jestem już dość dorosła, aby móc robić wiele rzeczy, których wcześniej nie było mi wolno. A przede wszystkim bardziej samodzielna. I dość młoda, żeby jeszcze przymierzać różne role, szukać i próbować, aż będę wiedziała, co chcę robić, jakim być człowiekiem i co jest dla mnie najważniejsze. Trzeba wycisnąć z życia, ile się da, nawet przy obecnych możliwościach, dość skromnych w porównaniu z wymarzonymi.

A tymczasem strój do jazdy konnej, rzucony w ką, pokrywa się wymownie warstewką kurzu. Trzeba wstać i przynajmniej go otrzepać.

Oba ośrodki były ufortyfikowane niczym więzienie wojskowe. Każdy z nich otaczały grube mury, na oko ze trzymetrowej wysokości, zakończone drutem kolczastym. Wewnątrz nich stały dawne koszary, przerobione na stajnie i budynki gospodarcze. Znalazło się też miejsce na wybiegi dla koni oraz plac do ćwiczeń jeździeckich. Niezagospodarowaną resztę kilkuhektarowego obszaru porastały drzewa. Ich korony przy murze stykały się z sosnami należącymi już chyba do Puszczy Kampinoskiej. Pierwszy z ośrodków - „Filmowa Stajnia Treningowa” przy ulicy Zielonej miał dłuższą tradycję i podobno cieszył się w branży zasłużoną sławą. Młodszy od niego „Jupiter”, do którego musiałam iść wzdłuż ściany lasu jeszcze spory kawałek, dopiero zdobywał popularność. Głównie dzięki *Niestrudzonym*.

Wejścia na teren ośrodka broniła zamknięta brama. Gdyby już z daleka nie błyszczała tak nowością, spokojnie mogłaby równać się z wrotami Alcatraz. Zadzwońłam do budki strażnika. Cisza. Spróbowałam jeszcze raz.

- Do kogo? - zaskoczył mnie średnio uprzejmy głos, kiedy już miałam się wycofać.

- Zastałam Jakuba Borka?

Co prawda nie umówiłam się na konkretny dzień, licząc, że w weekend na pewno go tu spotkam. W każdym ośrodku jeździeckim to najbardziej pracowite dni w tygodniu, a ten zapewne nie należał do wyjątków. Prócz koni filmowych, które na co dzień dorabiały przejeżdżkami rekreacyjnymi, mieszkało tu w takim pensjonacie sporo wierzchowców prywatnych właścicieli.

Nie pomyliłam się, Kuba gdzieś tu był.

- Znajdziesz go pewnie na maneżu za budową. Tylko musisz iść dookoła, bo tu nie ma przejścia. O tędy, i skręcić za tymi workami z cementem. Trafisz, co?

Brama uchyliła się przede mną. Prześlizgnęłam się, a wtedy rozchyliła się szerzej przed zastępem kucyków, na których wracały z terenu dzieci ubrane w markowe bryczesy i skórzane sztylpy. Zapachniało uprzężą i końskim potem. Nie wyjdę stąd, dopóki nie wsiądę na konia - postanowiłam, ściskając w ręku ulubiony toczek. Daszek miał nieco przekrzywiony, a czarny zamsz wytarł się od używania w słońcu i deszczu. Ale ten toczek zawsze przynosił mi szczęście.

Nad placem budowy górował olbrzymi szkielec ze stalowych prętów. Rozmachem konstrukcja przypominała

nała hangar, lecz pewnie była raczej zaczątkiem ujeżdżalni z prawdziwego zdarzenia. Fajnie, będą mogli organizować pokazy jeździeckie i różne inne imprezy dla publiczności niezależnie od pogody. Widać serial przynosi zyski, skoro jego producenta, a zarazem właściciela „Jupitera”, stać na taką inwestycję. Domyślałam się, że ma też dobrych menedżerów, którzy kierują pracami pod jego nieobecność. Bo od lat mieszka głównie za granicą, gdzie łatwiej mu znaleźć sponsorów dla swoich projektów filmowych.

Najpierw usłyszałam stek przekleństw. Potem na placu ogrodzonym białymi drągami dostrzegłam Gruzina. Ogier w pełnym rynsztunku stał dęba z gotowymi do ataku kopytami. Szeroką piersią i młócającymi powietrze nogami groził człowiekowi, który cofał się przed nim w stronę barierki. Kuba jedną ręką osłaniał głowę, w drugiej ścisnął kij do bejsbolu, ale nie zdążył się nawet zamachnąć. Rozjuszony koń opadł na przednie nogi, wytrącając chłopakowi broń z ręki. Kuba uskoczył w róg ujeżdżalni, nie dając za wygraną. Dostrzegł na ziemi inny porzucony kij. Chwycił go i zaczął na oślep okładać bok i łopatkę ogiera, który znów wspiął się, by zatriumfować nad człowiekiem w pozie bojowego rumaka spod Grunwaldu. W siodle Serafin balansował ciałem, pomagając zwierzęciu utrzymać jak najdłużej równowagę.

- Dosyć! Znowu źle! - reżyser poparł swoje niezadowolone kolejną wiązką. Dopiero teraz zauważyłam Grytę. Wyłonił się z drugiej strony budowy i kuśtykał o kulach w kierunku ćwiczących. Miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę, co upodabniało go do tu-

tejszych pracowników, a mimo to roztaczał niewytłumaczalną aurę elegancji. Zresztą była ona dominującym wrażeniem, jakie wywierał na bliźnich. Nie tylko na ekranie. Jego wizerunkowi nie zaszkodziło nawet to, jak niezdarnie poruszał się z gipsem na lewej nodze. W gruncie rzeczy wyglądał całkiem zwyczajnie, wręcz przeciętnie. Trochę niższy ode mnie, szczupły blondyn przed czterdziestką. Tym razem bez okularów, w których do niedawna lubił się pokazywać. Za to z plastrami na twarzy.

- Jeszcze jedna próba i na dzisiaj koniec - zarządził i zmusił kaskaderów do wysłuchania wskazówek, jak mają ustawić się do tej sceny, żeby ją lepiej zagrać. Serafin najwyraźniej dostał jego rolę, a Kuba pewnie miał dublować Pawła Wegnera, grającego czarny charakter, głównego przeciwnika niezłomnego komisarza. Gruzin kolejny raz wcielił się w konia policyjnego, który pomaga poskromić rozwydrzony tłum. Wyobraziłam go sobie, jak miota się pośród morza statystów.

Jakub poprawił na ramieniu skórzany ochraniacz pozoranta i sięgnął po udającą kij do bejsbolu pałkę z lekkiej pianki, jakiej używa się do wyrobu filmowych manekinów. Jeździec i człowiek znów starli się w walce na śmierć i życie. A ja, dotąd niezauważona, zbierałam się na odwagę. W końcu Gryta, chociaż sławny, to przecież człowiek, jak Kuba czy ja - tłumaczyłam sobie. Ale nie pomagało. Dla mnie zawsze będzie niezwykły jak bohater, którego gra. A choć dawno przestał być ideałem, w którym kochałam się na zabój przez dwa lata później podstawówki, to nadal uważa-

lam go za największy autorytet jeździecki. Mam podejść do niego tak po prostu i zapytać o możliwość statystowania? Żeby mnie wyśmiał, kiedy zobaczy, jak jeżdżę? Amatorszczyzna i tyle.

Ale uciec nie było jak. Właśnie dostrzegł mnie Serafin. Oczy mu błysnęły spod nasuniętej na czoło „oprychówy”, wypchanej chyba gazetami, żeby była wyższa. Po skończonym ćwiczeniu podjechał do ogrodzenia i zeskoczył. Z boków ogiera unosiły się kłęby pary.

- Masz, występuj go porządnie. Dzisiaj Ignac trochę się spóźni, ale prosił poczekać. Sam odprowadzi go do pana Dawida, jak zwykle - powiedział i rzucił wodze chłopakowi, który wybiegł ze stajni tak szybko, jakby tylko na to czekał. Wcale mu się nie dziwiłam. Wskoczył na siodło bez opierania się o strzemię. I choć wyraźnie marzył o tym, żeby sobie poszaleć, ruszył grzecznym spacerkiem po wydeptanej wzdłuż ogrodzenia ścieżce. Po dużym wysiłku koń nie mógł wrócić od razu do stajni, bo by zachorował.

Nagle poczułam się idiotycznie, stercząc tak z wysłużonym toczkiem w rękę. Nie trzeba go było brać ze sobą. Od razu widać, po co przyszłam.

- Kolejna chętna na statystkę? - zagadnął nieźyczliwie Gryta, nawet się nie zatrzymując, gdy mnie mijał. A kiedy przytaknęłam ze ściśniętym przez trewę gardłem, prychnął: - Ile razy mam powtarzać, że ja się tym nie zajmuję! To wytwórnia organizuje castingi i do niej trzeba się zgłaszać. A w ogóle, dziewczyno, jak ty tutaj weszłaś?

Odwrócił się, najwyraźniej nie czekając na odpo-

wieść, i przyspieszył. Z trudem maskował ból, jaki sprawiał mu każdy krok. Nie interesował się więcej ani mną, ani swoim ulubionym wierzchowcem.

- Wziąłbym cię chociaż do pomocy przy koniach. Nieźle sobie poradziłaś wtedy z Gruzinem - Serafin próbował ratować niezręczną sytuację, chyba z wrodzonej życzliwości dla kobiet. Puścił do mnie pocieszające oko. - Ale szef się nie zgodzi. Nie chce, żeby ktoś obcy się tu kręcił. Zwłaszcza po tym wypadku.

Uśmiechnął się do mnie. Na jego twarzy, ciemnej od ciągłego przebywania na słońcu i wietrze, dopatrywałam się kilku starych blizn, może pamiątek po nauce zawodu. Miał dwadzieścia pięć lat, a wyglądał na trzydziestkę. I na człowieka zadowolonego z tego, co ma. Tak swojsko się z nim rozmawiało jak z dobrym znajomym.

- Widziałam w telewizji, jak to wyglądało. Naprawdę ktoś celowo uszkodził ten popręg? - rąbnęłam, zanim zdążyłam się zastanowić, czy wypada o to pytać.

Chyba nie wypadało. Bo zrobił się czujny, choć usiłował pokryć to obojętnością.

- Cholera wie. - Wzruszył ramionami. - Mnie się widzi, że w końcu szwy się naderwały od używania.

A mnie się zdaje, że ty nie wiesz, co ci wolno powiedzieć, a czego nie, pomyślałam. W tej chwili Kuba wyłonił się z magazynu, gdzie chował rekwizyty. Na złożonych rękach niósł... dwa miecze.

- Ty, Jagiełło, zostaw tę panią w spokoju. Zapomniałeś, że masz lekcję fechtunku z chłopakami? - wskazał

na grupę harcerzy, którzy zbierali się przy głównej stajni.

- Dzięki, Młody - Serafinowi było wyraźnie na rękę, że uwolni się od niewygodnego tematu. Bo nawet się nie oburzył, że to on przecież tutaj rządzi. Chyba że tak już się zżyli ze sobą. Jakuba w zasadzie wszyscy lubią. Potrafi dogadać się z każdym i chętnie pomaga, kiedy może się przy tym popisać sprawnością.

- Kandydaci do mojej grupy kaskaderskiej. Tak że pardasik - Serafin rozłożył ręce w geście przeprosin, po czym śmignął sprężystym krokiem. W czapeczce, która może dodawała mu wzrostu, ale powagi na pewno nie.

Kuba, zadowolony z siebie, zmrużył powieki, posyłając mi ten swój czuły uśmiech zamknięty w błysku oczu, który tak lubią dziewczyny.

- Sorki za Grytę. Nie miałem pojęcia, że tak cię potraktuje. Złości go ta noga. Wczoraj dokończyliśmy scenę pościgu. Ale Serafin musiał go zastąpić. Pierwszy raz mistrzu potrzebował dublera w konnej scenie. Czaisz, jak go nosiło? Trzeba było to widzieć. Jeszcze nie doszedł do siebie. Dlatego tak się wyżywa na wszystkich - tłumaczył, a ja zazdrośnie śledziłam poczynania chłopaka na fryzyjskim ogierze. Dwie prawe nogi, dwie lewe nogi... Ciekawe, jak to się czuje w siodle. Pewnie człowiek ma wrażenie, że jedzie na wielbłądzie.

- Ale ty mnie wcale nie słuchasz - pożalił się nagle blondyn o wdzięk dziecka i posturze kulturysty.

- Skąd - zaprzeczyłam odruchowo. - A kto go ubierał przed wypadkiem?

- Grytę?!

- No przecież o Gruzina pytam! - Spojrzałam na niego z głębokim niedowierzaniem, jakbym miała prawo się dziwić, że nie usłyszał moich myśli.

- Tu cię mam! Jednak nie uważałaś - ucieszył się, że na jego wyszło. - Serafin, jak zwykle.

Nie byłabym sobą, gdybym nie chciała rozwiązać tej zagadki. Już widzę minę reżysera, kiedy dowiaduje się, że to zasługa niepozornej osóbkki, którą tak haniebnie zlekceważył. Ho, ho! Wtedy pewnie znalazłoby się dla mnie miejsce w „Jupiterze”. A ja poprosiłabym o przejażdżkę na Gruzynie. Albo jeszcze lepiej o lekcję pod okiem najlepszego jeźdźca spośród aktorów. No, w ostateczności, gdyby z Grytą się nie udało, mógłby ją poprowadzić Serafin. Który może wie coś na temat wypadku, ale nie powie. Czy aby na pewno nie? Oświeciło mnie znienacka, co mogę zrobić, dopiero przy bramie wyjściowej i od razu zawróciłam. Kuba właśnie zabierał się do czyszczenia boksów. O, to już prac stajennych się nauczył. Może i na jazdę konną ktoś go w końcu namówi, bo mnie się do tej pory nie udało.

- Prawie bym zapomniała! Moja współspaczka ma urodziny w następną niedzielę. Chcę jej zrobić niespodziankę. Taką małą imprezkę. Może byś wpadł?

A kiedy potwierdził, w pierwszej chwili zdumiony moim nagłym porywem sympatii do niego, obniżyłam mu trochę samoocenę pytaniem o Serafina.

- Najlepiej sama go zaprosz - skrzywił się.

- Jakoś mi głupio. No i nie chcę mu teraz przeszkadzać. Ale wiesz, Mariolce on chyba wpadł w oko - dodałam, żeby nie wyszło, że mnie. Bo na przekór

jeszcze gotów go nie zabrać. A wtedy stracę jedyną szansę na to, żeby poznać prawdę o wypadku.

Uszczęśliwiona na zapas, zebrałam się w końcu do wyjścia. Może tu jeszcze wróć? Pomocnik Gryty, o którym wspomniał kaskader, wyprowadzał właśnie konia z ośrodka. Przez chwilę szłam za nim, aż skręcił na posesję, gdzie z nowoczesną willą sąsiadowała przydomowa stajnia, w której reżyser trzymał swego sławnego pupila. Zamykając furtkę od strony Kampinosu, Ignac obejrzał się za mną. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Upewniłam się, że dobrze go rozpoznałam.

- Dzień dobry - zawołałam wesoło, ale udał, że nie słyszy, i nie odpowiedział. Nie zdążył jednak ukryć przelotnego grymasu zaskoczenia, kiedy i on skojarzył, że już się wcześniej spotkaliśmy.

To mnie zastanowiło.

Rozdział czwarty

W poniedziałek pomiędzy zajęciami dopadłam wolnego stanowiska w sali komputerowej. Niecierpliwie wdarałam się na stronę internetową serialu, żeby sprawdzić datę i miejsce castingu dla statystów. Środa. Kiepsko. Dwa wykłady i półtorej godziny ćwiczeń z psychologii rozwojowej. Obowiązkowych... No trudno, trzy razy można nie być, a to by była dopiero moja pierwsza nieobecność.

O, jest już galeria fotosów Gruzina. Jego debiut w filmie fantasy, gdzie woził przywódcę wojowniczych elfów. Ogier jest wystrojony, jak przystało na konia władcy mitycznej krainy, w kropierz wyszywany rybiemi łuskami. Na łbie ma prawdziwie demoniczny, rogaty bukranion. Dalej jako wierzchowiec Krzyżaka w epizodzie polsko-niemieckiej produkcji, której też nie oglądałam. Poczekam, jak zwykle, aż puszczą film w telewizji. Dalej cała seria kadrów z *Niestrudzonych*. Wy różnia się tu czarnym kleksem na tle gniasoszy i kasztanów reszty oddziału warszawskich policjantów. Ze wszystkich koni, których do tej pory dosiadał Gryta

w swoim serialu, Gruzin pierwszy odznaczył się medialną osobowością. O ile można to powiedzieć o zwierzęciu. Przy takiej urodzie, temperamencie i zdolnościach kaskaderskich oraz jedynym w swoim rodzaju, a do tego eleganckim i harmonijnym - jak to u fryzów - ruchu, cechował się typowym dla tej rasy szczerym charakterem i chęcią do współpracy z człowiekiem. Z widoczną na fotografiach sympatią traktował fanów, którzy usiłowali dotknąć go - lub nawet zdobyć włos z jego bujnego ogona! - na festynach promujących nową serię odcinków. Nie miałam pojęcia, że przez cały wrzesień tyle się działo wokół serialu. Gruzin tak się wdzięczył do fotoreporterów, że na większości zdjęć pozostawiał swemu panu jedynie drugi plan. Tak samo w tabloidach - pojawienie się nietypowego ogiera odwróciło uwagę dziennikarzy od spekulacji na temat sekretów prywatnego życia aktora. Dawno już nie czytałam żadnych rewelacji o rzekomym romansie mojego ulubieńca z Kasią Rutkiewicz, odtwórczynią głównej roli kobiecej w *Niestrudzonych*, a od kilku lat stała partnerką innego popularnego aktora z obsady, Pawła Wegnera. Plotki były tym pikantniejsze, że serialowi wrogowie poza ekranem uchodzili przecież za najlepszych przyjaciół. Wstrętne rzeczy wypisywano w niektórych tygodnikach, ale ja wolałam wierzyć, że Dawid Gryta jest sam - jak podkreślał w autoryzowanych wywiadach dla luksusowych magazynów. Przynajmniej odkąd dawno temu rozstał się ze swoją sympatią z czasów łódzkiej filmówki.

Tego nie spodziewałam się znaleźć... Zuza Anna, scenarzystka od lat współpracująca z Grytą przy wszyst-

kich jego produkcjach, wykłada na mojej uczelni! Na wydziale polonistyki, to prawie po sąsiedzku. Przedmiot nazywa się „kreatywne pisanie”. Cokolwiek to jest, warto by się zacząć. Jeśli to wykład otwarty, pozwolą mi chodzić. Może tym sposobem zbliżę się trochę do ekipy serialu? Tym bardziej, że mogę się nie zakwalifikować na statystkę.

Link na prawym marginesie odesłał mnie na strony uniwersytetu. Porównałam plany zajęć. Czwartek po południu mam na szczęście wolny. Motyla noga, ograniczona liczba miejsc! Pewnie zebrał się już komplet. Ale co mi szkodzi spróbować? Mało mam do stracenia, a dużo do zyskania.

Poszłam do automatu po colę i przygotowałam się na długie czekanie. Zasiedziałam się w internecie i na swoje zajęcia byłam już spóźniona za bardzo, żeby wejść. Ale chciałam złapać Zużę Annę jeszcze dzisiaj na jej dyżurze.

- Ja... Ponieważ brałam udział w poszukiwaniach Lolity, to pomyślałam... Skoro jej historia stanie się kanwą nowego filmu pana Gryty, to może... To znaczy, może ja bym się na coś przydała? - zdeterminowana, chwyciłam się ostatecznego argumentu. Spodziewałam się, że Zuza Anna nie będzie zachwycona nadprogramową studentką, ale liczyłam, że uda mi się ją przekonać, że nie chodzi mi o brakujący wpis w indeksie (każdy musiał mieć ich określoną liczbę), ale o uczestniczenie w jej zajęciach choćby na zasadzie wolnego słuchacza. To, że znam realia związane ze sprawą Loli-

ty i mogłabym co nieco podpowiedzieć, wytoczyłam jako swój niezaprzeczalny atut.

- *Ja* nie piszę tego scenariusza. - Duże czarne oczy spojrzały na mnie wręcz z nienawiścią. Zuza Anna była wyniosła i piękna. Jasna cera, kruczne włosy, ubrana z klasą. Wyższą społeczną. Kostium pochodził ze sklepu z gatunku tych, do jakich nigdy nie zaglądam. Miałam ochotę się rozpłakać. Za co spotykają mnie ostatnio same upokorzenia? Babcia ma rację; zawsze powtarza, żeby się nie wychylać. A ja szukam nie wiadomo czego. Teraz to już osiągnęłam Himalaje bezmyślności. Jak mogłam nie pamiętać!

- Tak, wiem... Po prostu zapomniałam. Pan Gryta zlecił to reporterce ze „Słowa Podlasia”. Ona pierwsza opisała tę historię tak fajnie... Tę panią też znam - ze zdenerwowania brnęłam dalej, lekceważąc ostrzeżenie, które pojawiło się w zwężonych oczach. Przeprosić za najście i zniknąć, nie zabierając scenarzystce cennego czasu - zrozumiałam ciut za późno. Jej nogi, szczupłe i drobne jak u dziewczynki, splecione ciasno w kostkach, kiwały się coraz intensywniej pod krzesłem. A wraz z nimi czarne czółenka z małą kokardką, na prawie płaskim obcasie.

Nagle znieruchomiały.

- Pani... Jak ma pani właściwie na imię?

- Bronisława - prawie wyszeptałam. No nie, musiała w dodatku pogрузić mnie do końca, zahaczając o największy kompleks.

- Pani Bronisławo, w takim razie nie wypada mi odmówić osobie tak zainteresowanej. - Skrzący uśmiech

rozświetlił jej twarz. Boże, przecież ona wygląda lepiej niż niejedna gwiazda filmowa grająca według jej scenariusza! - Proszę dopisać się tu do listy, najlepiej z telefonem kontaktowym. I zapraszam na zajęcia, może się jakoś pomieścimy.

- Nie poznaję cię. Dopiero co chciałaś rzucić studia i pakować się do wyjazdu, a teraz zapisujesz się na dodatkowe zajęcia? Przecież ty nie masz pojęcia o kreatywnym pisaniu - Mariolka brutalnie ostudziła mój zapal, kiedy wbiegłam tanecznym krokiem do sklepu i pochwaliłam się sukcesem.

- Skąd wiesz, skoro nie próbowałam? A poza tym idę po to, żeby się nauczyć, jasne?! - krzyknęłam na nią chyba pierwszy raz, odkąd się znamy. To, że jest starsza, nie znaczy, że będzie mnie wychowywała do końca życia. Wystarczy, że robiła to przez całe liceum. Mieszkałyśmy u niej na stacji razem z moją najlepszą przyjaciółką Edytą, która jest jej siostrą. Ale nie moja! - Zachowujesz się jak moja babcia! Też tylko „po co ci te konie, po co ci to, po co ci tamto”. Cokolwiek, czego nie robi większość ludzi w okolicy. Ale to moje życie i nie zamierzam się nikomu tłumaczyć z własnych decyzji, dopóki nie krzywdzę innych, okej?

- To zacznij na siebie zarabiać, bo nie wiem, czy w domu cieszyliby się z tego, czym się zajmujesz. Referat na jutro napisałaś?

- Boże, kompletnie zapomniałam! - Rzuciłam się do schodów. Jeszcze Mariolka się przekona, że umiem być odpowiedzialna. Niech tylko uda mi się zaczepić przy tym serialu, to wszystko się jakoś ułoży.

W dwie godziny później kończyłam przepisywać na czysto konspekt mojego wystąpienia, kiedy zapukała do drzwi pokoju.

- Masz na zgodę - na biurku wylądował plik kolorowych pism z kącika prasowego jej sklepu. - Wzięłam ci wszystko, co było o Grycie. Wiesz, że życzę ci jak najlepiej. Tylko złości mnie, kiedy się rozdrabniasz i nie odróżniasz rzeczy ważnych od najważniejszych.

Artykuły bez wyjątku dotyczyły wypadku na planie. Kiedy się je porównało, można by pomyśleć, że mowa o zupełnie różnych wydarzeniach, tyle w nich było rozbieżności. W każdym jednak powtarzała się wypowiedź reżysera, że Gruzin to jego pierwszy własny koń, a ten wypadek był jedynym w jego jeździeckiej karierze.

- On kłamie! - wyrzuciłam na głos swe rozczarowanie postawą idola. Opowiedziałam Mariolce, jak przez krótki czas miał Lolitę. Odkupił ją nieświadomy, że komuś zginęła. Cieszył się arabką i ją rozpieszczał. - Dopóki nie potknęła się pod nim na przejeździe w Kampinosie, kiedy zasuwał galopem z góry. Złamała nogę. A on nawet nie próbował jej leczyć! Choć była szansa, że kość się zrośnie i kobyła będzie normalnie chodzić. Uznał, że skoro nie da się na niej jeździć, to nic mu po niej. Kazał oddać Lolitę na rzeź.

Dobrze pamiętałam rozczarowanie, że Gryta w rzeczywistości nie okazał się równie szlachetny jak jego bohater. Ale w końcu i tak nie potrafię uwolnić się od myślenia o nim w filmowych kategoriach. Tym bardziej że wraz z Wujkiem i Filipem odzyskaliśmy wtedy klacz. Dzięki Ignacowi, który wskazał nam ciężar-

rówkę rzeźnika. A gdy wczoraj spotkałam go w „Jupiterze” udał, że mnie nie poznaje.

- Dlaczego Gryta to zataił? - oburzyła się Mariolka. - Nie lubi wspominać swojego postępowania, kiedy grał nie fair? Czy kryje się za tym coś innego?

- Wierz mi, ja też bardzo chciałabym to wiedzieć.

Rozdział piąty

Długo kluczę po zaułkach starego Mokotowa, nim udaje mi się wreszcie dotrzeć do zabudowań wytwórni filmowej na peryferiach dzielnicy. Prowadzona żółtymi strzałkami z nabazgranym niebieskim markerem napisem „casting” znajduję nieco odrapany barak.

Nie jestem pierwsza. Mimo że przyjechałam z godzinnym wyprzedzeniem, przed wejściem kłębi się już prawie tysięczny tłum takich jak ja kandydatów i kandydatek do Oscara. Przeważnie młodzież. Najwięcej fanek Pawła Wegnera. Na oko gimnazjalistki. Piszczą na sam dźwięk jego nazwiska.

- Zrobiłabym dla niego wszystko. Wszystko! Żeby tak chociaż mnie zauważył... I mnie też... I mnie - wykrzykują rozmarzone jedna przez drugą. Widać nie przeszkadza im, że uwielbiają go zbiorowo. Za to mnie przeraża determinacja, z jaką ludzie rzucają się na drzwi, kiedy organizator daje ochroniarzom sygnał do ich otwarcia. Dziewczyny pchają się histerycznie, piszcza i roztrącają innych, ponaglane żądzą znalezienia się jak najbliżej czarnookiego bruneta, który rutynowo

wygrywa plebiscyty na najprzystojniejszego aktora. I już nie słyszą albo nie chcą słyszeć uwagi któregoś z bardziej doświadczonych uczestników nagrań:

- Na to nie ma co za bardzo liczyć. Pewnie nie zobaczą go nawet z daleka. Większość scen kręci się osobno aktorzy, osobno my. Potem dopiero się montuje.

Po wstępnej selekcji - załapałam się! - pierwsze rozczarowanie: to nabór statystów jednocześnie do kilku seriali, z którymi ta agencja ma umowę. Przypadek zdecyduje, na który plan trafię. Ale wypełniam ankietę jak kilkudziesięciu innych szczęśliwców i daję się sfotografować en face i z profilu, trzymając pod brodą kartkę z numerem ewidencyjnym.

- Zupełnie jak zdjęcia bandytów do policyjnej kartoteki - chichocze wielka blondyna w szpilkach i obcisłej sukience. Stała w kolejce za mną i zdążyłyśmy się poznać. Najpierw zarzekała się, że przyszła tylko tak, z ciekawości. Totalny luz. Ale kiedy dostała już tę skrycie wymarzoną szansę zbliżenia się do świata filmu, puściły jej nerwy. Nie tylko jej zresztą. Zauważyłam, że wielu oczekujących niby rozmawia z uśmiechem, ale widać, że w środku targa nimi obsesja bogactwa i sławy. Właściwie to nawet nie sławy. Podobnie jak te zwariowane fanki Wegnera, choć z bardzo różnych powodów, pragną nade wszystko, aby ktoś ich po prostu dostrzegł. Ta dziecinna potrzeba doprowadza niektórych na skraj obłądzenia. Jak tego faceta w czerwonej czapce. Ponoć nie przyjęli go do *Szansy na sukces*, dwóch teleturniejów ani do reality show. A teraz znów przyjechał aż z Zielonej Góry, żeby... błagać Grytę o rolę. Wyprowadzany przez ochroniarza, ciąg-

le domagał się głośno osobistego udziału reżysera w przesłuchaniach.

- Powtarza ten numer od pierwszego castingu tutaj - skwitował ktoś z boku bez emocji.

Składam podpisaną umowę. Mam stawić się na zdjęcia w każdym terminie, jakiego zażąda wytwórnia. Lepiej nie myśleć, jak to pogodzę z dziennymi studiami.

- Kiedy zaczynam pracę? - Dreszczyk podekscytowania tańczy mi salsę wzdłuż pleców.

- Proszę czekać na wezwanie telefoniczne. - Szykowna asystentka częstuje mnie uśmiechem kogoś, kto tak naprawdę na ciebie nie patrzy i po kilku minutach zapomni, że istniejesz.

- Dobrowolnie zapisałaś się na warsztaty do Zuzy Anny?! Ja chciałam zmienić grupę, żeby tylko ich uniknąć, ale się nie dało - maleńka, ostrzyżona na jeża szatynka próbowała zajrzeć mi w oczy, jakby spodziewała się znaleźć w nich oznaki szaleństwa.

Reszta studentek polonistyki, które rozpoczynały drugi rok specjalizacji filmowej, zaśmiała się, potwierdzając diagnozę starościny. Zostawiłyśmy otwarte drzwi do sali i pusty już o tej porze korytarz odbił echem z wielokrotnione głosy dziewczyn.

- Co jest z nią nie tak? - Trochę zbiły mnie z tropu tym nieoczekiwanym atakiem wesołości.

- Masz pojęcie, ile ona wymaga? Co tydzień ze trzy książki z listy lektur do przeczytania. I to nie tak, że zgłaszasz się, jak masz życzenie. Pyta na wrywki, robi kolokwia i zadaje ćwiczenia do domu. Że już nie powiem, co wymyśla na zaliczenie semestru.

- Do tego pamiętliwa jak cholera - fuknęła stojąca dotąd z boku szara myszka.

- No i nudziara. Lubi sobie powstawić pedagogiczne gadki. Takie o życiu - wsparła ją koleżanka z takim samym plecakiem. - A co ona może wiedzieć o prawdziwym życiu? Niezła jest w tych swoich fabułkach, nie przeczę, ale własnej rodziny przecież nie ma - westchnęła jak osoba obarczona przez los licznym potomstwem i problemami ponad miarę, stąd z głębszym niż u innych zrozumieniem ich natury. A ja założyłabym się, że dziewczyna nie ma pojęcia o prawdziwych kłopotach.

- Dziwisz się? Nie ma kogo wychowywać, to na nas skupia swoje macierzyńskie instynkty - ostatnie słowa zostały zduszone przez jęk, bo mała z językiem z całej mocy wpakowała jej łokieć pod żebra. Zuza Anna wślizgnęła się właśnie do sali. W obszernym swetrze i czarnych spodniach ze skóry, lśniących i obcisłych jak syreni ogon. Rozległo się poprawne „dzień dobry”.

I tak nie miałam zamiaru się wycofać. Przynajmniej dopóki naprawdę nie zacznę statystować, bo na razie nie bardzo wierzyłam, że zadzwonią do mnie w tej sprawie. Poza tym ciekawa byłam bliskiej współpracownicy Gryty. Aż dziwne, że się w niej nie zakochał. Dziś miała włosy idealnie przedzielone na połowę i splecione nad karkiem w fantazyjny węzeł. Przy czole i policzkach szesała je niemożliwie gładko, na co mogła sobie pozwolić ze względu na nienaganne rysy. Twarz niemłoda, kiedy jej się lepiej przyjrzeć, ale wciąż jakby niedojrzała. Wyglądało to trochę tak, jak gdyby życie, które Zuza Anna wiodła w bujnej wy-

obraźni scenarzystki, było dla niej bardziej realne niż to rzeczywiste. Albo jakby się nie przebudziła, czy co. Brakowało mi w niej właśnie życia, radości, kobiecości. Zamiast tego - nieskazitelne piękno, nie wiem czy w ogóle doceniane przez tę intrygującą postać, obwarowaną książkami w fortecy z profesorskiej katedry. Zrozumiałam, o czym mówiły dziewczyny.

Ale ten chłód był pozorny. Lód Królowej Śniegu roztopił się bez śladu, ustępując miejsca pasji do wykładowego przedmiotu. Nie umiałam jednak ocenić, czy odczuwa jakąkolwiek więź z grupą swoich studentek. Jak na drugi rok wspólnych zajęć, traktowała je dosyć bezosobowo. Mimo szczerych chęci, nie nadażałam też za tym, co mówiła o metodach pisania scenariuszy. Dopiero gdy poparła teorię przykładami z filmografii Gryty i poprosiła, żebyśmy podały jej inne rozwiązania, które pamiętamy - miałam okazję zabłysnąć. Znamość dorobku ulubieńca wreszcie na coś mi się przydała.

- A wiedzą panie, co jest w tym najciekawsze? - Moja aktywność wyraźnie dodała jej werwy. - Nie tylko tak zwana rzeczywistość przenika do filmu. Zachodzi również odwrotny proces: sztuka, czyli wytwór wyobraźni, staje się elementem realnego życia. Niestety, już pokazuje się z nie najlepszej strony. Młodzi ludzie chcą się upodabniać do postaci z ekranu. Mieć markowe rzeczy, ubierać się w określony sposób i żyć tak, jak to widzą w reklamach. Telewizja stała się dyktatorem współczesnej kultury...

- Ostrzegałam, że przynudza - przypomniała moja
•..siadka z ławki, ale nie doczekała się ode mnie po-

twierdzenia. Tymczasem Zuza Anna patrzyła w przestrzeń za oknem oczyma, które widziały chyba jedynie to, co rozgrywało się w jej głowie.

- Pożytecznym skutkiem jest to, że ludzie mogą wpleść w życie prawdziwą sztukę - kontynuowała. - Rozumieją panie, co mam na myśli? Spójrzcie na swój ziemski los jak na scenariusz do napisania. Rzeczywistość może być piękną fabułą. Bo ona jest dla każdego z nas tym, czym sami ją czynimy. Świadomym wysiłkiem albo i nie, jeśli zdajemy się na to, co dyktuje nam przypadek, zamiast walczyć o nasz autorski pomysł na życie.

Zapewne streszczała myśl z jakiegoś znanego podręcznika. Może wszyscy w grupie znali te poglądy od dawna. Może ja sama także przeczuwałam to, co docierało do mnie teraz ubrane w słowa. Ale siedziałam jak zahipnotyzowana. Nikt nigdy tak do mnie nie mówił. A naprawdę tak się przecież dzieje. Dlatego im wcześniej, tym lepiej jest zacząć wykorzystywać to, co daje życie. Szukać, dopominać się tego. To się chyba nazywa samorealizacja we wszystkich dziedzinach.

- Mogę panią prosić o pozostanie przez chwilę? - zaskoczyła mnie przy wyjściu Zuza Anna. - Zaimponowała mi pani wiedza o twórczości Dawida Gryty. Planuję opracować monografię jemu poświęconą, jestem już umówiona z wydawcą na określony termin. Dlatego chciałabym jak najszybciej uporządkować domowe archiwum i przygotować materiały niezbędne do pisania. Czy mogę liczyć na pani pomoc?

Nie powinnam się była godzić na kolejne zobowiązanie. Mariolce nawet się nie przyznam, bo mnie zakrzyczy. Ale nie umiałam odmówić Zuzie Annie. Zresztą, nie będę ukrywać, niesamowicie pochlebiła mi jej prośba. Tylko co ja zrobię, jeżeli zadzwonią do mnie z wytwórni filmowej i okaże się, że nie da się robić dwóch rzeczy na raz?

Jak na zawołanie - telefon. Filip?

- Do ciebie. Pan Sacharuk z Kostomłotów. - Mariolka zostawiła na stole odłożoną słuchawkę, zagryzając słowa kawałkiem surowej marchewki.

Wujek chciał się dowiedzieć, czy byłam już w „Jupiterze”, jak planowałam przed wyjazdem, i czy widziałam „naszego reżysera”.

- A jak radzisz, ekhm, czy wypada zaprosić go do nas na Hubertusa? Czy lepiej się nie wygłupiać, bo i tak nie przyjedzie? Obejrzałby sobie tereny zdjęciowe, odpoczął... I czy to nie byłoby nadużycie, jeślibym wysłał zaproszenie na jego domowy adres? No, tylko czy ten, ekhm, jak mu tam...

Jak zwykle, musiałam podpowiedzieć. Wujek znał rodowody swoich arabów do siódmego pokolenia, ale nazwiska tak popularnego gwiazdora za nic nie potrafił zapamiętać. A ja, kiedy usłyszałam ten znajomy głos, w jednej chwili mogłabym zostawić wszystkie tutejsze sprawy i popędzić do stadniny malowniczo wtulonej w zakole Bugu. No, może gdyby tylko wcześniej udało się jeszcze choć na troszkę wsiąść na Gruzina...

- Tak, tak - zasępił się. - Tylko czy on będzie mógł wziąć udział w gonitwie? Bo słyszałem w radiu, że

miał wypadek. Ale dzisiaj podali, że wrócił już do pracy i nawet usiłował wsiąść na konia, więc sam nie wiem, co o tym myśleć... Twardy facet jest, to na pewno.

Ustaliliśmy, że spróbować zawsze można.

Tylko niepotrzebnie Wujek przekazał mi pozdrowienia od Filipa, który stara się teraz o stypendium doktoranckie i praktykę w renomowanej klinice dla koni sportowych w Niemczech. Chce się poświęcić badaniom naukowym, jak kiedyś planował. Wrócił do tych marzeń, podobno pod moim wpływem.

Rozdział szósty

Całe szczęście, że zwolnili nas wcześniej z zajęć. Bo przysypiałam w ławce po nocy spędzonej na rozmyślaniami o tym, co powiedział Wujek. Komórkę na wszelki wypadek zostawiłam w domu, żeby nie kusiło mnie dzwonić do Filipa. Po czym przez cały dzień na uczelni wzbierało we mnie przekonanie, że właśnie w tym czasie on próbuje się ze mną skontaktować. I nie szkodzi, że mu tego zabroniłam. Po ostatnich ćwiczeniach wystartowałam więc z przyspieszeniem derbisty na Służewcu, żeby złapać wcześniejszy autobus. Już w ełce obiecałam sobie, że jeśli nie znajdę żadnego nagrania na poczcie głosowej ani esemesa od niego, to zakopię się pod kocem na resztę popołudnia. A co, należy mi się.

Ale przegapiłam nasz przystanek i... zmieniłam plany. Dojechałam do pętli w Dziekanowie Leśnym. Prosto ze stopni autobusu nadepnęłam na sosnową szyszkę. Potem trzasnęła mi pod stopami druga i trzecia, gdy piaszczystym gościńcem zanurzałam się w czter-

dziestopięciokilometrowej długości puszcę. Pomyśleć, że zaczyna się ledwie jakieś dwadzieścia kilometrów od Pałacu Kultury.

Potrzebowałam zapachu lasu i jego kojącej przestrzeni, żeby poukładać w sobie to, co znów chciało się rozbrykać jak nieumiejętnie ujeżdżany młody koń. Jeszcze kilka prób i zapanuję nad nim.

Muszę.

Nie, nie mogę.

Przytuliłam twarz do brudnej, chropawej kory wątlej jarzębinki. Wyrosła na skraju iglastej ściany. Potężni sąsiedzi trzymali ją na muszce szpilek, ale nie poddawała się w walce o dostęp do życiodajnego światła. Bolesnie skręcona, wyciągała się na krzywej łodydze pnia.

To znaczy, nie mogę do niego zadzwonić - przywołałam się do porządku w samą porę. Łzy już czekały w pogotowiu.

Bo przecież z naszego związku nie ma prawa wynikać nic dobrego. Wszystko się zmieniło, odkąd dowiedziałam się o żonie i dziecku Filipa. Istniało przez cały czas, który spędzaliśmy ze sobą w Kostomłotach. Nie umiałabym dalej spotykać się z Filipem, wiedząc, że krzywdzę jego rodzinę. Tym bardziej, gdyby zdecydował się ją porzucić, jak mi to obiecywał, w nadziei, że w ten sposób skłoni mnie do powrotu. Sama wychowałam się bez ojca i nie życzę jego synkowi takiej nienasyconej tęsknoty za normalnością. Wyrzuty sumienia zatrułyby mi całą radość z Filipa. I strach, że skoro potrafił zostawić żonę, to mnie wcześniej czy

później może potraktować tak samo. Jeżeli rzeczywiście w końcu się rozstali, bo nie pytałam. I nie zapytam. Tylko... jeśli nie spotka mnie już w życiu nic tak pięknego jak ta miłość, której sama sobie i jemu odmawiam? Ktoś taki jak Filip nie może się powtórzyć. Nawet nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek zajął jego miejsce. Bo nikomu nie uda się mu dorównać.

Zerkałam ciekawie, z zazdrością, na pary i grupki turystów, którzy mnie mijali. Rozmawiali, śmiali się, ganiłi z psami, pokazywali dzieciom sójkę na gałęzi albo przywoływali niegrzecznych malców do porządku. Łączyły ich więzy rodzinne, przyjacielskie. Czuło się prawdziwe rodzinne ciepło. Wędrowałam jak oni, udając, że też zmierzam do konkretnego celu. Że mam scenariusz życia, jaki pisze dla człowieka praca, a zwłaszcza miłość - jak mówiła Zuza Anna. Ale szłam ze ściśniętym sercem, w głębi ducha zastanawiając się, jak mam ułożyć swoją przyszłość bez Filipa. Jak zapomnieć czas, kiedy tyle sobie po nas obiecywałam. Nic i nic radosnego nie mogłam dostrzec w tej przereklamowanej dorosłości.

Spacer ścieżką wijącą się między brzoźami dobrze mi jednak zrobił. Drzewa nie okazały się jeszcze tak bardzo złociste, jak się spodziewałam. Żółty odcień w ich koronach brał się nie z jesiennej zmiany barw, ale jedynie z odbicia promieni słońca od śliskiej powierzchni liści. Zaświeciło po południu tak, jakby lato cofnęło się w pół kroku i zawahało przed odejściem. Doskonale, niech się zastanawia jak najdłużej.

Za to ja nie będę już więcej myślała o Filipie, bo

zwariuję. Przecież nie uzależniam od miłości swego całego szczęścia! Z nią czy bez - tymczasem zamierzam się dobrze bawić i jak najlepiej wykorzystać nadchodzące dziewięć miesięcy w stolicy.

Rzeńskie powietrze przesycone było goryczką jesieni i wonią koźlaków. A może jakichś innych grzybów. Maszerowałam kolejno zielonym, brązowym i czarnym szlakiem turystycznym prawie dwie godziny. Ten ostatni zaprowadził mnie przez Dąbrowę Leśną na skraj Łomianek. Zostałam sama. Zmierzchało już, a od drzew ciągnęło chłodem.

- Zbiera się na przymrozek, *co?*

Drgnęłam. Za mną stał Ignac z Gruzinem. Musieli się wynurzyć z bocznej ścieżynki, którą właśnie minęłam. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam, choć od domu Gryty dzieliło nas nie więcej niż sto metrów.

- Ale mnie pan przestraszył! - odzyskałam wreszcie głos. Ogier odszedł na długość linki i zaczął paść się na poboczu. Bardziej domyśliłam się tego po odgłosach, niż mogłam dostrzec. Jego czarna sylwetka ginęła w mroku. Odprężony, skubał niespiesznie trawę. Jak zwierzak, który idzie przez życie w stanie niezmaco- nego ukontentowania i pewnej ospałości i którego ulubioną rozrywką są drzemki, a nie wściekłe galopady po najbardziej ruchliwej ulicy miasta.

- Mogę go pogłaskać? - Nie czekając na odpowiedź, dotknęłam kudłatej szyi. - Gruzin, ty kochany łobuzie!

Wsunęłam dłoń w grzywę i pogładziłam aksamitną skórę pod spodem. Trąciły mnie delikatne chrapy ogiera, który zerknął na mnie przelotnie wilgotnym okiem

i zaraz wrócił do przerwanej kolacji. Wcale mnie, skubany nie poznał.

Za to Ignac tak. I dopiero teraz skojarzył mnie z wakacjami i arabką. Za dużo wyobraziłam sobie wtedy przy furtce strzeżonej z obu stron przez dwa końskie popiersia odlane z metalu. Czemu miałby się nie przyznać, że mnie rozpoznał? Niepotrzebnie się do niego uprzedziłam. Tym bardziej, że całkiem fajnie się nam teraz gadało. Opowiedziałam o Lolicie, której nadpęcie zrastało się pod opieką Filipa, najlepszą z możliwych. On też pilnował, aby jej nienarodzone źrebię rozwijało się prawidłowo.

- A pan Dawid jakoś zaraz po waszych odwiedzinach, z tydzień czy dwa później kupił tego diabełka - uśmiechnął się chyba bardziej do Gruzina niż do mnie, wyjmując z jego grzywy niewidoczne kawałki suchych gałązek. - Dobrze konisko, tylko przemęczone. Tak to silny, bestia, jest. I zdolny jak mało który z tych kaskaderskich wałaszaków. Ale wykończyli go nagraniami. Dzień w dzień to samo, pracuje po pięć godzin albo i lepiej. A wiadomo, jak to u pana Dawida z robotą. Wszystko musi być na cacy, bo jak nie, każe powtarzać do upadłego. Nieraz i po dwanaście dubli. Aktorzy tego nie wytrzymują i odchodzą, pewnie słyszałaś zresztą. A ten biedak co może? Schudł, nerwowy się zrobił, nie stara się już tak jak na początku...

- To pan go odstresowuje tymi spacerami? - domyśliłam się.

- Ot, dużo nie poradzę, ale jak pan Dawid kazał, to trzeba chodzić.

Odprowadziłam ich pod furtkę i pomogłam za-

mknąć ją za koniem. Po czym na skróty popędziłam do domu. Mariolka przywitała mnie tak, jak się tego obawiałam:

- Gdzie ty się włóczysz po nocy?! To nie wiesz, że tutaj nie jest tak bezpiecznie jak u nas?

Zabawne. Ona boi się chodzić wieczorem po tutejszych ulicach, a warszawiacy, których znam, za nic nie potrafią zrozumieć, że w Terespolu po zmroku zwykle nie strzelają do siebie przygraniczni mafiozi.

Spojrzałam na swoją komórkę. Dwie nowe wiadomości od dobrze mi znanego numeru.

- Aha, ktoś dzwonił do ciebie na stacjonarny. Z tej wytwórni filmowej. Prosimi, żebyś się odezwała, bo to pilne.

Jasne, że sprawa nie może czekać, skoro dwukrotnie nagrała mi się na pocztę asystentka od castingu. Widocznie niewiele osób wpisało jazdę konną w rubryce umiejętności, jak ja to zrobiłam. Kobięcy głosik, układny i znudzony, zapraszał mnie na sprawdzian praktyczny w najbliższą sobotę, od dziesiątej rano. Z niedowierzaniem wysłuchałam reszty komunikatu i natychmiast wysłałam zgłoszenie na podany numer. Komputerowy system prawie od razu podziękował uprzejmą formułką. Ha, jak spadać, to z Gruzina.

- Mariolka, usiądź, bo zemdlejesz - starałam się mówić spokojnie. - Jutro mam test jeździecki w „Jupiterze”. Będą oceniać nasz poziom zaawansowania, tak powiedziała ta lalunia z agencji. Żeby potem wytypować najwłaściwszą kandydatkę.

- Do Oscara? - zakpiła sobie niecznie, choć z sympatią

tią. Ale głodnej od tygodnia kobiecie trzeba wiele wybaczyć.

- Żebyś wiedziała, że i to może z czasem będzie wchodziło w grę! Ty gnębicielko niepoprawnych optymistów. Sama mnie wysłałaś, to teraz trzymaj mocno kciuki, żeby to mnie wybrali na dublerkę.

- Czyją?

- Kasi Rutkiewicz, oczywiście!

Rozdział siódmy

Kasia Rutkiewicz zrezygnowała nagle w połowie zdjęć. Na szczęście zostały jej do nagrania tylko sceny w których miała się popisywać jazdą konną - inaczej panowie przed telewizorami przestaliby płacić abonament. Bo o ile Gruzin przyciąga przed ekrany takich jak ja wariatów na punkcie koni, to prawdziwą przyczyną niebywałej oglądalności tasiemca od początku była urocza poliq'antka, dzielnie wspomagająca komisarza nie tylko na polu zawodowym. Nomen omen Kasia. Jedyna w patrolu, ale za to jaka! Zuza Anna mogła sobie być utalentowaną scenarzystką, ale bez tej aktorki niewielu by to należycie doceniło. Dobrze o tym wiedziała, bo zaczęła powierzać ślicznej Kasi coraz śmielsze zadania. Aż się bałam, co czeka dziewczynę, która zostanie jej dublerką.

Humorzasta gwiazda miewała już różne odjechane pomysły, więc nikt nie przejął się jej zmianą planów. Ani tym, że wycofała się bez uprzedzenia i nie tłumaczyła się również po fakcie ze swej decyzji. Po prostu zniknęła. Ponoć nawet do tego swojego Wegnera za-

dzwoniła dopiero po wyjeździe. Dlaczego i dokąd się wyniosła? - nie chciał zdradzić mediom. Bo przecież musiał wiedzieć, to jasne!

Wyglądało na to, że przestraszył ją wypadek Gryty. A zwłaszcza niejasne okoliczności, które mu towarzyszyły. Jej rywalki z branży złośliwie podpowiadały dziennikarzom, że mogła się zaszyć w klinice chirurgii plastycznej i poddać pierwszemu botoksowi. Ale w wieku trzydziestu lat? Zresztą i tak zdjęcia z jej udziałem w zasadzie dobiegały końca, jeśli nie liczyć tych paru scen, w których ktoś inny może ją zastąpić. Z powodzeniem. A co, nie? Tak więc nowy kaprys wcale nie zaszkodzi serialowi, a nawet da się wykorzystać jako chwyt reklamowy.

Tego wszystkiego dowiedziałam się z rozmów moich konkurentek w „Jupiterze”. Skąd tak dobrze orientowały się w kulisach produkcji, nie miałam pojęcia, lednak bardziej niż brak obycia w branży plotkarskiej dokuczala mi obawa, że spośród naszej dwudziestki mam zdecydowanie najniższe kwalifikacje. Przeważały dziewczyny z aktorskim doświadczeniem, które już statystowały lub grały epizody. Dwie uczyły się w szkole aktorskiej. Była też kaskaderka i trzy instruktorki jazdy konnej z uprawnieniami.

Ale tylko mnie kibicował Jakub. Jedyne dlatego nie wycofałam się przed próbną jazdą.

- Może dostaniecie Gruzina? - starał się odwrócić moją uwagę od członków ekipy, którzy zaczęli rozstawiać sprzęt przy barierce ujeżdżalni. Zabezpieczali też urządzenia folią przed siąpiącym od rana kapuśniaczkiem. Kamerę na stojaku podłączyli do monitora, na

którym będzie widać kandydatkę. To ma ułatwić reżyserowi ocenę naszych walorów wizyjnych.

- Gdybym wiedziała, że to takie ważne, w życiu bym tu nie przyszła - zdążyłam szepnąć Kubie na stronie, kiedy od hotelowego bufetu rozległ się gromki okrzyk Gryty:

- Są już wszystkie?

A kiedy usłyszał od operatora potwierdzenie, wyłonił się najpierw on sam, w miękkiej tweedowej marynarce i czapce w angielskim stylu, a za nim wypłynęła szykowna asystentka. W tych okolicznościach powitałam ją w duchu jak dobrą znajomą. Taszczyła pod pachą stertę papierów i troskliwie starała się dostosować krok do tempa reżysera, który dźwigał gips na kostce. Nie chodził wcale lepiej, niż kiedy widziałam go ostatnio, a co dopiero myśleć o wsiadaniu w takim stanie na konia. I po co? Więc albo Wujek coś pokręcił, albo ci z radia.

Jeszcze raźniej poczułam się na widok Serafina. Wyszedł z mniejszej stajni, której mieszkańcy niedawno wrócili po rannym treningu na drugie śniadanie. Chrupanie siana i buraków ginęło pośród odgłosów strzelaniny i eksplozji ładunków wybuchowych. Wydobywały się one z głośnika zawieszzonego u pułapu korytarza. Nagranie to od kilku dni włączano w chwili, gdy stajenny roznosił jedzenie do żłobów. I przerywano, kiedy ostatnie zwierzęta kończyły posiłek. W ten sposób filmowcy uczyli konie pozytywnych skojarzeń, przygotowując je do trudnej sceny. Bo niestrudzeni policjanci mieli niedługo tłumić zamieszki podczas starcia dwóch wrogich sobie demonstracji ulicznych. Kuba

opowiedział mi o tym wszystkim, a ja pomyślałam, że od tej pory inaczej będę już patrzyła na batalistyczne sceny w filmach fabularnych z udziałem konnicy - przez pryzmat filmowych wierzchowców, które w tym momencie cieszą się, rozpoznając w huku bitewnym sygnał zwiastujący rychłą przekąskę.

Serafin wyprowadził białonogiego kasztanka.

- Jednak nie Gruzin... - nie zdołałam ukryć rozczarowania. Bo wróżyłam sobie, że jeśli dostaniemy właśnie jego, będzie to znak, że znajdę się na liście płac serialu. Sympatyczny fryz widocznie został we własnej stajni po wczorajszym spacerze.

Anorektyczna instruktorka na ochotnika pobiegła wsiąść pierwsza. Ja zaś profilaktycznie ustawiłam się na końcu kolejki. A właściwie nieco poza nią.

- Słuszna taktyka, mała - spoufalił się zniecała Serafin, wyrastając między mną a Kubą. Wyglądało na to, że podziałało tak na niego zaproszenie na prywatkę. - Rudy długo się rozkręca. Dopiero dla ciebie zrobi wszystko, o co go poprosisz.

Nie zrobił. Cud, że w ogóle nie usnął mi w środku ćwiczenia. Namęczyłam się z nim gorzej niż swego czasu z Wujkowym Plintem. Oba jednakowo nadawały się do filmu. Obudzić te leniwce mógł chyba tylko okrzyk „akcja!” i to wyłącznie przez megafon przyłożony do końskiego ucha!...

Powiedziałam to głośno, bo po morderczej jeździe było mi wszystko jedno, co sobie pomyślą. Dublerką Kasi i tak nie zostanę, ale przynajmniej dałam szansę.

Grycie i pozostałym docenić moje poczucie humoru.

- Zdecydowanie musi pani wzmocnić dosiad, jeśli

chce pani pracować jako konna statystka - odezwał się Gryta po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w siodle. To akurat wiedziałam. Dobrze, że bardziej mnie nie pognębił.

- Serafin będzie musiał popracować też nad postawą w kłusie. Widzę sporo błędów. Przede wszystkim za wysoko unosi się pani w siodle. Anglezować to znaczy podążać za koniem, podnosić się na tyle, na ile wybija nas w górę rytm jego biegu. To nie mają być szalone przysiady, rozumiemy się?

Kiedy skończył mnie objeżdżać, podeszła asystentka i zaczęła mi gratulować z uśmiechem, zdawałoby się znacznie mniej powierzchownym niż wtedy na castingu.

- Jak to? - Coś niemożliwego zaświtało mi w głowie.

- To znaczy, że ogólnie panuje pani nad koniem we wszystkich chodach całkiem nieźle. To ważne. A najistotniejsze jest podobieństwo z figury i typu urody do aktorki, którą będzie pani dublowała.

Moje oszołomienie wykorzystał Kuba, żeby mnie wyciął. Serafin, ku zdziwieniu reszty ekipy, że nie powiem o własnym, poszedł w jego ślady. Po czym, chyba z rozpędu, uściskał stojące bliżej dziewczyny.

Wtedy to się stało. Gryta odebrał telefon. W następnej sekundzie zerwał się ze swego reżyserskiego krzesła, wołając o samochód.

- Szybko! Stajnia Gruzina się pali!

Czerwony dach willi Gryty oddalonej od „Jupitera” o jakieś pół kilometra prześwitywał między koronami

drzew. Przy ładnej pogodzie byłoby go widać, mżawka zamazała jednak jego kontury na szaro, jak słabej jakości gumka do ścierania niszczy rysunek. A może to były już kłęby dymu?

Serafin z Grytą przedarli się gazikiem przez nieutwardzoną drogę wzdłuż lasu, brnąc w wilgotnym piachu i podskakując raz po raz na wystających korzeniach drzew. Reszta pobiegła za nimi tą najkrótszą z możliwych dróg. Dom reżysera stał na uboczu, pośród brzoź i sosen, które oddzielały posesję od najbliższych sąsiadów zieloną ścianą szeroką na mniej więcej trzysta metrów. Siedziba położona u zbiegu dwóch ulic otwierała się stylową furtką na Puszcę Kampinoską. Prostopadle do niej umieszczono główną bramę wjazdową, prowadzącą na szosę, którą jechało się do centrum Łomianek. Ulica kończyła się sklepem Mariolki przy skrzyżowaniu z Warszawską.

To był dym. Albo raczej para otaczająca stajnię buriemi kłębami, które pchały się do oczu, gryzły i dezorientowały. Gdy wbiegałam na podwórze, potoczyła mi się pod nogi pusta gaśnica. Ignac nie zdołał za jej pomocą stłumić ognia. Porzuciwszy ją, biegł do garażu po szlauch. Złorzeczył przy tym głośno na opieszałość strażaków.

Paliło się wejście do stajni. Płomienie pełzały też po znacznych połaciach dachu. Gruzin rżał z głębi budynku. Zniknął gdzieś Serafin. Ludzie biegali i krzyczeli bez sensu. Kuba rzucił się do korby staroświeckiej otwartej studni z kołowrotkiem i wiadrem na długiej linie. Zaklął, gdy nie znalazł w niej wody. Okazała się atrapą wybudowaną dla urozmaicenia ogrodu.

Klął też Gryta, próbując dostać się do stajni. Wykorzystał moment, kiedy drzwi rozsypały się na naszych oczach. Trzymała się tylko rozżarzona sztaba, dzieląca wejście poziomo na połowę. Rdzawe jęzory zagarniały ścianę po obu stronach zięjącego dymem otworu. Aktor mimo bólu w nodze, schylił się i osłaniając marynarką twarz, próbował przeczołgać się pod spodem. W tej sekundzie płomień wdarł się pod dach, na strych zapchany po krokwie suchą paszą. Buchnął wulkan ognia. Iskry posypały się dookoła. Kuba w ostatniej chwili odepchnął reżysera na bok, ratując go przed gradem płonących kostek siana. Zniszczony dach zapadał się partiami na strop. Pod spodem niebezpiecznie trzeszczały ściany z ciasno zbitych okrągłaków.

Gdzieś, wciąż za daleko, pulsował sygnał wozu strażackiego. Ogier miotał się, kwicząc przeraźliwie i bijąc kopytami w rozchwianą ścianę. Strop obniżał się z jednej strony coraz wyraźniej.

- Serafin, tędy! - wrzasnął Kuba, w mig odciągawszy na bezpieczną odległość Grytę, którego ciężaru - sześćdziesięciu kilogramów - pewnie nawet nie odczuł.

- O Boże, on się spali żywcem! Spali się na pewno! Ja nie mogę na to patrzeć! - zanosła się szlochem jedna z niedoszłych dublerek, chyba ta kaskaderka. Większość dziewczyn, tak jak ja, po prostu stała, nie wierząc w to, co widziała. Ale dopiero teraz dotarło do mnie, że w środku jest człowiek. Serafin!

Ignac wyleciał ze szlauchem, w biegu go rozwijając pod ciśnieniem odkręconej na maksa wody. Celował do wnętrza stajni. W samą porę, bo zajęła się już ściółka. Nie pozwolił ogniewi wpełznąć głębiej.

Chciałam pomóc, ale nie wiedziałam jak. Odprowadziłam na bok histeryzującą pannę. Dość było paniki i bez jej krzyku. Mijały długie sekundy, a kaskader się nie pokazywał.

- Nie wyjdzie bez konia - rzucił Jakub i, uderzając gaśnicą, spróbował zwalić na dół rozgrzaną do czerwoności sztabę. Przejścia dalej nie było.

- Siodlarnia! - krzyknął Gryta, z trudem podnosząc się z ziemi. Ale Kuba nie usłyszał, bo zagłuszył jego głos kolejnym uderzeniem o metal. Sztaba nie puściła.

W lot zrozumiałam intencję reżysera. Z obszernym boksem Gruzina sąsiadował magazyn sprzętu jeździeckiego i owsa. Prowadziły do niego węższe drzwi. Tędy musiał dostać się Serafin, zanim przybiegłam. Wewnątrz pewnie było bezpośrednie przejście do części stajennej. Jedyna droga ratunku.

Rzuciłam się do drzwi, w pędzie ściągając dzinsową bluzę. Ale nie przypuszczałam, że dym w środku będzie aż tak gęsty. Już w siodłami zaczęłam krztusić się i kasłać.

- Tutaj! Szybko! - Serafin, brudny i osmolony, z braku tlenu ledwie trzymał się na nogach. Resztką na wpół spalonej koszuli próbował na zmianę opędzać się od dymu i ognia oraz zasłaniać oczy koniowi, żeby łatwiej go wyprowadzić. Zwierzę, na granicy wytrzymałości nerwowej, broniło się desperacko przed opuszczeniem stajni, wściekle szarpiąc się z opiekunem. To, co nierozsądne z ludzkiego punktu widzenia, koniom wydaje się jedynym logicznym rozwiązaniem. A choć wierzchowce filmowe i policyjne oswaja się z ogniem poprzez specjalne ćwiczenia (Gruzina widziałam już

na ekranie, jak przechodzi przez ścianę ognia albo skacze przez płonącą obręcz), tego było za wiele nawet dla niego. Instynkt zapanował nad miesiącami tresury.

Rzuciłam Serafinowi mokre od Ignacowego prysznicza ubranie, którym ten szczelnie owinął oczy ogiera. Kasłał i śpiewnym głosem uspokajał przerażonego konia, próbując ruszyć go z miejsca. Zanim otworzyłam dolną połowę drzwi między pomieszczeniami, nad którą kaskader wcześniej przeskoczył w pośpiechu, Kuba wywalił je kopnięciem. Wypchnął mnie na zewnątrz i rzucił się na pomoc koledze. Oszołomiony Gruzin nadal zapierał się czterema nogami.

Wtem Gryta wpadł na genialny, jak się okazało, pomysł.

- Kamera! Akcja! - zawołał z absurdalnym w tej sytuacji spokojem. Opanowanym głosem reżysera, który dla dobra filmu wymaga absolutnego posłuszeństwa, inaczej wszystko się rozprzęgnie. Taki musiał być na planie. I użył komendy, którą Gruzin doskonale znał.

Ogier się zawahał. Bał się, ale ludzie, z którymi pracował od kilku miesięcy, nauczyli go słuchać najdziwniejszych rozkazów. Teraz ci sami ludzie wymagali od niego zrobienia czegoś wbrew jego naturze. Miał opuścić stajnię - jedyne miejsce, w którym koń czuje się bezpiecznie w chwili totalnego zagrożenia. Buntował się przeciw temu całą swoją istotą. Ale ponaglany przez opiekunów, jeszcze raz im zaufał. Z zawiązanymi oczyma, zdenerwowany tak bardzo, że pot spływał mu po brzuchu, zdecydował się postąpić kilka kroków naprzód. W samą porę, by cała trójka uniknę-

ła walących się z wysokości czterech metrów belek stropu.

- Mamy dużo czasu - mruknął Gryta i jednym haustem wypił kawę z czarnego kubka z logo serialu, jak gdyby ten czas już minął. - A jeśli to rzeczywiście było podpalenie, bardzo dużo.

Zawinięty po uszy w kraciasty pled, siedział na werandzie swojej willi. Chwilę wcześniej wyglądał jak człowiek wtrącony w bezradne odrętwienie, jednak len stan nie trwał długo. Przybycie policjantów obudziło w nim reżysera przywykłego naginać świat do swojej woli, a nie biernie poddawać się kaprysom losu. Zwłaszcza pojawienie się policjanta o imponująco głębokim głosie, z pagonami, które go wyróżniały. Wyglądał na wyższego rangą od kolegów i szczególnie zaprzyjaźnionego z gwiazdorem. Temu się akurat nie dziwiłam. W końcu zażyłość reżysera z policją była ogólnie znana. Zresztą *Niestrudzeni* nie tylko popularyzowali wiedzę o specyfice tego zawodu, jak wiele filmów i seriali o podobnej tematyce, ale robili to w sposób przywracający mu autorytet i wartości pierwotnie przypisane. Widzowie czasem podśmiewali się z naiwnego przedstawiania policjantów, prawych i często heroiczych, wśród których do wyjątków należały zachowania z premedytacją nieetyczne - ale oglądalność wzrastała. Nikt też przecież do końca nie dowierza cudotwórcy Bondowi, co nie przeszkadza Kubie i Serafinowi pasjonować się jego przygodami. Zresztą nie tylko im. Jeśli czegoś bardzo chcesz, to łatwiej w to wierzyć niż szukać dziury w całym, prawda?

Może ten śledczy jest prototypem dzielnego komisarza? - zastanawiałam się, opatrzona już przez lekarza, jak pozostali. Poza Serafinem, którego zabrało pogotowie, nie byliśmy prawie wcale poparzeni, za to brudni i zmęczeni nadmiarem stresu. Przynajmniej ja, bo Kuba już zdążył odprowadzić do „Jupitera” lekko ranne go Gruzina, do którego wezwano z Warszawy zaufanego weterynarza Gryty Okutani ciepłymi kocami, skupiliśmy się wszyscy przy przeciwległym krańcu długiej ławy. W lecie pewnie odbyło się tu niejedno garden party, wzmiankowane później w rubryce towarzyskiej „Gali” czy „Vivy”. Dłonie ogrzewała nam parująca kawa w kubkach Gryty. Mocna, słodka i gęsta od fusów. Taka, jaką Ignac przywykł parzyć swemu chlebobawcy, a ze zdenerwowania zrobił teraz wszystkim jego „gościom”. Reżyser zaś, zamiast schronić się w przepastnych czeluściach domu, którego urządzenie znałam mniej więcej z magazynu o pięknych wnętrzach, wolał zaczekać z nami na dworze. Ze wszystkimi świadkami i uczestnikami wydarzenia, którzy musieli złożyć zeznania. Na pierwszy rzut poszły dziewczyny i opiekunka statystów; potem szybko zwolniono je do domu, żeby uniknąć sensacji. A było co wyjaśniać.

Na zgliszczach, a właściwie w ich sąsiedztwie - na niewielkim padoku przed dawną stajnią, który powstał po wydzieleniu części trawnika - znaleziono kawałki niebieskiego szkła. Poskładane do kupy, wyglądały na część butelki po winie. Wcześniej nikt jej tam nie zauważył.

- Przecież grabiłem dzisiaj wybieg, to bym nie prze-

oczył - zachnął się Ignac w odpowiedzi na docieклиwe pytania śledczego.

Gryta też nie przypominał sobie, żeby pod stajnią walały się jakieś tego typu śmieci. Kiedykolwiek. Owszem, po imprezie w ogrodzie albo przy samym parkanie, kiedy jakiś dowcipniś skorzystał z nieobecności właściciela, to czasami się zdarzało. Ale nie na środku placu, przy zadaszeniu wysuniętym przed elegancką stajnię dla ochrony jej mieszkańca przed opadami i bezpośrednim operowaniem promieni słonecznych. Kiedy przybiegłam, po tej niby-werandzie nie było już śladu. Pożar musiał zacząć się właśnie od niej.

Jedyny spośród czterech znalezionych odłamków nieopalony przez ogień fragment butelki czuć było benzyną. Jej tłustawe ślady pozostały na wewnętrznej ścianie. Pomocnik Gryty „do wszystkiego”, jak mówił o nim reżyser, zeznał, że po zagrabieniu piaszczystego wybiegu sprzątał jeszcze liście, które sypały się już z grabu, o tam, za miejscem na hamak, i nie słyszał wtedy żadnych podejrzanych odgłosów. Ani uderzenia o dach, ani tego jak butelka się rozbiła, oblewając stylowy drewniany gont łatwopalną zawartością.

- No ale potem wziąłem się czyścić tą wykładzinę, co miało się na werandę kłaść na lato, ale co potem pan się rozmyślił - tłumaczył się bardziej przed Grytą niż śledczym, którego pomocnik pilnie notował nasze wypowiedzi. Coś mi przypominało to jego notowanie... I ta butelka... Dlaczego ja wcale się nie zdziwiłam, że ona jest z niebieskiego szkła? Nawet pamiętałam nalepkę z Madonną, choć nigdy nie piłam takiego wina,

a ta całkowicie się spaliła. I dlaczego prawie się spodziewałam, że tę butelkę w ogóle tutaj znajdą?

- Odkurzaczem? - spytał policjant tak, jak to oni zwykle robią: tonem niedowierzania.

- No tak. Byłem w piwnicy, wtedy mogłem nie usłyszeć - wyjaśnił Ignac, uprzedzając następne pytanie. - Tylko jak skończyłem, to był taki jeden huk. Coś jak petarda. Musieli przerzucić przez płot, żeby podpalić.

- Pewnie też byśmy to usłyszeli, gdyby nie strzały w stajni. - Gryta złapał się za głowę, jakby nie mógł sobie darować tego, czego przecież nie był w stanie przewidzieć. Ani tym bardziej czemu nie mógł zapobiec. Tymczasem zbaraniały młodziutki pomocnik wyższego szarżę przez chwilę nie wiedział, co ma pisać.

- Nie przesłyszał się pan - reżyser, zawodowo wyczulony na zdolność mimikry u spotykanych ludzi, od razu zarejestrował na twarzy śledczego odbicie skonstruowanej miny jego pomocnika. W paru słowach wyjaśnił, o co chodzi.

- Czy to możliwe zatem, ażeby ktoś celowo połączył w czasie te dwie sprawy? To by znaczyło, że wiedział o ćwiczeniach naszych koni... Znał rozkład dnia w „Jupiterze”. Albo... mojego? - Gryta niespodziewanie zawiesił głos, tym razem wyjątkowo nie zdając sobie chyba sprawy z tego, jak wspaniale gra twarzą. Nie przypadkiem przy niepozornej w zasadzie prezencji zrobił tak oszałamiającą karierę aktorską.

Widziałam to, o czym mówili, oczyma wyobraźni. Gasiliśmy ogień nie dłużej niż kilka minut, choć wtedy wydawało nam się to wiecznością. Straż pożarna nie

miała później w zasadzie nic do roboty. Nawet nie pamiętałam, kiedy się w końcu zjawiła. Tak jak nie miałam pojęcia, skąd się wzięło to zbiorowisko za ogrodzeniem. Wokół posesji, szczególnie za zamkniętą bramą od frontu, stali gęstym kręgiem mieszkańcy tej części Łomianek, a może sąsiedniej Dąbrowy. Widocznie zwabił ich alarm i widok wozu strażackiego a potem karetki i policyjnego radiowozu. No właśnie, część myślała chyba, że to, co się tu dzieje, wiąże się z nagraniem *Niestrudzonych!* Potwierdzały to urywki komentarzy dolatujące zza ogrodzenia, które dość dobrze zabezpieczało przed ciekawskimi. Policja zabroniła ryzykantom wspinać się na nie, ale sporo młodzieży wdrapało się na pobliskie drzewa. Niektórzy robili zdjęcia nie tylko komórkami. Widać ludzie przywykli do podobnych atrakcji, kiedy w okolicy odbywały się nagrania do serialu. Dwoje wyglądało na fotoreporterów. Obiektywy ich aparatów były długie jak moja ręka.

Kuba pochylił się do mnie i, wskazując na nich oczywiście, szepnął porozumiewawczo:

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, że to koniec naszej anonimowości? Nie mamy już co o niej marzyć. Nie będziesz mogła wytknąć nosa z domu czy z uczelni, żeby nie natrafić na jakiegoś trzeciorzędnego reporterzynę, co to goni za tanią sensacją.

Przejęłam się, zwiedziona w pierwszej chwili jego śmiertelną powagą, a wtedy dodał konspiracyjnie:

- Dlatego musisz mieć ochroniarza. Ostatecznie mogę się poświęcić ze względu na starą znajomość, będziemy za to musieli się martwić, która z podstęp-

nie zrobionych nam razem fotografii znajdzie się na pierwszych stronach gazet. Albo co pokażą w wieczornych wiadomościach...

- Przestań się wygłupiać! - W końcu dotarło do mnie, że to żarty. Jego złowieszcze przepowiednie nie robiły już na mnie wrażenia. Raczej to, że musi błaznować nawet w takiej chwili. Zaraz po tym, jak z narażeniem życia ratował życie koledze. Kiedy on wydorosłeje? Właśnie, dobrali się z Serafinem jak od jednej matki. Tamten też dowcipkował sobie z własnych oparzeń i całej sytuacji, kiedy tylko Gryta go nie słyszała. Jak znam Serafina, nawet pod narkozą podrywa pielęgniarki na pogotowiu. A ten tutaj szybko się od niego uczy.

Wygłupy Jakuba nie pozwalały mi się skupić na tym, o czym intensywnie myślałam: na nieznanym podpalaczu. Kiedy ja tak bardzo się cieszyłam, że wybrali mnie na dublerkę, dwa kroki od „Jupitera” ten ktoś skradał się właśnie z butelką benzyny i jakimiś materiałami pirotechnicznymi. W mojej wyobraźni, wypełnionej od dawna obrazami z *Niestrudzonych*, z konieczności musiał przypominać Wegnera ubranego na czarno i w nieodłącznej kominiarce. To znaczy bohatera, którego grał, oczywiście. Byłego policjanta. Opuścił szeregi stróżów prawa już w pierwszym, pilotażowym odcinku, kiedy to po jakimś doniesieniu zdegradowano go ze stopnia dowódcy oddziału konnego. Jego miejsce zajął wtedy zastępca, który do dziś jest głównym bohaterem. Gryta w filmie, podobnie jak w życiu, wymagał dużo od siebie, ale i od innych. Doniesienie o korupcji szefa zwierzchnikom było właśnie jego

dziełem. Ale nikt poza Wegnerem, którego najbardziej to zabolalo - to znaczy granym przez niego bohaterem, oczywiście, znów musiałam skorygować swoje myślenie o nim - nie znał prawdy o tym, kto go oskarżył. Kiedy próbował o tym mówić, koledzy nie uwierzyli człowiekowi, któremu udowodniono machlojki. Nie uwierzyła nawet piękna poliq'antka Kasia, która po tej aferze zostawiła go dla nowego bohatera. Zmieniła się więc w bandytę, który zemstę uczynił celem swojego życia.

Racja, fabuła nie odbiegała zbyt od schematów innych seriali sensacyjnych. Tak jak sprawy w prawdziwym życiu, choć zawsze indywidualne i nasze własne, dadzą się przecież podciągnąć pod kilka podstawowych scenariuszy, jak by to powiedziała Zuza Anna. Diabeł tkwi w szczegółach. No właśnie, bohater kreowany przez Wegnera lubi, gdy inni nazywają go Diabłem... Mówią tak o nim członkowie patrolu, bo chociaż podejrzewają, kto ukrywa się za kominiarką, nie wiedzą tego na pewno.

- Halo, do ciebie mówię! - głos śledczego wyrwał mnie z rozmyślań w chwili, kiedy coś zaczynało mi się układać. Ta niebieska butelka wałała się pod kopytami cwałujących koni w sekwencji otwierającej film. Początek września, pierwszy odcinek z najnowszej serii, tło dla napisów...

Odpowiedź znalazłam, zanim skończyłam streszczać swoją wersję wydarzeń. Sama! Z dumy i radości już chciałam podzielić się ze wszystkimi, do czego doszłam, ale zawstydziłam się swego pomysłu. Szczególnie przed Grytą. Bo to było jednak dziecinne.

- O czym myślisz? - Kuba nie dał się spławić wykrętem. - Przecież widziałem, jak się wszystkim przyglądałaś. Jakbyś szukała wśród nas mordercy swojego ulubionego konia. A przecież Gruzinowi w końcu nic wielkiego się nie stało. Już my o niego zadbamy w ośrodku!

- Wiesz, ja nie podejrzewam kogoś stąd, czy w ogóle z ekipy... Równie dobrze mógł to być jakiś zwariowany fan. Albo ktoś zupełnie obcy, kto zazdrości Grycie sławy czy raczej pieniędzy.

- Tylko kto? - nie dawał za wygraną.

Czułam, że głupio zabrnęłam. Więc żeby pokryć zmieszanie, palnęłam głośniej, niż zamierzałam.

- Przecież to prawie jak sekwencja z *Niestrudzonych!*

I rozejrzałam się, czy nikt więcej tego nie usłyszał. Szczególnie Gryta. Bo kiedy w serialu Diabeł omal nie wysadził w powietrze policyjnej stajni, jedyną osobą, która to w porę dostrzegła i uratowała konie, był dzielny komisarz. A w życiu? Kulejący aktor niewiele by zdziałał bez naszej pomocy. Za którą w tym całym zamieszaniu w końcu nie podziękował. Całe szczęście, że tylko tak się skończyło. Tym razem. Bo niejasno czułam, że to dopiero początek serii kłopotów...

- Wiesz nad czym jeszcze się zastanawiam? Dajmy na to, że faktycznie ktoś chce zaszkodzić Grycie. Ale dlaczego wyżywa się na Bogu ducha winnym koniu? A raczej koniach. Bo może wcześniejszy wypadek z Lolitą też był zaaranżowany?

Kiedy pozwolono nam odejść i otworzyliśmy furtkę, za którą stał zaparkowany gazik, ludzie wciąż tam

byli. Żarty Kuby okazały się w pewnym stopniu prawdziwe. Ku memu zaskoczeniu zbliżyli się do nas fotoreporterzy i zaczęli nam bez opamiętania pstrykać zdjęcia jak jakimś gwiazdom. Para dziennikarzy, których wtedy zauważyłam na drzewie, każde z innej gazety, natarczywie wypytywała o Grytę i nasz związek z nim oraz wydarzeniami, których nie zdążyli zobaczyć na własne oczy. Skuliłam się, zabrakło mi refleksu na jakąkolwiek inną reakcję. Za to Kuba znosił wszystko bez sprzeciwu, uśmiechając się bez skrępowania mimo okropnie umorusanej twarzy. Nie chcieliśmy robić Grycie dodatkowego kłopotu prośbą o ciepłą wodę, licząc że przemkniemy niepostrzeżenie do domu. Kiedy pospiesznie wsiadałam do samochodu, Kuba, nadal bez słowa odpowiedzi, wygiął się w dwornym ukłonie, pozując do kolejnego ujęcia z bezczelnym uśmiechem szczęśliwego człowieka. Wyglądał tak niestosownie do okoliczności, że nachalna pismaczka dała mu spokój po jednym czy dwóch ujęciach.

Odjechaliśmy, nie przypuszczając, ile ta fotografia narobi kłopotu.

Rozdział ósmy

Imprezę urodzinową Mariolki trzeba było przełożyć. Poparzony Serafin nawet po zabiegach troskliwych pielęgniarek wyglądał, jakby weekend spędził w okopach, i to na prawdziwej a nie kaskaderskiej wojnie. Role się odwróciły - teraz to Kuba zaopiekował się nim. Ułatwiał to fakt, że mieszkali w jednym pokoju na tyłach hotelu pracowniczego w „Jupiterze”.

- Najgorsze, że co najmniej przez kilka dni nie będzie mógł nic robić rękami. Ani zginać dłoni, ani nawet ich zamoczyć - tłumaczył mi przez telefon, mocno przejęty rolą pielęgniarza.

Dobrze wiedziałam, co znaczą bolące dłonie. Któregoś razu urządził mnie tak młody koń, którego uczyłam chodzić w kółko na lonży. Miał delikatny pysk, więc wymyśliłam, że zaczepię linkę za kantar, a nie za wędzidło. Rozbrykany ogierek poczuł swoją siłę i pociągnął mnie za sobą, zdzierając skórę z wnętrza dłoni, w której za wszelką cenę próbowałam utrzymać linkę. Cóż, od tej pory trochę zmańczałam.

Choć Mariolka była innego zdania. Zwłaszcza że

jeszcze tej soboty zadzwoniła Zuza Anna i wydało się, że obiecałam pomóc przy archiwach. Scenarzystka py--ła, czy nasza współpraca jest aktualna.

- Jak najbardziej - odparłam, ścigana pełnym dezaprobaty wzrokiem współlokatorki. Ale nie przejęłam się tym zbyt. Najważniejsze, że ogarnięta współczuciem dla mojego stanu zarzuciła kolejną dietę cud i zabrała się za gotowanie pożywnego rosółku dla rekonwalescentki. No, jedno małe oparzenie przecież miałam.

Całą niedzielę spędziłam przykładowie nad książkami. Nawet nie chciało mi się iść na imprezę integracyjną mojego roku. Wcześniej na otrzęsinach też nie byłam - musiałabym się chyba rozdziwić!

W poniedziałek po zajęciach spotkałam się z Zuzą Anną. Odwołała dyżur na uczelni, pojechałam więc do biblioteki Narodowej, gdzie od rana spędzała czas na studiowaniu fachowych tomisk o kryminalistyce. Chyba coś o broni palnej, jak sugerowała jedna z okładek. A więc tak to wygląda, kiedy profesjonalistka bierze się za seriale o policji! Ledwie odnalazłam jej stolik w sektorze D czytelni głównej, za szeregiem regałów z podręcznym księgozbiorem. Zerwała się na mój widok i przeszłyśmy do szatni, gdzie zostawiła torbę grubo wypchaną materiałami do posegregowania. Przysiadła na niskim parapecie, aby mi szczegółowo objaśnić, jak mam uporządkować papiery i co trzeba przepisać na komputerze. Szatniarz wpatrywał się łakomym wzrokiem w falę jej granatowoczarnych włosów, odrzuconych do tyłu z niedbałością, która musiała być pozorna. Przy każdym ruchu głowy ślizgało się po nich

światło jak w reklamie szamponu. Nigdy bym nie przypuściła, że taki efekt można osiągnąć bez komputerowej obróbki obrazu.

- Wolałabym oczywiście, żebyśmy popracowały nad tym u mnie w domu, jak się z panią wcześniej umawiałam. Ale w tej chwili to niemożliwe - wyjaśniła... niczego nie wyjaśniając. Wydało mi się nietaktem pytać dlaczego, więc tego nie zrobiłam. Tym bardziej, że scenarzystka sprawiała wrażenie jeszcze bardziej nieobecnej niż zwykle. Może nawet roztrzęsionej. Ale jeżeli tak było, to bardzo starała się tego po sobie nie pokazać. Czyżby nie tylko Grytę prześladowały ostatnio kłopoty?

Wiedziała o spaleniu stajni, ale zachęciła mnie, żebym opowiedziała własną wersję wydarzeń. Co jakiś czas kiwała przy tym głową, jakbym recytowała dobrze wyuczoną lekcję. Z punktu widzenia szatniarza pewnie tak to wyglądało.

- Biedny Dawid, życie to jednak nie film - powiedziała w pewnym momencie tak jakoś bez związku. I chyba wbrew teorii o przenikaniu się dwóch światów, którą głosiła na zajęciach. Nie dalej niż przed tygodniem cytowała nam z jakiegoś magazynu wypowiedź aktora, który gra lekarza w serialu *Klan*. Opowiadał o badaniach amerykańskich psychologów, którzy obserwowali aktorów pracujących przez wiele lat przy tasiemcowych produkcjach. Badacze zauważyli, że z upływem czasu zatracają oni osobowość na rzecz swoich filmowych bohaterów. Choć „doktor Lubicz” ponoć nie odczuwa jeszcze niczego podobnego, coś w tym jest... Przynajmniej na ile poznałam Grytę

prywatnie oraz jako komisarza z *Niestrudzonych* - w obu tych wcieleniach miał podobny charakter. Więc może Zuzie Annie chodziło teraz o to, że w realu nie jest aż taki „zabili go i uciekł” jak na ekranie?

Nieoczekiwanie przeskoczyła na temat Ireny Kwiatkowskiej, dziennikarki ze „Słowa Podlasia”, zakręconej na punkcie koni. Zamiłowana amazonka, ujeżdżała w Kostomłotach trudniejsze z nich. Słynny reportaż o Lolicie otworzył jej drzwi nie tylko do świata filmu, ale i do ogólnopolskich czasopism o tematyce społecznej.

- Przy czym na tych ostatnich zależało urodzonej do tropienia afer dziennikarce o niebo bardziej - powiedziałam.

- Naprawdę? - zdziwiła się Zuza Anna, jak każdy pasjonat swego zawodu na wieść, że ktoś woli mniej pożądane, jego zdaniem, zajęcie. - A jednak przyjęła propozycję napisania tego scenariusza...

Nie wiedziałam, czy to stwierdzenie, czy może pytanie. Zresztą co tu wyjaśniać? A ona podniosła na mnie oczy, z których przez chwilę wyzierało oczekiwanie studentki na odpowiedź wszystkowiedzącego profesora, który pomoże jej zrozumieć to, co niepojęte. Na facetach musiało to robić wrażenie. Ja poczułam się dziwnie. Zresztą nie pierwszy raz w jej obecności. W skupionym wzroku Zuzy Anny było wtedy coś, czego nie umiałam nazwać. Przez te krótkie chwile, kiedy robiła się taka dziecięco bezradna i wyczekująca, najmocniej odczuwałam jej sprężoną wewnętrzną siłę.

- Jakbyś kazała mi wybrać zwierzę, do którego jest wtedy podobna, to do czarnej pantery czającej się

przed skokiem - powiedziałam później w domu Mariolce, która popukała się w czoło i spytała, co ostatnio czytam do poduszki.

Czytałam fragmenty scenariuszy, recenzji, wywiadów i łączyłam je według odpowiedniego klucza. Nie było to trudne, ale ktoś mniej obeznany z twórczością Dawida Gryty łatwo mógłby się pomylić. Praca nad materiałami Zuzy Anny zabierała mi teraz całe wieczory. Czasami wciągało mnie to tak bardzo, że z trudem odrywałam się od teczek, żeby położyć się spać. A nie mogłam pozwolić sobie na poranne wylegiwanie się w łóżku. Codziennie o szóstej rano, kiedy na dworze było jeszcze ciemno, zimno i zazwyczaj mgliście, dzwoniłam do bramy „Jupitera”, stawiając się na obowiązkowy trening. Serafin, kiedy nie mógł normalnie pracować ani robić czegokolwiek, co wymagało sprawności rąk, stał się nieznośny. Świadczyła już o tym godzina, którą ustalił na te indywidualne lekcje.

- Nie będziesz przez konie opuszczała zajęć na uczelni, rozumiano? Młody by mi nie darował. Poza tym ja uczyłem się jeździć na wyścigach, a tam zaczyna się o świcie. To bardzo dobra pora - uciał wszelką dyskusję, chociaż miałam wielką ochotę polemizować. Kubie nic do tego, czy się uczę, czy nie. Zwłaszcza że sam wyprysnął z domu przy pierwszej okazji, kiedy tylko zdał maturę. I nie zanosì się na to, żeby zaczął studiować. Czy on w ogóle zamierza gdzieś zdawać? Postanowiłam pogadać z nim przy okazji na ten temat. Na razie nie wchodziło to w grę. Widywaliśmy się w przelocie, kiedy ja pędziłam już na uniwersytet, a on

wychodził do pracy przy budowie. Głównie w ten sposób zarabiał na utrzymanie w „Jupiterze”, bo póki co nie miał jeszcze uprawnień do wykonywania zawodu kaskadera, więc za ryzykowanie na potrzeby *Nieustrudzonych* Gryta nie płacił mu więcej niż zwyczajnym statystom. Za to hala rosła w oczach z dnia na dzień. Podobno wewnątrz ujeżdżalnia miała zostać wyposażona w ogromną lustrzaną ścianę.

Trenowałam pod okiem Serafina galopy pełne zwrotów, uników i nagłych zatrzymań według opisu scen, w których miałam dublować aktorkę. W tym szczególnie trudne dla mnie ujęcie, kiedy musiałam przewrócić wierzchowca przed przeszkodą w chwili, gdy składała się do skoku przez barierkę. Na ekranie miało to wyglądać tak naturalnie, jak gdyby to koń poślizgnął się i przewrócił pod Kasią, która wraz z całym patrolem brała udział w poskramianiu rozwydrzonych pseudo-kibiców na stadionie. Przeważnie nie zdążałam w porę zatrzymać rozpędzonego kasztanka. Kilka razy przeleciałam przez jego szyję i upadłam na ziemię sama, cudem nie łamiąc sobie karku ani nawet nadgarstka. Mimo jasnych wskazówek kaskadera bałam się przewrócić półtonowe zwierzę. A jeśli nie zdążę się przekręcić i mnie przygniecie?

Musiałam też podpisać zgodę na obcięcie włosów i ufarbowanie ich a la Rutkiewicz. Gdyby organizatorzy mogli przewidzieć opóźnienie w realizacji nagrań z powodu oparzeń Gruzina, pewnie nie spieszyliby się tak z wyborem dublerki. Jak nic zostałyby nią któraś / profesjonalnych kaskaderek, w tej chwili związanych kontraktem z innymi dużymi produkcjami. Ale skoro

nie wycofali się z tej pochopnej umowy ze mną, to nie może być aż tak trudno - pocieszałam się po kolejnej nieudanej próbie. Dobrze, że Gryty przy tym nie było. W ogóle nie widywałam go w „Jupiterze”. Ani przy domu, obok którego przechodziłam za każdym razem, specjalnie nadkładając drogi.

Ćwiczyłam na maneżu za budową. Liście z pobliskich drzew wirowały nad nami, wplątywały się w jasną grzywę kasztanka i przylepiały do jego wilgotnej szyi. A roztrzęcane kopytami, wlokły się rdzawym tumanem przy ziemi. Grabienie pomagało ledwie na chwilę, za pierwszym powiewem wiatru sfruwały z Kampinosu nowe zastępy. Czasem towarzyszył nam rudy pies, którego obecność uspokajała konia, zdenerwowanego przedłużającym się treningiem. Zwierzęta spały nawet w jednym boksie.

- Może Gruzin też powinien mieć takiego kolegę, kiedy wróci do odbudowanej stajni? Zamiast tych spacerów dla relaksu - zagadnęłam Serafina, wykorzystując moment, kiedy wyjątkowo na mnie nie pokrzykiwał. Ale nie wiedział, o co chodzi. Opowiedziałam więc o wieczornym spotkaniu z Ignacem.

- A wiesz... teraz sobie przypominam, że Gryta opowiadał mi o tym. Ignac wymyślił tę akcję i na ochotnika zgłosił się wyprowadzać konia na popas. Tam koło nich jest taki kawałek dzikiej łąki, jeszcze przed rezerwatem... Ale przecież śmiał się z pomysłów swojego pomocnika i nie wyglądało na to, żeby miał się zgodzić.

Zaraz po treningu, jeśli tylko czas mi na to pozwalał, zaglądałam do Gruzina. Wracał do formy. Niegroźne rany na jego muskularnym, zahartowanym ciele zra- stały się ładnie pod warstwą sprayu przyspieszającego gojenie.

- Gdyby nie to, że największa trafiła mu się na kar- ku, od razu by wrócił do pracy pod siodłem - wyjaśniał Serafin, nie wspominając o własnych obrażeniach, które i tak uniemożliwiały kontynuowanie nagrań.

Już drugi jeździec Gruzina odpadł z gry, przynajm- niej na jakiś czas. Czy to nie dziwny zbieg okoliczno- ści? - zastanawiałam się. Jak tak dalej pójdzie, to kto będzie dosiadał fryza przed kamerami? Wegner?

Tymczasem nadmiar energii ogier wybrykiwał, ga- niając w kółko na długiej lonży. Nie można go było pu- ścić luzem, bo od razu próbował się wytarzać i zetrzeć z siebie znienawidzone białe paskudztwo. Jak każdy fryz, tym bardziej przebywający głównie w stajni, wy- magał długiej i pracochłonnej pielęgnacji. Tu miałam pole do popisu.

- Kudłaty to ma życie! Doczekał się nawet osobistej kosmetyczki - podśmiewali się ze mnie stajenni, w głę- bi ducha zadowoleni, że ktoś wyręcza ich w obowiąz- kach. Codziennie rozczesywałam grzywę i ogon, szcze- gólnie dbając o szczotki nad kopytami. Bo długie włosy zbijały się w kontakcie ze ściółką i błotem, co groziło stanem zapalnym pędny czyli tak zwaną grudą.

Pałam go też czasem na częściowo zadrzewionym padoku za stajniami. Wysoki mur - prawie jak ten z *Ta- jemniczego ogrodu*, gdyby tylko nie jeżył się zwieńcze- niem z kolczastego drutu - oddzielał nas od ogromne-

go lasu. Warszawa to ma szczęście - jako jedyna europejska stolica graniczy z parkiem narodowym. Niestety niewielu z moich tutejszych znajomych miało czas zauważyć, że w Kampinosie trwa właśnie apogeum jesieni. Sprawdziłam to, wypuszczając się w wolniejszej chwili na wędrowkę okolicznymi szlakami. Kolory liści dębów wprost nie do opisania, tyle odcieni miedzi, rdzy, złota... Brzozy nie wiadomo kiedy straciły liście. Orlice całkiem suche, szarobrazowe. Inne paprocie tak samo zwarzone pierwszymi szronami. Ślady żerowania łosi, których jednak nie udało mi się spotkać, choć tropiłam je tak wytrwale, że omal nie zabłądziłam, zszedłszy ze szlaku. Ponoć gdzieś tu w okolicy jest rezerwat Sieraków, miejsce ich najliczniejszego występowania. Gdyby tak przemierzać puszcę konno, jak policjanci w ostatnim odcinku *Niestrudzonych*, o ile więcej udałooby się zobaczyć!

Ale ja to bym chciała mieć od razu wszystko. Tymczasem ze ssaków spotykałam grzybiarzy i turystów. Coraz ich mniej, ale wciąż za dużo, żeby spacerować z Gruzinem poza terenem ośrodka, co mi się marzyło. Bo urodziwy, przez wielu kojarzony z telewizji fryz wzbudzał powszechne zainteresowanie. Zwłaszcza odkąd do mediów przeniknęła informacja o podpaleniu stajni. A Gryta, jak mógł, unikał teraz wścibskich dziennikarzy, którzy od dawna wokół niego krążyli. No i przede wszystkim, do czego nie przyznawał się głośno, obawiał się sprowokować niezidentyfikowanego prześladowcę do kolejnej próby zaszkodzenia jemu albo koniowi w sposób, którego nie dało się przewidzieć.

Bo chyba nikt już nie wierzył w serię przypadkowych nieszczęść.

- Zdziwiasz mnie coraz bardziej. - Mariolka, z szybkim, taksującym spojrzeniem. Nie dało się ukryć, że wciąż jeszcze chodziłam jak postrzelony kowboj. Po tym, jak dwa dni wcześniej dostało mi się w biodro zadnią nogą kasztanka. „Przez twoją nieostrożność” - skomentował wtedy bezdusznie Serafin i kazał mi wdrapywać się na siodło. Bez marudzenia. Mimo bólu nagalopowałam się podczas tej godziny jak nigdy w życiu. To nie były romantyczne przejażdżki jak w czasach Filipa, o nie. Ale im ciężiej pracowałam, tym bardziej cieszyła mnie prostota końskiego świata i fizyczna przyjemność z „dogadywania się” ze zwierzęciem w coraz doskonalszy sposób. W siodle nie miałam czasu na myślenie o czymkolwiek poza jazdą. Tu można się było zatracić jak w tańcu. Nie liczył się wygląd ciała, ale jego skuteczność. Cieszył każdy, nawet niewielki postęp. Regularne treningi sprawiły, że energia mnie rozsadzała. Ludzie z roku byli przekonani, że właśnie zakochałam się z wzajemnością. Szłam jak burza przez listę lektur, nie opuszczałam obowiązkowych zajęć i byłam najszczęśliwsza, kiedy z powodu czyjejś nieobecności udało się wcześniej odbębnić kolejny wymagany referat. A wszystko po to, żeby mieć spokój, kiedy wreszcie zaczną się nagrania.

Nawet Mariolka przyznała, że myliła się, sądząc, iż nie poradzę sobie ze wszystkim. Dobrze, jesteś twarda, pokazałaś na co cię stać, więc już odpuść sobie trochę

i nie zabijaj się, dziewczyno, powtarzała. Ale to już nie była kwestia udowadniania komukolwiek, co potrafię. Miałam wreszcie jakiś cel, który odrywał mnie od gdybań na temat Filipa. Przynajmniej dopóki nie zgasiłam światła przed snem. Mimo to Mariolka przyglądała mi się z niedowierzaniem. Tak jak teraz, kiedy cisnęłam w kąt plecak wyładowany świeżutkimi kserówkami i z miejsca rzuciłam się na lodówkę. Dopiero po dwudziestej znalazłam czas na drugie śniadanie. Zjedzone na stojąco, bo cały blat zajmowały precyzyjnie rozmieszczone kawałki materiału w kolorach od kakaoowego do mlecznobiałego. Mariolka skroiła właśnie coś, co mogło być równie dobrze fartuchem i sukienką.

- Coś się stało? Wieki całe nie szyłaś patchworków... O, jakie to ładne - pochwaliłam całkiem szczerze, ale z niezbędną dawką ostrożności. Żeby nie urazić jej uczuć, gdyby się okazało, że to jeszcze coś innego.

- A tam, taki sobie szlafroczek na zimę - aż dmuchnęła w puszystą grzywkę, nie podejrzewając podstępu. Przyznałam sobie plus za krok do przodu w trudnej sztuce dyplomaq'i.

- Tylko chyba wyszłam z wprawy, bo strasznie wolno mi idzie. Nie to, co tobie... - mówiąc to, starała się omijać wzrokiem półlitrowy jogurt z owocami, którym zapychałam całodniowy głód. Zazdrościła mi go bardziej niż łatwości w rozwijaniu własnych pasji.

- Sorry, już zmykam z tym do pokoju. Zapomniałam, że ty od wczoraj na wodzie z cytryną - zagarnęłam na zapas wafle ryżowe i parę jabłek. W progu jeszcze się odwróciłam.

- A wiesz, że mnie samą zadziwia ta odmiana.

Człowiek nie wie, na ile go stać, dopóki nie spróbuje, no nie? Najdziwniejsze to, że wszystko samo się teraz dzieje. Jakbym ruszyła jakieś koło zamachowe i teraz ono pociąga mnie w wir za sobą, kiedy tylko mam ochotę zwolnić obroty. Tyle nowych umiejętności zaczęłam w sobie rozwijać. Czasem zastanawiam się... Może ja mam talent do kaskaderki albo nawet do aktorstwa? A przynajmniej do organizowania sobie czasu?

Ale na razie poczekam z odpowiedzią na to pytanie.

Rozdział dziewiąty

I dobrze, że kazałam sobie poczekać. Siedzę w piżamie na nieposłanym łóżku, a wskazówka przesuwająca się na godzinę jedenastą przed południem nie robi na mnie wrażenia. Przez całe dwa tygodnie byłam tak aktywna, a teraz nic mi się nie chce. Wszystko okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Tak energicznie weszłam w to swoje studenckie życie, że raz a dobrze rozkręcone koło zamachowe teraz wciąż jeszcze napędza tę maszynę. I to coraz bardziej. Choć ja chciałabym wyhamować.

Spać, spać, spać. Albo siedzieć beczynnie przez cały dzień i słuchać radia. O które już nie muszę walczyć z Filipem w samochodzie. Nie lubił, żeby rozpraszało jego uwagę, gdy prowadzi. O nic teraz nie muszę walczyć. I nie chcę. Bo przecież starać się warto tylko dla kogoś... A kogo tak naprawdę obchodzi, co się ze mną dzieje? Choćby jak wypadnę na poniedziałkowym nagraniu? Najchętniej wycofałabym się na dwa dni przed filmowym debiutem. Tym bardziej, że zaczynam sko-

kiem na głęboką wodę. Scena na stadionie! Dobrze, że Kuba też tam będzie. No i Serafin, który wrócił do ćwiczeń z Gruzinem.

Teraz już wiem, na czym polega talent tego ogiera. Dzięki wybitnemu zmysłowi równowagi potrafi na przykład wspiąć się i stać na dwóch nogach dobrych parę minut dłużej niż każdy inny ze znanych mi wierzchowców. Ale to też zasługa kaskadera, nie bez powodu zaliczanego do krajowej czołówki. Serafin potrafi wydobyć z Gruzina, co tylko chce. Przyglądałam się w „Jupiterze”, jak pracował nad sceną, za którą niedawno oberwał od reżysera. Zacisnął zęby i powtarzał ją do skutku, z Kubą albo i bez niego. Trzymał karego łak długo, aż ten zaczynał się chwiać. Zwierzę łapało równowagę, bijąc powietrze przednimi nogami, tak jak tonący wodę, kiedy próbuje się czegoś uchwycić. Zadnie, na których opierał się cały ciężar konia i jeźdźca, drżały coraz bardziej. Tymczasem Serafin nadal nie pozwalał na zmianę pozycji. To odchylał się do tyłu, ściągając wodze, gdy koń usiłował opaść na cztery nogi, to znów kładł się całym sobą na jego potężnej szyi, kiedy groziło mu przygniecenie ponadsięćsetkiogramowym ciałem. Przy tym, choć nie używał siodła i jego stopy nie miały oparcia w strzemionach, nie obsunął się ani trochę. Wytrenowane łydki i kolana zacięły się na żebrach Gruzina jak stalowe kleszcze.

Prezentowali się razem zjawiskowo. Obaj nieprzejętnie bystrzy, silni i odważni, mistrzowsko porozumiewali się ze sobą niedostrzegalnym dla obserwatora językiem drobnych gestów i ruchów. Serafin mógłby wiele osiągnąć z tym koniem. Może nawet więcej niż

Gryta. Oczywiście gdyby chłopaka z zaułków północnej Pragi stać było na wartego kilkadziesiąt tysięcy euro fryza. Bo jego właściciel prawie w ostatniej chwili zdecydował się obejść bez dublera. Przynajmniej w kluczowej scenie z meczem piłkarskim. Widocznie noga mniej mu już dokuczała, bo znów spróbował dosiąść konia. Tym razem, krzywiąc się z bólu, dopiął swego.

- Nasz olimpijczyk z Moskwy, Jan Kowalczyk, ponoć skakał kiedyś przez przeszkody z nogą w gipsie, tylko go sobie kazał uczernić jak oficerki, bo by go komisja sędziowska nie dopuściła do zawodów, gdyby się wydało. To ja nie dam rady? - odgrażał się żartobliwie dziennikarzom, żywo zainteresowanym rozwojem jego kariery. Ostatnio chyba nawet bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

On może poradzi sobie nawet mimo kontuzji, ale ja, choć tyle wysiłku włożyłam w przygotowania, panicznie się boję, że zawiodę w decydującym momencie. W dodatku czuję się w nowej fryzurze jak w przebraniu. Skrócone i wycieniowane włosy sięgają mi zaledwie po łopatki. No i te jasnoblond pasemka... Chociaż musiałam przyznać za Mariolką, że wyglądam lepiej i doroślej niż do tej pory. Tylko że wcale się tak nie czuję. Bo zaległości zaczynają się tworzyć mimo starań z mojej strony, co wyszło ostatnio na kolokwium. Ledwie zaliczyłam, a nie było trudne. Zuza Anna natomiast zarzuciła mnie nową porcją materiałów. Całe szczęście, że nadal mogę pracować nad nimi we własnym domu, bo nie wyrobiłabym z dojazdami na Ochotę.

- Przepraszam, ale wciąż mam na głowie remont mieszkania - tłumaczyła się, wręczając mi tym razem podwójną liczbę teczek. Remont! Więc tylko o to chodziło.

Któregoś razu spytałam Serafina, czy ją poznał osobiście i co o niej sądzi.

- Widziałem ją raz czy dwa. Rzadko się pokazuje na planie. Napisze co trzeba, weźmie za to grubszą forszę, oddaje tekst Grycie i już nie dba, co się dalej dzieje ze scenariuszem. Ufa całkiem reżyserowi. On też chyba nigdy się na niej nie zawiódł. To zgrany duet, rozumieją się w pół słowa, tak mi się wydaje.

- Ale co ty o niej myślisz? No, jako o kobiecie i w ogóle... To aż dziwne, że jest sama. W końcu nieźła z niej laska, co?

Serafin ubawił się, jakbym opowiedziała kapitalny dowcip.

- Ona wygląda tak, jakby jej zupełnie nie zależało na tych sprawach - ocenił Zuzę Annę po swojemu - No wiesz, taki typ dyrektorki, a nie kochanki. Jak tu była z miesiąc temu i rozmawiała chyba z Wegnerem, już nie pamiętam, to skupiała się tylko na tym, o czym mówiła. Zupełnie jej nie obchodziło, jakie wrażenie robi na facecie. A robiła! Dziwna z niej kobitka...

No, on też jest dziwny z tym milczeniem zakłętej królowny na temat zerwanego popręgu, przez który jego przełożony omal nie zginął. Niby bąknął, że takie rzeczy zdarzają się same z siebie. Widziałam to siedło w „Jupiterze”. Rzeczywiście, pas nie wygląda na przecięty, tylko zwyczajnie naderwany od używania. Ale czemu, kiedy próbuję zejść na ten temat, Serafin robi

się sztywny jak nie on? Poznałam go już na tyle, że potrafię dostrzec w tym jego sposób maskowania niepewności. Przez to nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś ukrywa... Czyją winę?

Może dzisiaj wieczorem coś się wreszcie wyjaśni, kiedy chłopaki przyjdą na imprezę. Nie dało się tak długo zachować tajemnicy przed solenizantką, ale to dobrze - we dwie szybciej uporamy się z przygotowaniami. Poczekam z tym tylko, aż Mariolka zamknie „Spożywczak”.

A teraz zrobię sobie na pocieszenie pyszniutką neskę ukręcaną z cukrem. Jak dotąd jedyne, czego porządnie nauczyłam się na studiach, to częste picie kawy. Zabiorę się też za paczkę czasopism, które Mariolka odłożyła mi z ubiegłego tygodnia. Chandra w wolną sobotę ma swoje zalety...

Nie zdążyłam nawet włączyć czajnika.

- Dziecko, w cóżeś ty się wpakowała? - usłyszałam zamiast zwyczajowego „halo” albo „dzień dobry”, kiedy tylko podniosłam słuchawkę. Babcia! Prawda, miałam zadzwonić do domu. Ale nawet nie dała mi się wytłumaczyć.

- Co ty mi tu oczy zamydłasz brakiem czasu! - huknęła, aż się wyprostowałam. O co znów chodzi? Kochana z niej staruszka, ale jak sobie coś umyśli, to nie ma zmiłuj się, jak by to sama powiedziała. - Nic dziwnego, że kiedy do ciebie nie zadzwonić, to cię w domu nie ma albo kieszonkowego telefonu nie odbierasz. Miałam rację, że jak o tobie takie rzeczy w gazetach wypisują, to musi być prawda!

- Babciu, o czym ty mówisz?

Usiadłam na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że wcale się nie przesłyszałam. Czy to nie ja przed chwilą użalałam się nad sobą, że nikogo nie obchodzą moje sprawy? Rzuciła nazwę kolorowego tygodnika, którego u nas w domu na pewno się nie czytywało.

- Sąsiadka mi pokazała, bobyśmy nawet nie wiedzieli. Ona też niby nie kupuje, ale jak zobaczyła w kiosku okładkę, to nie wytrzymała, żeby nie wziąć. Cała ulica już wie o tobie!

- Zdaje się, że wiedzą od dziewiętnastu lat... - wtrąciłam nieśmiało.

- Tu nie ma nic do śmiechu! Dopiero co prowadzałaś się po kryjomu z tym weterynarzem i co z tego wyszło? Jeszcze ci mało wrażeń? Za aktorów się bierzesz?

- Za kogo?!

- Przecież wyraźnie na zdjęciu widać, że to ty jesteś! Chociaż napisali, że kto inny. Ale ja mam dobre oczy.

Wiedziałam z doświadczenia, że nie mam szans włączyć się do rozmowy przez najbliższych parę minut. Skoczyłam więc po gazety Mariolki, zerwałam sznurek i przekopałam się nerwowo przez cały stos. Jest! Plotkarskie pisemko, którego naczelną zasadą było rozdmuchiwanie afer i skandali bez oglądania się na nikogo i na nic. Na okładce szelmowsko uśmiechnięty Kuba otwiera drzwi auta z logo „Jupitera” na masce przed blondynką z włosami zwiniętymi w rozczochrany koczek, która zasłania się rękoma od fotoreporterów. Zdjęcie, zrobione przecież z bliska, najnowocześniejszym aparatem, było celowo nieostre, zwłaszcza w rejonie mojej twarzy. Miałam też rozświetlone kom-

puterowo włosy. Z trudem siebie rozpoznałam, ale dla Koźbielowej widać nie ma *rzeczy* niemożliwych. Napis przez całą szerokość okładki wrzeszczał czerwonymi literami: *Gdzie się ukrywa Kasia?!*

Wewnątrz znalazłam kilka ujęć werandy zrobionych z takiej perspektywy, że wydają się... przytulona do Dawida Gryty! Albo raczej zmontowanych po wycięciu tła między nami i, tym razem, także Kuby. To do niego się nachylałam, kiedy straszył mnie paparazzi.

Króciutki artykuł szedł o krok dalej niż informacja na okładce. *Znaleźliśmy Kasię Rutkiewicz!* - obwieszczał w tytule anonimowy autor. Pewnie ta natrętna babeczka, którą tak spławiliśmy. Ale przecież nie pomyliła mnie wtedy z aktorką!

Podważenie o skrzętnie ukrywany romans potwierdzają unikalne zdjęcia naszych fotoreporterów... Tragiczny pożar, z którego cudem ocaleli nasi bohaterowie oraz szacowana na półtora miliona willa reżysera...

Jakim znowu cudem?! Przecież dom stoi za daleko, żeby mógł zająć się ogniem. Chyba że przy bardzo silnym wietrze, którego nie było.

...uderzające podobieństwo kobiety do gwiazdy serialu Nistrudzeni, której niespodziewana decyzja o wycofaniu się przed końcem zdjęć poruszyła wszystkich naszych czytelników...

A co oni, sondę zrobili na ten temat? No i mogliby się raz zdecydować: znaleźli Kasię czy jej sobowtóra?

Z nieukrywaną (w przeciwieństwie do jej pobytu w tym miejscu, ha, ha) troską pocieszała zrozpaczonego Dawida Grytę...

Ja śmiałabym go pocieszać?!

Tajemniczy wyjazd okazał się wymówką, która nie zwiodła jednak naszych reporterów... Pozostaje pytanie: czy para spędziła ze sobą jedynie upojny weekend? A może znana ze swych kapryśków gwiazda przeprowadzi się już na stałe?

To niby do owego na wpół spalonego domu czy jak? Z trudem dobrnęłam do końca tego arcydzieła science fiction. Choć, prawdę mówiąc, tylko fiction, bez żadnych naukowych podstaw.

A je, pani Kasiu! Co na to wieloletni przyjaciel aktorki, superprzystojny amant filmowy Paweł Wegner?

- Halo, jesteś tam jeszcze? Co, może nie wiesz, co powiedzieć?

Ręce mi opadły na marnej jakości kartki, zmięte już po pierwszym przejrzeniu gazety. Cienkie jak papier toaletowy i równie niezawodne, skoro potrafiły wchłonąć taki stek bzdur.

- Masz rację, babciu. Tego się nie da wytłumaczyć!

Mimo to spróbowałam. Nie udało mi się do końca uspokoić babcinych obaw. Uratowało mnie trochę zapewnienie, że ten na okładce to nie żaden aktor, tylko kuzyn Borków z Kostomłotów.

- A, to co innego, znaczy że może być porządny chłopak... Czekaj, tych Borków, co obiecałaś zapytać przy okazji o kopaczkę do ziemniaków, czy jeszcze chcą sprzedać? - połknęła haczyk. Potem jednak niepotrzebnie przyznałam się, że dorabiam sobie do stypendium i kieszonkowego.

- Pilnuj szkoły, póki mamy cię za co uczyć, bo to pierwsza rzecz. Jeszcze się zdążysz w życiu napracować. A może ty nie masz co jeść? To wyślę dziadka, za-wiezie ci torbę dzisiaj albo jutro.

No, to byśmy sobie poimprezowali!

- Dzięki, babciu, ale naprawdę nie trzeba. Przecież za tydzień wracam do domu. Na Hubertusa!

- Czy kaskaderzy nigdy nie odczuwają strachu? - zaciekała się Mariolka ogólnie, ale jej oczy pytały tylko jednego z obecnych. Wtulona w głęboki fotel jak w jamkę, z podwiniętymi nogami i miską orzeszków wyglądała niczym dobrze przygotowana do zimy wiewiórka. Choć zapewne nie o ten efekt jej chodziło. Nie włożyłaby przecież swojej najlepszej kiecki z dzianiny. Tak długiej i szerokiej, że mogła owinąć się nią jak kocem. I z taaakim dekoltem. Ciekawe, czy to dlatego, że parę dni temu powtórzyłam jej opinię Serafina o kobiecie idealnej: po pierwsze nie może być z tych, co to staniki oglądają tylko w katalogach. Przynajmniej zrozumiałam, dlaczego chłopięco smukła Zuza Anna nie robi na nim wrażenia. A Mariolka... Cóż, kupuje bieliznę prawie wyłącznie z katalogów. Dla pań, którym natura okazała wyjątkową hojność.

Obaj zjawili się u nas późno, prosto z planu. Wcześniej wraz z innymi kaskaderami i tłumem statystów wcielili się w uczestników dwóch wrogich sobie demonstracji i kordonu policji, aby zetrzeć się widowiskowo na Nowym Świecie, zamkniętym dla ruchu ulicznego na czas weekendu. Ponieważ w tej scenie nie przewidziano obecności Kasi, a z grona „szeregowych” statystów byłam teraz wyłączona, musiałam się zadowolić relacją chłopaków. Nie szczędzili nam szczegółów swoich kaskaderskich wyczynów. Mariolce grzywka podfruwiała raz za razem, kiedy słuchała tych

opowieści. Żebyż jeszcze Kuba pozwolił błysnąć Serafinowi! Teraz też ubiegł go z wyjaśnieniem:

- Tylko wariat się nie boi! Ale za to jak to kręci! Raz spróbujesz i wciąga cię jak gra - tylko patrzysz, jak wskoczyć na wyższy poziom. Wystarczy umieć się zaprzyjaźnić ze swoim strachem. Do tego mieć stalowe nerwy i wyobraźnię. Dzięki niej wiele rzeczy da się przewidzieć. Bo do pewnego momentu kaskaderka to czysta matematyka; wiele czynników można po prostu obliczyć... Dobra, dobra, już idę! - usłyszał wreszcie moje wołanie z kuchni. W samą porę, bo za chwilę zaczęłyby wspominać swoje chwalebne początki: w dzieciństwie włożenie gdzie się dało, skakanie po drzewach i rozbicie komunijnego roweru w ciągu pięciu dni, a niewiele później kilku motocykli, zanim wreszcie odnalazł się we wspinaczce skałkowej. Już to słyszałam, a Mariolka wcale nie była ciekawa jego przegód z okresu dorastania w Górach Świętokrzyskich.

- Po co mnie wołałaś, jak jeszcze się dobrze nie za-grzało? - zdziwił się naiwnie. Pochylił się nad dymiącym garnkiem i wciągnął w nozdrza cierpki zapach wina. Dodałam dużo skórki pomarańczowej i słodko pachnących goździków.

- Zestaw idealny na jesienne wycie wiatru za oknem, co? - doprawiłam słowa porcją rozpaczliwych gestów pod hasłem: zostawmy ich samym sobie. Kuba zmarszczył czoło z filuternym, czułym uśmieszkiem - jak zwykle wyczulony na dwuznaczności w tekstach, które mógł odnieść do nas.

Zamarudziliśmy przy kuchni, ile się dało. Kiedy wróciliśmy z nową dostawą wina i przekąsek, rozmo-

wa w pokoju nie nabrała jeszcze żadnych osobistych tonów. I nie zanosіło się na to. Serafin rozsiadł się wprawdzie wygodnie, ale zmysły miał napięte i czujne jak ktoś, kto mocno się kontroluje. Pierwszy raz widziałam go w towarzystwie kobiety, której nie próbował uwodzić choćby w żartach. Ale rzeczywiście nie flirtowali ze sobą. Mariolka wyglądała na mocno znużoną jego wywodami.

- W środowisku mówi się, że powinien przyhamować swoje kaskaderskie zapędy i dać zarobić fachowcom. Nigdy nie będzie jeździł ani grał tak dobrze jak Gryta. Choćby stanął na tych swoich babskich rzęsach! A wygląda na to, że chciałby nawet lepiej od niego. Stara się za wszelką cenę udowodnić krytykom, że się mylą. Bo mają go za beztalencie, które zawdzięcza karierę wyłącznie temu, jak wygląda. A on faktycznie jest cienki Bolek.

Przerwał, dostrzegłszy nas w progu. Na twarzach obojga odmalowała się wyraźna ulga, a Serafin wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie:

- Mówię o Pawle Wegnerze.

- Rozkochany w sobie zarozumialec, to ci powiem! Nadęty bufon, co ma się za lepszego od innych, bo jest kaskaderem i pracuje w filmie! Bardzo mnie rozczarował. Bardzo! - Mariolka potrząsnęła głową niczym narowista klacz schwytana z nienacka za wodze. Rude loki, które pracownicy układała ponad godzinę, związała byle jak i przystąpiła do zmywania z energią, jakiej nawet u niej wcześniej nie obserwowałam.

Trudno, nie przypadli sobie do gustu przy bliższym

poznaniu. Ale żeby mieć o Serafinie aż tak złe zdanie? Cóż, mnie także rozczarował, choć w inny sposób. Żadna ilość grzańca nie skłoniła go do zwierzeń na temat okoliczności wypadku. Jeżeli oczywiście za jego podejrzanym zachowaniem kryła się znajomość wersji, która różniła się od oficjalnej. Bo co innego?

A kiedy zapytałam, czy nie wie przypadkiem, co dokładnie stało się wtedy w lesie, gdy Lolita złamała nogę - dosłownie nabrał wina w usta.

Rozdział dziesiąty

Dawid Gryta galopował na czele oddziału policjantów. Dosiadali, jak to w *Niestrudzonych*, wyłącznie koni rodzimej rasy małopolskiej. Z urody i wdzięku podobnych do arabów, ale większych i silniejszych od nich. Kawalkada z daleka przypominała chińskiego smoka, z niebiesko-brązowym tułowiem i Gruzinem jako głową. Zdjęcie ciągnęło się przez cały wagon tramwaju. Równoległe biegł napis reklamujący powrót ulubionych bohaterów po wakacyjnej przerwie.

Kiedy tylko rozległ się dzwonek tramwaju ruszającego z przystanku po przeciwnej stronie placu Narutowicza, wyskoczyłam na pasy, nie czekając, aż zmienią się światła. Już byłam spóźniona, a po doświadczeniach z castingu bałam się, że szukanie domu Zuzy Anny w okolicy poprzecinanej siecią drobnych uliczek może trochę potrwać.

Wyrwała mnie z ciężkiego snu o dziewiątej rano i w piątej minucie rozmowy telefonicznej było już po mojej wolnej niedzieli. Spakowałam więc opracowane materiały wraz z dyskieta, na którą pracowicie wkle-

pywałam dane przez kilka długich posiedzeń w uczelnianej kafejce. W biegu wypiałam zimny kefir albo zsiadłe mleko, w każdym razie coś kwaśnego. Objuczona teraz niczym tragarz Kylie Minogue podczas trasy koncertowej, mało nie wpakowałam się pod samochód, którego kierowca słusznie skarcił mnie głośnym trąbieniem. W ręku dźwigałam reklamówkę z rzeczami osobistymi, które nie zmieściły się już do plecaka. Zamierzałyśmy popracować do późna, a na jutro miałam stawić się na planie o świcie, więc Zuza Anna zaproponowała mi nocleg.

Zanim wyszłam z domu, Mariolka wcisnęła mi jeszcze pisemko z niechlubnym artykułem, licząc że obyta z mediami scenarzystka doradzi, jak zareagować na tę niegodziwość. Zażądać sprostowania? Pozwać do sądu? Ale kogo? I kto miałby to zrobić? Bo nie wyobrażam sobie, że ja! Moja współlokatorka nie mogła sobie darować, że przeoczyła tę okładkę we własnym sklepie. Ale nie interesowała się przecież serialem, tyle co ze względu na mnie. A Kubę, który najbardziej rzucał się w oczy na zdjęciu, widziała przedtem tylko raz i kiedy wczoraj przyszedł inaczej ubrany, ledwie go rozpoznała.

Nie wspominając o tym, że mnóstwo tytułów rozpisywało się teraz na temat „kłątwy Dawida Gryty”, do której zaliczano również nagły kaprys Kasi Rutkiewicz. To określenie wymyślił ktoś z popularnego dziennika, który - notabene - poświęcił cały weekendowy dodatek przebiegowi kariery reżysera. Zupełnie jakby ten już umarł! Dwa niepomyślnie wydarzenia z ostatnich tygodni, z których pierwsze mogło być

dziełem przypadku, dziennikarze rozdmuchali do nie wiadomo jakiej sensacji. Niektórzy, oczywiście.

Ci pod względem opinii dzielili się na dwa obozy. Jedni doszukiwali się w tym, co się stało, działań szantażysty, który najpierw chciał zastraszyć ofiarę i na pewno zaraz zażąda okupu za pozostawienie Gryty w spokoju. A może już to zrobił? Część, tak jak ja, dostrzegła w pożarze stajni niepokojące związki fikcji z rzeczywistością. Dlatego przypisywano winę jakiemuś niepoczytalnemu wielbicielowi. Jakby w branży filmowej miernikiem sukcesu, co więcej - statusu twórcy, była liczba obłąkanych fanów. Na dowód przytaczano statystyki z USA i nawiązywano do zabójstwa Pasoliniego - słynnego włoskiego reżysera, którego zaatakował na plaży nieznany kinoman. Wybitnie stosowne i pocieszające.

Druga grupa obstawiała wersję, że Gryta sam aranżuje takie sytuacje i dyskretnie sugeruje mediom, jak należy je interpretować. To jego metoda na utrzymanie popularności. Bo pewnie jest już mniej sprawny i musi w ten sposób podtrzymywać własną legendę.

Nie miałam ochoty dłużej się nad tym zastanawiać. Rozmyślałam raczej o nieuchronnym spotkaniu z Filipem w Kostomłotach. Na pewno okaże się decydujące. Tylko co z niego wyniknie?

Nie wiem, czego się spodziewałam. Apartamentu sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych na stylowym poddaszu, z tarasem i jacuzzi w łazience wyłożonej marmurem?

Mieszkanie Zuzy Anny na trzecim piętrze zwyczaj-

nego bloku wyglądało zaskakująco przeciętnie. W zasadzie jak muzeum końca lat osiemdziesiątych. Mebłościanki, zestaw wypoczynkowy, nawet bibeloty były z tamtego okresu. Widziałam sporo podobnie wyposażonych wnętrz. Miały jednak zawsze jakieś pojedyncze elementy świadczące o tym, że ich właściciele lubią je urządzać - a to nowa kanapa w dużym pokoju, a to modne rolety albo kolor ścian. A tu nic. Poza supernowoczesnym komputerem widocznym w głębi wyśiążkowanego gabinetu.

W pierwszej chwili nie zauważyłam ani śladu wspomnianego remontu.

- Mały pokój - uśmiechnęła się Zuza Anna, błędnie odgadując z wyrazu twarzy tok moich myśli. Podażyłam wzrokiem za szczupłą, dyskretnie wypięłgnowaną dłonią. Zobaczyłam tylko pancerne drzwi i łaty świeżego tynku dookoła framugi. Musiał się wykruszyć przy poszerzaniu wejścia. - Przerobiłam go na sejf, gdzie trzymam szczególnie ważne materiały. Przede wszystkim pamiątki po ojcu. - Wymieniła nazwisko aktora dramatycznego, o którym słyszeli nie tylko miłośnicy teatru. Z lekka oszołomiła mnie ta informacja, ale bardziej chyba zaufanie, jakim scenarzystka obdarzyła mnie już od progu. Czyżby była bardziej złakniona ludzkiego towarzystwa i sympatii, niż wskazywała na to jej oschłość wobec studentów?

- Może kiedyś popracujemy i nad tą częścią archiwum. Proszę tylko nie mówić nikomu, że pani wie o moich zbiorach. Cały czas do tej pory bałam się, że ktoś włamie się tutaj z ich powodu.

Przyszło mi do głowy, że ryzyko włamania wcale

przez to nie zmałało. Najwyżej złodziej nie dostanie tego, po co przyszedł. Chyba że Zuza Anna obawiała się konkretnej osoby, która u niej bywa i która zauważyłaby zmianę.

Nie było jednak czasu na jałowe analizy. Z miejsca wprowadziła mnie w obowiązki i usadziła przy biurku wielkości boksu dla kucyka, zgarnawszy wpierw piętrzące się papierzyska. Sama przysiadła na łóżku z materiałami, które opracowałam.

Dopiero to mi uświadomiło, że znów zapomniałam oddać torbę pożyczoną od niej w Bibliotece Narodowej.

- Może napijemy się czegoś dobrego? - Nie dała mi wyboru, bo już stawiała na skraju biurka dwie wysokie szklanki. Kakao? Mogłam się tego spodziewać po właścicielce czółenek z kokardkami...

- Bailey's z mlekiem. Mój ulubiony drink na zakończenie pracowitego dnia.

Usiadła na poręczy fotela zawalonego po brzegi prasą. Na wierzchu leżał najnowszy numer dobrze mi znanego brukowca. Okładkę zdobiło archiwalne zdjęcie znanej pary aktorskiej. Kasia i Paweł uśmiechnięci i spleceni w uścisku, jakby nie mogli oderwać od siebie oczu i rąk. *Chłopczyk czy dziewczynka?* - dociekał wściekle pomarańczowy tytuł poniżej, mimo że większość czasopism, które przeglądałam teraz u Mariolki na bieżąco, poprzestała na przytoczeniu wypowiedzi Wegnera z konferencji prasowej związanej z promo'ą dopiero co nagrywanej serii odcinków: „Pani Rutkiewicz wyjechała w pilnej sprawie osobistej. To wszyst-

ko, co mam do powiedzenia na temat jej oraz własnego życia prywatnego".

- Czy tego nie powinno się karać? - niesmak i rozgoryczenie wykrzywiły mi usta, kiedy wskazałam okładkę szklanką. Napój rozkołysał się, przez moment grożąc zalaniem makulatury. Zdziwiłam się, że mojej towarzyszcze został już na dnie tylko łyzeczek.

- Oczywiście, że tak. Ale potężnym koncernom, jak ten wydawca, opłaca się przegrać każdy proces. To efekt uboczny drapieżnej walki o czytelnika, wkalkulowany w koszty. Liczy się wyłącznie zwiększenie sprzedaży, bo to przyciągnie hojnych reklamodawców. A wiadomość o pozwie do sądu też można sprzedać na łamach, i to z intrygującym podtekstem: prawda w oczy kole.

- Błędne koło... To nie można się przed tym bronić?

- Najlepsze, co może pani zrobić, bo sądzę, że o to chodzi, to nie kupować i zachować absolutną obojętność. Uodpornić się na tego typu brudy. Dla dobra własnej duszy. Tym bardziej, jeśli udział w filmie ma nie być jednorazową przygodą. Wie pani... ojciec mój grał tragiczne role. Często pijaków i wykolejeńców. Krytycy za czasów PRL-u nie zawsze go tak chwalili, jak to się utrwaliło w powszechnej świadomości, ale w każdym wypadku traktowali go z szacunkiem, analizując jedynie kreację aktorską. Choć wiedzieli o problemach z alkoholem i kłopotach ze wzrokiem. Na fali zmian po osiemdziesiątym dziewiątym pojawiły się też takie oto pisemka. One często lubią mieszać sztukę z życiem. Różni pisownicy napadali na ojca, wyolbrzymiając skryty alkoholizm do rozmiarów patologicznej

tyranii w rodzinie, rzekomych burd i nie wiadomo jakich świństw, których miał się dopuszczać po pijanemu. - Automatycznie dokończyła drinka. - I nawet po udanej operacji oczu nie przestawały się rozpisywać o postępującej ślepotcie, której nie można uniknąć. Wtedy ludzie jeszcze wierzyli w uczciwość nowej, wolnej prasy. A jeśli nawet nie do końca, to dyrektorzy i tak woleli dmuchać na zimne. W macierzystym teatrze nie przedłużono mu angażu, o zatrudnieniu w innych też nie było mowy. Chyba w końcu ojciec sam już nie potrafił oddzielić przypisywanych mu przez media ról od tego, co było jego prawdziwym życiem. Aktorstwo, które tak kochał, przeniknęło do jego prywatności, zdominowało ją i wypaczyło. Bezmyślność mediów zniszczyła wszystko, co budował przez lata. To go dobiło. Zrobił to... tutaj w domu... w tym małym pokoju.

Po co ona mi o tym opowiedziała? Żebym teraz nie mogła usnąć? Dygoczę w ciemnościach i nasłuchuję. Nie mam już siły modlić się o spokój jego duszy. O własny raczej. Ktoś krzyczy... Nie, to sroki. Albo wrony. Całe stado śpi w gałęziach za oknem, od czasu do czasu poskrzekując coś przez sen. Dobrze, że przynajmniej nie ma wiatru. Bo jakbym tak jeszcze usłyszała wycie...

Spokojnie, to się wydarzyło kilkanaście lat temu. Nic z tego nie może mnie tu spotkać. Ale zwariowałabym na miejscu jego córki. Czemu ona się stąd nie wyprawdziła?!

Nie mogę sobie pozwolić na myślenie o tym, co się

stało... Czy to podłoga skrzypnęła w korytarzu? A teraz w kuchni? Nie, to niemożliwe. Zuza Anna śpi przecież w sypialni obok. A to jest jej gabinet, który znam.

Wszystko przez tę przytłaczającą ciemność. Może wstać i odsłonić żaluzje? Dobre sobie. Albo zaświecić lampę przy łóżku? Pomyśli, że myszkuję w jej rzeczach.

Za wszelką cenę nie wyobrażać sobie, jak to zrobił.

Filip, gdybyś ty był teraz ze mną!...

A jednak jaka to ulga zwierzyć się komuś starszemu ze swoich problemów. Ciekawe, czy z matką umiałabym rozmawiać o facetach, gdyby żyła? Wprawdzie Zuza Anna nie doradziła mi nic konkretnego. Jak ona to powiedziała? „Zapytaj siebie, co dokładnie czujesz, Jeśli naprawdę mocno kochasz Filipa, zrób dla tej miłości wszystko, co w twojej mocy. Oczywiście nie zdołasz dokonać cudów, ale zawsze możesz stworzyć odpowiednią scenografię dla przypadku”.

Wybudził mnie z czujnej drzemki szcęk łańcucha. A w każdym razie czegoś metalowego. Usiadłam na łóżku, rozszerzonymi żrenicami bezradnie wpatrując się w czarną przestrzeń. To chyba u sąsiadów. A może na klatce schodowej? Nie, raczej u nas...

Śniło mi się przed chwilą, że jest ogromna burza i wiatr, a ja z trudem przedzieram się do jakiegoś celu, którego teraz nie pamiętam. Chyba udało mi się go osiągnąć. A jeśli nawet nie, to w każdym razie nie zmiotło mnie w żadną przepaść, wodę czy co tam było po drodze.

To lufcik tak stuka. W kuchni. Nie będę się dłużej trząść z powodu irracjonalnych strachów! Wstanę i pójdę do łazienki, a potem go zamknę. Widok zwy- czajnych domowych sprzętów dobrze mi robi. Od- rzuciłam kołdrę z rozmachem i wstałam dziarsko ni- czym sportsmenka, dodając sobie tym animuszu.

Wtem czyjeś wyciągnięte ręce dotknęły mojej twarzy. Zdusiły krzyk, zanim zdążyłam go z siebie wydobyć. Przewracając mnie na łóżko i przygniatając swoim ciałem, Zuza Anna wycharczała:

- Nie dotykaj lampy! Błagam cię, nie zapalaj żadne- go światła!

- No, już dobrze... Nic się nie stało. - Zuza Anna powoli dochodziła do siebie. Za to mnie dopiero teraz puściły nerwy. Trzęsącymi się dłońmi obejmowałam bu- telkę wody mineralnej i nie potrafiłam napić się z niej tak, żeby nie zachlapać ubrania. Pomyśleć, że gdyby scenarzystka nie zorientowała się w porę, mogłyśmy już nie żyć. A najpóźniej za trzy godziny, kiedy mu- siałabym wstać do pracy. Zapaliłabym światło albo użyła zapalniczki do kuchenki - i pół piętra wylecia- łyby z hukiem. O ile wcześniej nie zatrutybyśmy się gazem. Podczas naszego snu ktoś dostał się do miesz- kania i odkręcił kurki. Wszystkie okna były zamknięte, nawet ten nieszczęsny lufcik. Mieszkanie nie miało balkonu. Ale to nie serial, w którym Diabeł w ten spo- sób wspiął się do mieszkania komisarza. Całe dziesięć pięter. Ten ktoś, kogo nie słyszała (dopiero później obudziła się i poczuła w swojej sąsiadującej z kuchnią sypialni charakterystyczny zapach, dodawany zwykle

do gazu) wszedł normalnie, przez drzwi. Wcześniej otworzywszy je wytrychem.

To też gdzieś widziałam.

A może ja już gram jakąś rolę, tylko o tym nie wiem? Wyobraźmy sobie, że non stop słyszę szmer kamer, które za mną jeżdżą jak w domu Wielkiego Brata. Widzę zbliżanie się ich wszystkowidzących obiektywów...

- Wypij, to pomoże ci się uspokoić. - Zuza Anna zbliżyła się ze szklanką ziółek. Pachniały jak nervosol mojej babci. Już samo to pomogło mi wziąć się w garść. Dopiero po chwili zauważyłam, że przeszła na ty. Ale tak było nawet lepiej. Prawie... jak w rodzinie.

- Bardzo mi przykro, że coś podobnego spotkało cię w moim domu. Tak mi zależało, żebyś poczuła się tu jak u siebie. Dobrze mi się z tobą pracuje, wiesz? Nie do wiary, że bałam się o archiwa, a tymczasem komuś chodzi o mnie. O moje życie - wzdrygnęła się przy tych słowach. Po czym nieoczekiwanie spojrzała na zegarek, którego nie zdejmowała nawet na noc.

- Za wcześnie jeszcze na to, żeby zadzwonić do Dawida. Może on poradzi, co ja mam teraz zrobić. Pomoże mi się obronić przed tymi draniami. Widziałam nieraz, że ktoś się kręci na skwerku, zagląda w okna... Ale masa ludzi tędy przechodzi i... To przecież nielogiczne, żeby ktoś chciał mnie zamordować, prawda? - błagała o potwierdzenie oczami, których wyrazistości po ostatnich przejściach mogłaby jej pozazdrościć niejedna fotomodelka lub aktorka dramatyczna. Ciekawe, czy kiedykolwiek marzyła o występach na scenie?

- Nielogiczne - odparłam zgodnie z oczekiwaniami,

zahipnotyzowana smolistą czernią jej tęczówek. - Ale skoro ktoś próbował to zrobić, musi mieć przecież jakiś powód.

Zuza Anna szczerzej owinęła się szlafrokiem i objęła ramionami w ochronnym geście, jakby to mogło załatwić sprawę. Po czym dodała nieco ciszej:

- Może nie podoba mu się, że stworzyłam Dawida Grytę? Bo przecież dzięki moim historiom stał się tym, kim jest, prawda?

Rozdział jedenasty

Paweł Wegner siedział przed rzęsiście oświetlonym lustrem i poddawał się cierpliwie zabiegom charakteryzatorki. Młoda kobieta wprawnymi palcami starannie przyciemniała skórę pod kosmykami czarnych włosów aktora. Dzięki temu prześwity na jego głowie znikwały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zagęszczona optycznie połowa czupryny amanta falowała kusząco od podmuchów ciepłego powietrza z farrelki, która ogrzewała wewnątrz przenośnej garderoby. Magiczny obłoczek spowijający uczestników tej pełnej skupienia ceremonii okazał się drobinkami syckiego pudru, którego pojemnik inna z asystujących gwiazdowrowi dziewczyn postawiła za blisko źródła ciepła. Właśnie pospieszyła naprawić swój błąd.

Miałam nadzieję wykorzystać chwilowe zamieszanie i wycofać się, zanim zdążą zauważyć, kto ośmielił się zakłócić spokój haremu nagłym wtargnięciem do ustronnego namiotu. Kobieca intuicja podpowiedziała mi bowiem momentalnie, że nie powinnam była zobaczyć owych ściśle tajnych praktyk. To znaczy zaafero-

wane nimi grono nie powinno się zorientować, że ja je widzę. Skoro dotąd niewinne oszustwo się nie wydało... Kuba w każdym razie nie zwrócił na to uwagi. Tym bardziej, że ostatnio wypatrywał na planie kogoś innego. Przynajmniej na naszej imprezie rozpaczał - chyba żartobliwie? - że nie dane mu było do tej pory ujrzeć na żywo boskiej Kasi Rutkiewicz. Też mi coś! Niby tak mu się podobałam, a wystarczył miesiąc spędzony w filmowym świątku i już zaczyna mu się przewracać w głowie! Mało nie wyrzuciłam go wtedy na balkon. Jak chce, ma ją na billboardzie w gigarozmiarze!

O problemach pana Pawła z prezencją milczały wszelkie dostępne mi media. I dobrze. To by się dopiero rozczarowały fanki, których całe zastępy w dniu nauki szkolnej biwakowały za biało-czerwona taśmą. Filmowcy otoczyli nią teren dzisiejszych zdjęć. Cały stadion z przyległościami. Ledwie przepchałam się na plan. A zależało mi na czasie, bo Zuza Anna zaopatrzyła mnie w poprawiony fragment scenariusza na dziś oraz jakieś inne materiały w zaklejonej kopercie. Gryta poprosił o nie, kiedy tylko odebrał poranny telefon. A gdy wreszcie scenarzystce udało się poskarżyć na nieproszonych gości w nocy, uspokoił ją, że nie ma potrzeby wyprowadzać się od razu z domu. Bo tylko to przyszło do głowy zdesperowanej Zuzie Annie. Obiecał na swój koszt przysłać zaufanego fachowca. Zmieni jej zamki w drzwiach oraz zainstaluje dobry alarm z zestawem kamer i czujników. Taki sam, jaki doskonale sprawdza się w jego willi, a wkrótce zosta-

nie zamontowany również w odbudowanej stajni. Dzięki temu nikt więcej nie skrzywdzi ani jej, ani Gruzina w ich własnych domach. Po czym reżyser jeszcze raz upewnił się, że dostanie na czas potrzebne materiały.

Pędziłam więc od przystanku z przyspieszeniem równym temu, które parę lat wcześniej pozwalało Serafinowi wygrywać na Służewcu ważne gonitwy. Przebrałam się przez rzesze wielbicielek oraz zwyczajnie ciekawskich gapiów w podobnym stylu, w jakim mój ulubiony kaskader forsował niegdyś czołówkę stawki tuż przed metą. A kiedy już zwycięsko machnęłam ochroniarzowi przepustką, na ostatniej prostej w drodze do bazy filmowców spotkało mnie najtrudniejsze zadanie. Musiałam przedrzeć się do baraków ekipy serialu przez nieprzebraną masę statystów. Dopiero co przyjechali autokarami z wytwórni filmowej na Mokotowie. Jeszcze zaspani, ale i podekscytowani wizją rychłego wcielenia się w szalikowców i ich przebojowe dziewczyny. A jak się poszczęści, to może nawet w polikantów, których z założenia miało być znacznie mniej. Po sprawdzeniu list obecności ustawiali się w kolejce do szatni. Dziewczyny od kostiumów dwoiły się i troiły, aby dobrać w miarę odpowiednie rozmiary ubrań tym, którzy wymagali zmiany image'u. Bo część chłopaków, wcale o to nieproszona, zabrała z domu nawet własne szaliki z godłem Polonii albo Legii! Bałam się, czy aby nie za bardzo wczują się w rolę, kiedy już przyjdzie na to pora. Dobrze, że niezbędne rekwizyty, po które wędrowali do następnego baraku, były

tylko atrapami z lekkiej pianki. Wyposażeni statyści zgłaszali się do charakteryzaterek. Pudrowały im twarze szarym pyłem.

Dalej ekipa techniczna kończyła ustawianie mikrofonów, kamer i ekranów. Spodziewałam się znaleźć tam reżysera, ale dwaj młodszy zastępcy kierowali pracami w miejsce Gryty. Wysłali mnie do garderoby aktorów, opatrzonej znakiem ostrzegawczym dla nieupoważnionych. Nie było nawet jak zapukać w brezentową płachtę, więc zajrzałam za ten wstęp wzbroniony i oniebiałam na widok manewrów przy włosach bożyszczka. Na wycofanie się po angielsku nie wystarczyło mi refleksu. Paweł Wegner pierwszy mnie zobaczył, jak kierowca we wstecznym lusterku.

- Przepraszam za najście... - bąknęłam i wyjaśniłam powód niezamierzonej bezczelności. Charakteryzatorka zawahała się. Spłoszonym wzrokiem obrzuciła najpierw mnie, a potem aktora.

- Dawid zaraz powinien tu być - gwiazdor nie wydawał się ani odrobinę zbity z tropu, kobieta powróciła więc do przerwanej zajęcia. - Pani sobie spocznie na tym składanym krzeselku, tam z boku, i zaczeka chwilę.

Zerknęłam na wskazany kawałek plastiku. Rozłożone na siedzisku kolorowe pisemko miało chyba pełnić funkcję tapicerki izolującej od zimna, które dawało się we znaki pierwszy raz tej jesieni. Zanim tu dotarłam, ręce zmarzły mi na sople. Trawnik w cieniu trybun obficie pokrywała warstwa szronu z nocy, za to zero mgły i wiatru, więc zdjęcia powinny się udać jak należy.

Jakoś tak niezręcznie było mi siadać na fotografii Wegnera i tej jego panny w jego obecności... Po chwili wahania wzięłam gazetę na kolana. Odruchowo wygładziłam zagiętą kartkę. Bohater sensacji z ostatniego tygodnia zauważył w lustrze te manewry. Pogroził mi żartobliwie palcem.

- Tylko proszę mi do nich nie polecieć z tym tutaj! - ostrzegł niby zabawnie, ale stanowczo, wskazując na zabiegi niestrudzonej fryzjerki. Czy może wizażystki. - Już i tak omal nie przyprawili mnie o zawał niespodziewanym ojcostwem. Gdyby napisali o tym wcześniej, to może bym zdążył wynegocjować większą gażę na alimenty. Mogli też wywróżyć bliźniaki! - wygłupiał się dalej.

Stadko pracownic zachichotało z uwielbieniem, nie inaczej niż fanki stłoczone przy wejściu na plan. A mnie groza nocy u scenarzystki wydawała się z każdą minutą mniej realna. Jak thriller oglądany bardzo dawno temu. Chyba za mocno uległam nastrojowi po rozmowie o samobójstwie jej ojca. Zuzie Annie te wspomnienia doprawione drinkiem też nie wyszły na dobre. Pewnie żałuje teraz, że tyle mi o sobie powiedziała. Spokojna i rzeczowa reakcja Gryty na wieść o niedoszłym zabójstwie zasiała we mnie wątpliwość, czy aby na pewno nam ono groziło. W końcu ja mogłam usłyszeć to, co podpowiadała mi wyobraźnia. Nie czułam też podejrzanego zapachu, choć kurek był odkręcony a drzwi niezamknięte na klucz. Przecież Zuza Anna tak długo żyła w obawie przed włamaniem, a wczorajszego wieczoru dodatkowo wyprowadziły ją z równowagi bolesne wspomnienia... Mogła przez

roztargnienie nie zamknąć drzwi na noc. Tak samo pewnie nie wyłączyła gazu. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej pasowało mi to do niej jak do nikogo innego na świecie. Całe szczęście, że w porę zorientowała się, co nam grozi!

Tymczasem Wegner dowcipkował dalej na temat niepoprawnych, a niekiedy naiwnych dziennikarzy.

- Czasem fajnie jest samemu wymyślić jakąś kosmiczną bzdurę na własny temat, a potem czytać o tym na pierwszych stronach gazet i śmiać się w kułak - przechwalał się, po czym przytoczył jedną z anegdot własnego autorstwa.

Nagle spowaźniał. I dodał wcale nie humorystycznym, ale wręcz smutnym tonem uwagę, którą wzбудził moją czujność:

- Dowcip to najzdrowsza obrona przed chamstwem. Pani też ostatnio nieźle się od nich dostało, co? Chłopak nie rzucił czasem po tym artykule?

Czy nieprzypadkowo o to właśnie zapytał? Jak mówią, nie ma dymu bez ognia... Więc może być i pożar w afekcie! Zresztą przy południowej urodzie bruneta i jego słynnym temperamentem wszystkiego można się spodziewać!... Przecież kiedy za mocno tłumi się czyjeś ambiqę, ten ktoś może w końcu zacząć się odgryzać. A gdyby tak jeszcze chodziło o kobietę? Tyle się pisało o romansie reżysera z piękną aktorką... Czy to z powodu Kasi wymigał się przez telefon od przyjęcia Zuzy Anny pod swój dach na jakiś czas? Gdyby nie chodziło o potajemny romans, w czym mogłaby mu przeszkadzać obecność scenarzystki?

Zajęta odruchową analizą tej zawiłej sprawy, nie

umiałam wymyślić na poczekaniu dowcipnej odpowiedzi. Ale już nie było na to czasu. Przed namiotem zatrzymała się czarna toyota Gryty. Po chwili on sam bezceremonialnie wparował do środka.

- Zmieniamy kolejność scen - zażądał apodyktycznie - Pierwszy damy koncert, potem mecz w tym samym miejscu. Dobrze byłoby wyrobić się z obiema scenami jeszcze dzisiaj. - Skinął głową, odbierając ode mnie nową wersję scenariusza z płytą CD, po czym zwrócił się do najbliższej stojącej dziewczyny: - Będzie pani uprzejma poprosić, żeby mi to wydrukowali raz dwa? Po egzemplarzu dla każdego aktora.

Dziewczyna posłusznie wymknęła się z płytą. Na chwilę przed burzą.

- Stary, czyś ty oszalał?! - Wegner trzasnął o blat toaletki swoją kopią tekstu, którego dopiero co nauczył się na pamięć. - Jak długo można traktować ludzi w ten sposób?! Co ty myślisz, że ktoś stworzy spójny charakter postaci, jeżeli zmieniasz scenariusz na chwilę przed nagraniem, przestawiasz sceny jak chcesz i każesz kręcić ujęcia wyrwane z kontekstu?!

Zabrakło mu tchu, co od razu wykorzystał Gryta.

- Nie rozumiesz, że mamy nóż na gardle? Straciliśmy już masę czasu przez te cholerne wypadki - wycedził z tłumioną furją. - Terminy nas gonią, na dniach kończy się umowa na tereny zdjęciowe tutaj - wskazał ręką niesprecyzowaną bliżej przestrzeń, więc nie miałam pewności, czy chodzi mu tylko o stadion. - A co, może ty zapłacisz za kolejne przedłużenie kontraktu? I za czas tych wszystkich ludzi, których mamy do dyspozycji? Nie mówiąc już o tym, że jest jesień

i jak jeszcze trochę przeciągniemy zdjęcia plenerowe, trzeba będzie kręcić wszystkie sceny od nowa. Jak ty to sobie, Paweł, wyobrażasz?'

Wegner wyszedł bez słowa z namiotu. Gdyby mógł, trzasnąłby drzwiami. A reżyser, nie mając nikogo lepszego pod ręką, na mnie wyładował resztę złości:

- A ty czemu jeszcze nie w mundurze?! - warknął, opadając na fotel przed lustrem. - Zaraz przyprowadzą konie na plan, więc radzę się sprężyć!

Nie było do czego tak się spieszyć. Czekałam cały dzień, żeby przegalopować parę metrów. Za to nieźle wzbogaciłam swój słownik wyrazów niecenzuralnych, przebywając w pobliżu stale rozjuszonego reżysera.

Zanim doszło do nagrania, przez kilka godzin trwało zamieszanie wywołane decyzją Gryty. Ustawiano estradę, statyści przebierali się za miłośników ciężkiego rocka, oświetleniowcy przesuwali lampy i statywy. Aktorzy naprędce uczyli się swoich ról. A szef kuśtykał po planie i robił ostatnie korekty, pokazując obłudze, co i gdzie należy poprawić. Pienił się i kłął na opieszałość ekipy oraz brak dyscypliny u statystów. Nareszcie przed południem zażądał ciszy na planie i zawołał upragnione:

- Kamera! Akcja! Poszła.

Ucieszyłam się, jak mało kiedy! Wszystko ożyło, jakby naprawdę za chwilę miała się pojawić oczekiwana z niecierpliwością legendarna kapela. Na ekranie pokażą później fragmenty prawdziwego koncertu, który my musieliśmy zastąpić wyobraźnią. Ale nie trwało to długo.

- Stop! Wracamy na miejsca! - ryknął zniecacka Gryta. - Kto jest opiekunem tego statysty?

Wskazał na jednego z mężczyzn tłoczących się najbliżej sceny koncertowej. Czyżby to był ten sam gość, który na castingu tak histerycznie domagał się przyznania mu roli w *Niestrudzonych*? A może tylko podobny do niego.

- Ja - wychyliła się z tłumu znajoma asystentka.

- Proszę rozliczyć tego pana. On już zakończył pracę w moim serialu.

Zawstydzony facet schował cyfrowkę do kieszeni kurtki z czarnej, nabijanej ćwiekami skóry. A przecież organizatorzy tłumaczyli nam, że robienie zdjęć z fleszem to jeden z najcięższych grzechów, jakich może się dopuścić statysta w pracy. Obok patrzenia prosto w obiektyw kamery.

- Jesteście tłem dla aktorów, pamiętajcie o tym. Swoją obecnością i narzuconym sposobem zachowania urealniacie to, co się tworzy na planie i nadajecie temu prawdopodobieństwo. Tylko tyle i aż tyle - Gryta przypomniał naukę, której udzieliła nam uprzednio asystentka o uśmiechu pogłębiającym się w miarę znajomości.

Kasztanek nie zawiódł mnie nawet na śliskiej od mrozu murawie, choć trwającą na ekranie kilka minut scenę pilnowania porządku podczas występu megagwiazdy nagrywaliśmy prawie osiem godzin. Miał prawo się w końcu zdenerwować i odmówić posłuszeństwa. Tak jak zrobił to wierzchowiec Wegnera, kiedy po przerwie obiadowej Gryta znów zmienił plan i przez godzinę kręciliśmy poprawkę finałowej sceny

tej serii odcinków: skruszony były policjant rehabilituje się i wraca w szeregi macierzystej jednostki. Tymczasem gniady Faworyt miał na ten temat inne zdanie. Rozbrykał się, zrzucił jeźdźca i przez dobry kwadrans galopował między przerażonymi statystami, usiłując zwalić z grzbietu również siodło. Rozkołysane dziko wodze dyndały w pędzie, dopóki Serafin nie złapał za jedną z nich, osadzając na miejscu niesfornego ruma-ka. Wściekły z upokorzenia i nieco obolały po upadku aktor wdrapał się z powrotem na siodło. Miał minę Bohuna, który właśnie zamyśla puścić z dymem całą wieś. Aż dziwne, że to nie jego Hoffman wybrał do tej roli w *Ogniem i mieczem!*

Mój leniwy rudzielec przewiózł mnie w następnej sekwencji pięknym, skróconym galopem na wskazane miejsce w szeregu, tuż za komisarzem. Po czym stał bez ruchu tak długo, jak żądał tego reżyser potwór, którego donośny, wiecznie niezadowolony głos rozbrzmiewał raz za razem w sąsiedztwie moich i kasztankowych uszu. Mimo to po nieprzespanej nocy, przemarznięta i głodna, bo nie zdążyłam w przerwie dopchać się do przyczepy z cateringiem, zaczęłam prawie przysypiać w siodle przy wtórce monotonicznych powtórek reakcji publiczności. Grycie nie podobało się nic, co robili statyści. Skakali za nisko albo za wysoko, krzyczeli nie tak jak trzeba i nawet nie umieli bić braw jak należy.

- Stop. Dziękuję wszystkim. Na dzisiaj koniec - usłyszeliśmy wreszcie upragnione słowa, kiedy już straciłam nadzieję na nocleg we własnym domu. Wprawdzie nikt poza Grytą nie zauważył, żeby ten ostatni

dubel różnił się czymkolwiek od jedenastu poprzednich. Z radości nawet „policjanci” włączyli się do powszechnych wiwatów. A co, zasłużyliśmy na owacje na stojąco!

Potem miało się okazać, że właśnie te chwile spontanicznej euforii wejdą do serialu.

Tymczasem opadły emocje, pogasły kamery i większość świateł. A wtedy okazało się, że w Warszawie jest już bardzo zimna noc. Do sceny z meczu oczywiście nawet nie zdążyliśmy się przymierzyć.

- Może jutro będziesz równie chętny do współpracy i upadniesz pode mną na zawołanie? - zagadnęłam kasztanka, by dodać sobie otuchy, grzejąc się przy jego szyi. Zarósł już misiowym futrem na zimę i wyglądał jak cała reszta pluszaków z „Jupitera”. Jedyne Gruzin zachował szlachetny wygląd. Ciepłolubny Holender zmienił sierść na niewiele dłuższą od swojej letniej szaty. Stajenni podśmiewali się z niego, że za dużo materiału zużył na owłosienie grzywy, ogona i na skrzydła u nóg, tak że na resztę mu już nie starczyło.

Czekaliśmy w półmroku, aż Kuba przyprowadzi z parkingu koniowoz. Niezawodny kasztanek oparł mi na ramieniu swoją kształtną głowę w przyjacielskim geście i chuchał prosto w lewe ucho.

- Zagrzewa cię przed jutrzejszą bitwą, co mała? - Serafin, który wyrósł jak spod ziemi, nawet po ciężkim dniu nie tracił werwy.

Ale zażartował najwyraźniej w złą godzinę.

Rozdział dwunasty

- Zostaw mnie w spokoju! Nigdzie nie pójdę! - opierałam się z całej siły. Żarówka świeciła mi w oczy, aż bolały. W głowie szumiało z przemęczenia i braku snu. Jeszcze nie zaczęło świtać. To już druga z rzędu prawie nieprzespana noc.

Broniłam się jednak bezskutecznie. Mariolka okazała się lepsza od dwóch budzików i alarmu w komórce, których nawet nie usłyszałam.

- Jeżeli natychmiast nie wstaniesz, chłopaki odjadą bez ciebie i będziesz musiała tłuc się ełką na plan. Tylko nie wiem, czy zdążysz na piątą... No ruszże się, ile mogą czekać przed domem!

- To oni już są? Trzeba było tak od razu!

Wyplątałam się spod kołdry i grubego koca, mrużąc oczy przed ostrym światłem żyrandola. Bosymi stopami klasnęłam o lodowaty parkiet. A niech to, mam nadzieję, że na dworze jest cieplej niż w tym mieszkaniu! Wyrzałam przez kuchenne okno. Dostrzegłam nie gązik, którego się spodziewałam, ale... transporter na dziewięć koni ze świetlistym logo „Jupitera”. Samochód całkowicie tarasował wąską uliczkę.

Kuba pomachał mi zza kierownicy. Rzeński i radosny jakby wybierał się na randkę z Rutkiewicz, a nie do roboty. Pierwszy raz poczułam ogromną pokusę, żeby rzucić to wszystko. Bo na dłuższą metę nie wytrzymam takiego tempa. I w zasadzie w imię czego ja się lak męczę?

Może Kasia też miała już dosyć stale rosnących wymagań scenarzystki i osławionego reżimu Gryty, dlatego się wycofała? Zostawiła odpowiedzialność za swoją rolę na głowie nieszczęsnej dublerki, która już po pierwszym dniu na planie marzy o tym, żeby ją samą ktoś zastąpił!

Z tej przyczyny kilka godzin później to moje, a nie kapryśnej aktorki poczucie własnej wartości pełzało gdzieś po płycie stadionu. Wytarzaliśmy się z kasztanikiem w błocie z siedem razy, a po ostatnim upadku omal mnie nie przydeptał wierzchowiec innego policjanta. Ale to wciąż nie było to, co chciałby zobaczyć reżyser.

- Za wcześnie ciagniesz za wodze, dziewczyno. To nie wygląda naturalnie. Pamiętaj, że w tej scenie to koń traci równowagę, a nie ty go popychasz. Postaraj się, żeby nie było widać twojej inicjatywy - marudzi znów Gryta. Statyści patrzą na mnie z niechęcią, bo szykuje się kolejna powtórka. A ja czuję się jak idiotka i gdyby nie sygnały wsparcia, które wysyła mi Kuba z tłumu szalikowców, uciekłabym stąd z płaczem.

Ale Gryta nieoczekiwanie daje mi chwilę przerwy na doprowadzenie się do porządku. Wkładam czysty mundur. Charakteryzatorka zmywa mi błoto z twarzy

i matuje nos pudrem. W tym czasie druga poprawia makijaż aktorów. Kamerzysta flirtuje z sekretarką planu, która zapisywała na bieżąco w grubym segregatorze uwagi na temat poszczególnych ujęć.

Tymczasem reżyser przemyślał fragment poprzedzający mój upadek i postanowił jeszcze raz do niego wrócić. Daje nam wskazówki, na jakich zmianach szczególnie mu zależy. Ekipa zaciska zęby i ustawia się na wyznaczonych pozycjach. Większość stałych współpracowników patrzy na mistrza z gorliwym posłuszeństwem i kiedy on rzuca rozkazy jak obelgi, zachowują niewzruszony wyraz twarzy. Ale pod tą pokrywą wyczuwam narastające w nich ciśnienie. Od tłumionego buntu pewnie gotują się w środku jak wrzątek. I we mnie zaczyna przecież kipieć, choć dopiero co do nich dołączyłam. Może w taki sposób nagromadziła się para, którą ostatnio Gryta tak dotkliwie się oparzył?

- Uwaga! Kręcimy dubel! - krzyczy gromko reżyser z siodła, na które podsadził go Serafin usłużny jak zwykle. Teraz biegiem wraca do swego gniadosza, żeby nie narazić się szefowi opieszałością.

Klaps. Ruszamy. Na odgłos strzału umundurowany Serafin tuż przed kamerą wykonuje efektowny upadek do tyłu, jakby zdmuchnęła go z siodła jakaś potężna siła. Ląduje ciężko przed kopytami galopującego konia innego kaskadera. Ten w ostatniej chwili spina wierzchowca do skoku i przelatuje nad leżącym bezwładnie ciałem kolegi. Ja na drugim planie cały czas się bronię, osaczona przez grupę pijanych pseudokibiców. Wygrażają mi pięściami, rechoczą, rzucają obłeśne wyzwiska pod adresem stróżów prawa. Próbuja ściągnąć

mnie z kasztanka. Paru osiłków trzyma go krótko przy pysku. Nie pomaga ani poganianie konia łydkami, ani to, że z rozbitych policyjną pałką nosów płynie już czerwona farba. Wandale przypierają mnie coraz bardziej do zdezelowanej ich atakiem bandy.

Komisarz zauważa niebezpieczeństwo i rusza na odsiecz swojej dziewczynie. Kamera jedzie za Grytą na szynach. Z boku drugi operator, który już dawno zapomniał o ledwie zaczętych papierosie, a może nawet i o seksownej sekretarce, filmuje z ramienia serię zbliżeń Gruzina. Ogier wierzga, gryzie Kubę, przewraca i depcze trzech harcerzy z grupy kaskadersko-pokazowej Serafina, którzy kijami bejsbolowymi próbują wywalczyć odznakę za sprawność. Zanim komisarz przedrze się do mnie przez skłębiony tłum sfrustrowanych i żądnych bójk pseudokibiców obu drużyn piłkarskich, ja uwolnię się od swoich prześladowców i gdzieś dalej upadnę razem z rudym. A komisarzowi zagrozi drogę Diabeł. Staną naprzeciw siebie i rozpoczną swoisty pojedynek. To będzie bardzo ważny moment filmu. Bo po raz pierwszy człowiek w kominiarce odsłoni twarz przed Grytą, zanim dokona się między nimi to, co najważniejsze w tej scenie. Ale to już zupełnie inna sekwencja.

- Koniec akcji! Dziękuję państwu! - woła jeden z zastępców reżysera w imieniu szefa. Przerwywamy walkę. Gryta podjeżdża do monitora podglądu sprawdzić, czy ujęcie wreszcie odpowiada jego wizji. Chyba tak, bo zsiada z ogiera i oddaje go pod opiekę chłopakowi stajennemu. Ten wskakuje w okamgnieniu na grzbiet fryza, chwytając się kędzierzawej grzywy. Odjeżdża

spokojnym stępem na bok, odprowadzany moim tęsknym spojrzeniem.

- Podkowa mu się obluzowała, trzeba by zaprowadzić do kowala - rzuca Dawid w nieokreśloną przestrzeń, opierając się na kulach podstawionych w porę przez Serafina. -I to już.

Prowizoryczną kuźnię zauważyłam za barakiem rekwizytorni. A przy niej opalonego Schwarceneggera, który wyglądał bardziej na amatora odżywek dla kulturystów niż fachowca od końskich podszew. Przy najmniej wiejscy kowale, których paru zdarzyło mi się w życiu spotkać, nijak go nie przypominali. Widocznie świat filmu rządzi się innymi prawami, skoro nawet rzemieślnik przypomina tu amerykańskiego gwiazdora.

Gruzin, który po odegranym mistrzowsko gniewie boga wojny wrócił do wrodzonej sympatii dla ludzi i czworonogów, przechodząc w pobliżu nas, usiłował się zatrzymać i obwąchać na powitanie chrapy kasztanka. Jeździec nie pozwolił mu na to i wkrótce hebanowy zad fryza zniknął pośród tłumu statystów, którzy rozstępowali się przed nim z lękiem i podziwem, niczym poddani przed wjeżdżającym do miasta księciem.

Tak wiele razy byłam dosłownie o krok od tego, aby osiąść Gruzina, nie miałam jednak śmiałości o to poprosić, a nikt mi dotąd nie zaproponował. Czy ja w ogóle zrealizuję marzenie, dla którego przede wszystkim od początku ciągnęło mnie do „Jupitera”? Zaczęłam wątpić. Uświadomiło mi to boleśnie, że tak naprawdę wcale nie należę do tego wspaniałego świata filmu. Je-

stem tu, ale na nierównych prawach. Oboje z Grytą uwielbiamy czarne konie, a zwłaszcza tego jednego, ale jest między nami różnica nie do przeskoczenia.

Chociaż... kto wie? Czy aby na pewno nie mam żadnych szans na zdobycie kiedyś takiej sławy i bogactwa? Przecież on także był najpierw biednym studentem z prowincji! Dostał się do szkoły filmowej za trzecim albo czwartym podejściem. Na studiach docenił go któryś ze znanych aktorów czy jakoś tak... W każdym razie ktoś z branży pomógł mu się wybić. Ale przede wszystkim Gryta sam ciężko pracował na to, co teraz ma. Tego akurat każdy może się nauczyć. Ja też.

- Nie martw się, mała. Poradzisz sobie - Serafin wychylił się zniemacka ponad grzbietem kasztanka, po czym kucnął i przeszedł na moją stronę pod końskim brzuchem. Prostując się, poprawił czapkę, tym razem policyjną, i puścił oko do chichoczących z wrażenia statystek.

Pewnie, że sobie poradzę! - uśmiechnęłam się do własnych planów. Właśnie! Serafin też wywalczył sobie lepsze miejsce w życiu, jakiego pragnął. I może jeździć na Gruzynie. Przynajmniej czasami.

Trzeba tylko bardziej się postarać, a nie obniżać sobie poprzeczkę!

Przecież mnie się już poszczęściło, że trafiłam na plan *Niestrudzonych*. I o dziwo Gryta jeszcze mnie nie wywalił. Dubluję znaną aktorkę, ponoć jestem nawet do niej podobna...

- Powiedz mi, Serafin, ale tak szczerze... Czy ja mogłabym zostać kiedyś gwiazdą filmową?

Już było jasne, że kasztanek źle najeżdża na barierkę przed trybunami. Za szybko i za prosto, co groziło przeskoczeniem przeszkody. Zawahałam się fatalnie, niepewna, czy mam za wszelką cenę go powstrzymać, czy raczej gwałtownie skrócić. Jeśli w prawo - stratuje operatora. W lewo - najbliższych statystów. W końcu nie zdecydowałam się ani na jedno, ani na drugie. Koń, zdezorientowany nieprecyzyjnymi poleceniami, być może wyczuł mój strach, bo przyspieszył jeszcze bardziej. Ale źle wymierzył odległość. Zachwiał się przed skokiem, robiąc dodatkowy, niepotrzebny kroczek.

Boże, pozwól mi go przewrócić w porę jeszcze ten jeden raz! Żebyśmy tylko nie zabili się oboje, lądując między betonowymi ławkami po drugiej stronie przeszkody... Kiedy koń składał się już do skoku, szarpnęłam za wędzidło w jego wrażliwym pysku z siłą, której użyłabym do hamowania rozpędzonego pociągu. Aż przysiadł na zadzie. Nie pozwoliłam mu wyciągnąć głowy, więc do reszty stracił równowagę. Przymuszony ciężarem mojego ciała przechylonym na lewo niezgrabnie zatoczył się na tę stronę. Błyskawicznie wyrzuciłam stopy ze strzemion, kiedy lądował na zrytej kopytami murawie. Coś trzasnęło. Z ulgą uświadomiłam sobie, że to nie moja kość. Zdażyłam cofnąć nogę z miejsca, na które zwałił się półtonowy korpus zwierzęcia. Kasztanek zaraz wstał bez szwanku, otrząsnął się z błota i pogalopował, obojętny, do pozostałych koni. Więc to prawda, co mówił Serafin: że zanim koń upadnie, słychać jak uderzają o siebie jego kopyta. Nigdy dotąd nie zwróciłam na to uwagi.

Dopiero po chwili dotarła do mnie groza sytuacji, w jakiej mogłam się znaleźć. Na szczęście nic się nie stało ani koniowi, ani mnie. Błada z emocji wstałam o własnych siłach, nim dobiegł do mnie jeden z sanitariuszy czekających dotąd w karetce. Zawsze byli na planie, gdzie tyle się działo, a w każdej chwili mogło zdarzyć się jeszcze więcej. Uśmiechnęłam się słabo, widząc przerażenie w oczach Kuby. To go trochę uspokoiło. Odetchnęła też spięta obawą ekipa. Pewnie widzieli niejednego tragiczny wypadek na planie i kiedy tak leżałam nieruchomo przez kilka sekund, mogli się spodziewać najgorszego.

Odszukałam wzrokiem Grytę.

- Teraz było okej - pochwalił mnie łaskawie. - Ale jak pociągasz za wędzidło, to kieruj pysk konia bardziej na kamerę, bo wychodzi z kadru.

Dopiero nerwowy śmiech otaczającego mnie tłumu uzmysłowił mi, że to miał być żart.

- Broszka, to nie jest zajęcie dla ciebie. - Kuba odruchowo odgarnął do tyłu długie włosy, których nie miał już od dwóch miesięcy. Przypomniawszy sobie o tym w polowie gestu i zmienił zamiar. Podrapał się po karku z zakłopotaniem.

A więc o to chodzi! Od mojego triumfu w roli konnej dublerki - ba, kaskaderki - który o mało co nie zakończył się tragedią, coś Kubę gryzło. Inni gratulowali mi odwagi i przytomności umysłu. Nawet Serafin, który na treningach nie rozpieszczał pochwałami, teraz nie krył dumy z osiągnięć swojej uczennicy. A ten nic. Trzymał się z boku i tylko od czasu do czasu łowiłam roz-

targnione spojrzenia, którymi mnie obdarzał. Nie interesowałam się nim jednak na tyle, żeby dociekać, o czym tak zawzięcie myśli. Dopiero teraz, kiedy usiedliśmy w przerwie na jednej z trybun, sam się przyznał.

- Więc mój sukces tak cię gnębi? Zazdrosny jesteś i tyle! - odburknęłam, skupiona na gmeraniu jednorazową łyżką w plastikowej misce pełnej grochówki. Odechciało mi się jeść. Ledwie zaczęłam wierzyć w siebie, musiał zepsuć mi samopoczucie nadgorliwą, zupełnie niepotrzebną troską. Udało mu się obrzydzić mi nie tylko obiad, ale i projekty na przyszłość. Nawet babcia nie zniechęciłaby mnie tak skutecznie do marzeń o sławie, które właśnie zaczęłam traktować serio. A dublowanie Kasi miało mnie doprowadzić do ich spełnienia. Byłabym jak ona na billboardzie przed domem Mariolki: śliczna, pewna siebie i szczęśliwa. I tak samo jak Rutkiewicz zasypywana propozycjami ról, za które można kupić sobie pewnie całą stadninę koni fryzjskich, jeśli tylko ma się takie życzenie. Fantastycznie byłoby zostać kimś takim jak ona. A gdyby nawet z czasem to mi się znudziło...

- Zawsze mogę się wycofać - dodałam, bo Kuba nie odpowiedział ani słowem na moje zarzuty. - Ale po co, skoro coraz lepiej sobie radzę i z każdym dniem bardziej mi się tu podoba? Ty też ciągle ryzykujesz i jakoś nie rzucasz roboty.

- Ja to co innego - potrząsnął głową. - Dla mnie to jedyna szansa, żeby się wyrwać z Chęcín i robić coś, co mnie kręci. Ale ty masz swoją pedagogikę, na którą tak chciałaś się dostać... I kolejne dwa dni na uczelni do tyłu. W końcu nie zaliczysz semestru.

- Od razu nie zaliczysz! - zachnęłam się, bo był w tym krakaniu gorszy od babci i Mariolki razem wziętych. Wysunęłam wojowniczo podbródek. - A jeśli nawet, to może już mi nie zależy na tych studiach? Może w życiu liczy się zupełnie co innego? Może dublowanie Kaśki to akurat moja jedyna szansa na to, żeby było fajne i takie, jakiego chcę? Zresztą sam mnie ciągnąłś do „Jupitera”. Co, może nie pamiętasz?

- Ale mówiłem o statystowaniu, a nie zabijaniu się dla fanaberii jakiegoś nawiedzonego reżysera opery mydlanej! - podniósł głos, co było do niego zupełnie niepodobne.

- Co ty powiedziałaś?! - zjeżyłam się bardziej w obronie *Niestrudzonych* niż Gryty. A może chciałam tylko zagłuszyć wyrzuty sumienia. Wolałam nie dopuszczać myśli o tym, co by się stało, gdyby tak babcia dowiedziała się, ile czasu poświęcam swojej dorywczej pracy i na czym ona polega. Albo jakbym tak po dzisiejszym została kaleką na własne życzenie... Strach pomyśleć. Kuba w jednym miał rację: wyzwanie wciąga i domaga się coraz silniejszych bodźców, żeby człowiek mógł się stale sprawdzać. Niby jak gra komputerowa, tylko że z realnym niebezpieczeństwem. Oglądałam tyle filmów z podobnym wątkiem, a dopiero teraz zrozumiałam, że to prawda.

- Okej, nie mam nic do tego serialu ani do jego twórcy - poddał się Kuba. I spojrzał na mnie jakoś tak uroczyście, inaczej niż do tej pory. - Ja chcę tylko powiedzieć... Chodzi mi o... - wyraźnie męczył się ze znalezieniem właściwych słów. Albo odwagi do ich wypowiedzenia.

- O Kasię Rutkiewicz, jak wam wszystkim! - palnęłam ze złością, nie czekając aż skończy, wbrew sobie i zupełnie bez związku. Chyba tylko dlatego, żeby mu dokuczyć. Niewiele brakowało, żeby nierozważnym słowem zepsuł taką fajną znajomość.

Ale to ja poczułam się fatalnie. Zła na siebie, wstałam bez słowa z ławki, zostawiając go z wyrazem osłupienia na twarzy. Idąc, czułam, jak miejsca, w które kopnął mnie wierzchowiec któregoś z kaskaderów podczas jednej z prób upadku, pokrywają się siniakami. Jutro będą czerwono-fioletowe. Zdążyłam się już tego nauczyć w szkole przetrwania Serafina.

Nie uszłam daleko, kiedy przysiadła się do Kuby jakaś wyfiokowana statystka. Kiedy obejrzałam się jeszcze raz, wciąż patrzył za mną i miał bardzo głupią minę.

Rozdział trzynasty

- Jesteś załosny. Nigdy jej nie zdobędziesz. - Rozparty w siodle Gryta zareagował śmiechem na wycelowaną w siebie lufę. Jeżeli Diabeł liczył na to, że uda mu się zastraszyć komisarza lub choćby wprawić w osłupienie, ujawniając swoją twarz, to się mylił. Może policjant domyślał się, kto się ukrywa za kominiarką, a może i nie. Ale nic nie mogło wyprowadzić go z równowagi. Nawet groźba śmierci z rąk opętanego zemstą Wegnera. Trudno, po czarnoksiężskich zabiegach wokół jego fryzury już chyba nigdy nie zobaczę w nim brutalnego zabójcy, którego mrozące krew w żyłach poczynania tyle razy wciskały mnie w fotel w pokoju dziadków, gdzie okryta pledem babcia dziarsko dopingowała dzielnych ulubieńców z patrolu.

- Wiesz, że to wszystko wymyślone, to czemu zawsze tak przeżywasz? - niecierpliwił się dziadek za każdym razem. Bo tracił w tym czasie magazyn polityczny na innym kanale.

- A co tobie szkodzi? - prychała zaczepnie i do końca odcinka miałam spokój. Dziadek wychodził do

kuchni, włączał radio i dotąd kręcił gałką, aż trafił na serwis informacyjny.

Po weekendzie w pociągu do Warszawy omawialiśmy z Edytą najważniejsze momenty odcinka. Ja przeżywałam głównie konie, moja przyjaciółka tylko boskiego Pawła - i świetnie nam się gadało całą drogę. Szkoda, że nie zdała matury i teraz musi zarabiać we Włoszech na utrzymanie. Choć przynajmniej uniknęła rozczarowania prozaicznymi kłopotami idola...

Wegner strzelił bez ostrzeżenia. Kula miała przebić granatową policyjną kurtkę idealnie na wysokości klatki piersiowej. O dziwo, wypadło niezłe już za pierwszym razem. Lecz to nie on, ale Gryta skupił na sobie zachwycone spojrzenia obserwatorów tej sceny. Wspaniale było podpatrywać, jak rewelacyjnie ten aktor kontroluje swoje ciało. Panował nawet nad drobnymi mięśniami czoła, szczęki i ust, z łatwością przybierając wyraz twarzy człowieka w agonii. Prawie można się było nabrać na jego nagłą śmierć. Pochylił się na szyję Gruzina, kurczowo zaplatając palce wokół pasma jego kędzierzawej grzywy. Uparł się grać bez dublera, mimo niesprawnej nogi. Ale nie sądziłam, że odważy się też samodzielnie spaść z konia po strzale, ryzykując powtórny złamaniem dopiero co zrośniętych kości. Jednak to zrobił. Bezwładne ciało upadło na płytę stadionu i znieruchomiało. Nawet nie zauważyłam, czy przekręcił się odrobinę tuż przed lądowaniem, żeby oszczędzić zagipsowaną kostkę.

- Koniec akcji! - zawołał nabożnie młody zastępca reżysera. Aż zachrypł pod wrażeniem dobrej aktorskiej roboty.

Gruzin czekał spokojnie, aż jego pan się podniesie. Kamery przestały bzyzczeć. Ale nikt nie poruszył się ze swego miejsca, jakby nagranie wciąż trwało. Pomyślałam o tym, jak reżyser leżał z twarzą ubrudzoną żużlem po zrolowaniu się razem z siodłem. A potem jak czołgał się przed swoją płonącą stajnią.

Jego partner ostrożnie obracał w rękach pistolet, choć nie pierwszy raz miał do czynienia z podobnym rekwizytem.

- Krew! - przypomniała sobie charakteryzatorka i zaczęła przepychać się z pojemnikiem farby między rzędami nieruchomych postaci. Staliśmy w milczącym skupieniu niczym kondukt pogrzebowy. Ale rzeczywiście, miała rację. Spod leżącego twarzą do ziemi Gryty powinna w tym momencie wypływać strużka krwi.

- Proszę pana... - urwała, orientując się, że chyba przeszkadza realizować mu jakąś kolejną niezapowiedzianą zmianę wizji artystycznej tej sceny.

Aktor wreszcie się poruszył. Wstał z ziemi błądy, lecz opanowany. Wtedy zobaczyliśmy, że jego kostium w okolicy serca przeszył najprawdziwszy pocisk.

- Na szczęście mam pod spodem kuloodporną kamizelkę - powiedział bardzo spokojnie, groźnie, patrząc Pawłowi prosto w oczy. - Wiedziałeś o tym, prawda?

Nie miałam pojęcia, czy taki właśnie miał być w tym miejscu scenariusz. Ale jedno wiedziałam na pewno. Broń, której użył Wegner, nie była atrapą.

- Ile jeszcze osób mogło widzieć, co się naprawdę zdarzyło? - Gryta przeszedł do konkretów. Podniósł się właśnie z fotela w charakteryzatorni, po bardzo długiej chwili milczenia, w którym pograżył się, kiedy dotarło do niego, że to nie był kiepski żart Wegnera. Reżyser miał zapadnięte policzki i wyglądał na o wiele starszego niż w rzeczywistości. Powoli, na drżących nogach, podpierając się kulami, przeszedł parę kroków. Jakby chciał się upewnić, że nie będzie potrzeby łąmania i powtórnego nastawiania kości stawu skokowego. Widocznie bolało go teraz to miejsce.

Bardziej dokuczają mu jednak świeżo uzyskana pewność, że naprawdę ma pośród otaczających go setek ludzi śmiertelnego wroga. O niezrozumiałych do końca intencjach. A przede wszystkim nieobliczalnego w sposobach realizowania złych zamiarów.

Nie mógł być nim Wegner - nie mniej od niedoszłej ofiary przerażony tym, że gdyby nieznanemu sprawcy powiódł się do końca ów dziwaczny plan, byłby teraz zabójcą swego najlepszego przyjaciela. Całe szczęście, że reżyser przejął się poprzednimi wypadkami na tyle, żeby posłuchać zaufanego policjanta z Łomianek i nosić tę kamizelkę! Nikt z nas nie podejrzewał, że jest autentyczna.

Zaraz po upadku z konia Gryta przytomnie zarządził przerwę pod pretekstem opatrzenia nadwerężonej nogi oraz poprawek charakteryzatorskich. Nie wzbudził przez to podejrzeń ludzi na planie, jako że w scenach zbiorowych, gdy w jednym miejscu gromadzi się kilkudziesięciu czy kilkuset uczestników, statysta nie zawsze wie, co w danej chwili się dzieje, kto gra jaką

rolę i gdzie znajduje się aktor. Problem w tym, jak wiele osób zdołało się domyślić grożącego mu przed chwilą niebezpieczeństwa. Oraz co gotowe są zrobić z tą wiedzą.

- Nas dziesięcioro z ekipy tutaj obecnych - Paweł najszybciej policzył stłoczonych w namiocie ludzi, którzy podczas wypadku znajdowali się najbliżej reżysera - i najwyżej ze dwudziestu statystów.

- Miejmy nadzieję, że nie było wśród nich zakamuflowanych dziennikarzy - rozmyślał głośno Gryta. Serafin spojrział na Kubę, ale żaden z nich nie zabrał głosu.

- Dobrze, w razie czego, wersja dla mediów jest taka: prawdziwej broni użyliśmy celowo, dla wzmocnienia efektu artystycznego. Trzeba tylko sprawdzić, jak to dokładnie jest z tymi pozwoleniami. Ale nie, odbezpieczony pistolet na planie, w tłumie ludzi... Za nic nie przejdzie - stropił się nagle, zszedłszy na ziemię. Po czym coś sobie przypomniał: - A tę łuskę od naboju to ktoś w ogóle ma?

Serafin wyciągnął otwartą dłoń i oddał zdobycz.

- No dobra, w takim razie zrobimy inaczej - kombinował dalej Gryta, gorączkowo reżyserując tym razem własne życie. Z większym trudem niż serial, ale równie uparcie, jak robił to zawodowo. - Dobrze, że nie ma poszkodowanych. Nikt nam nie udowodni, że strzelaliśmy z ostrej broni. Oficjalnie to był gadżet o wiele lepszej jakości od tych, jakich zwykle używa się na planie. Oczywiście my zastosowaliśmy ten wynalazek dla uzyskania lepszego efektu artystycznego - powtórzył na wszelki wypadek, żebyśmy dobrze wbili

sobie do głów to wyjaśnienie. Odzyskał przy tym pewność siebie. W jego głosie znów pobrzmiwała tak dobrze mi znana stanowczość, typowa dla ludzi nawykłych do wydawania rozkazów, a nie usiłujących namawiać czy perswadować. Pod nogami walał mu się brukowiec, który ktoś zrzucił z plastikowego krzesła. Kartki nasiąknięte błotem z dziesiątek par butów i naderwana okładka upodobniały pisemko do martwego ptaka. Ale czy jeden zdeptyany egzemplarz coś znaczy, kiedy całe barwne stada obsiadają każdego ranka wszystkie kioski, saloniki prasowe i empiki?

- Kto mógł wymyślić coś tak perfidnego? - nie wytrzymała dziewczyna od obszernych notatek. - Chyba tylko jakiś maniak albo potwór!

Jej wybuch uświadomił widocznie Grycie, że już za długo rozmawia z nimi o wypadku, bo... zwyczajnie nas wyprosił. Jak służących, którym udzielił wskazówek i od tej chwili przestali go interesować. Poprosił o pozostanie tylko Pawła.

Wysłałam posłusznie jak w transie. Niby uczestniczyłam w tym wszystkim, ale niewiele do mnie docierało. Od pewnego czasu miałam wrażenie, że biorę udział w jakimś happeningu, który wymknął się spod kontroli. Albo to ja nie rozumiem „co artysta chciał przez to powiedzieć”. Gdyby jeszcze miesiąc temu, kiedy złapałam błakającego się po mieście Gruzina, ktoś wyróżył mi, że tak będzie wyglądało moje życie - nie uwierzyłabym.

Nadal nie wierzę, kiedy Kuba łapie mnie za rękę i ciągnie w kierunku umieszczonej na trójnogu karne-

ry. Jej operator gawędzi znów z tą ładną dziewczyną i chwilowo nie pamięta o pozostawionym sprzęcie.

- Wariat! Co ty chcesz zrobić? Tak nie wolno - próbuję się wycofać, bo już wiem, co zamierza, choć nie jestem wcale pewna, czy naprawdę nie chcę ulec pokusie ciekawości.

- Muszę się koniecznie dowiedzieć, o czym rozmawiają. Później ci wyjaśnię dlaczego - szepcze Kuba, kiedy pochylamy się wspólnie do jednej pary słuchawek. Wydobywa się z nich jedynie cichutki poszum. Może aktorzy przypomnieli sobie o przenośnych mikrofonach i odpięli je od ubrań?

- Tu się podkręca, żeby było głośniej - Kuba ścisza głos jeszcze bardziej, majstrując przy boku statywu. Pokrętko obraca się w obie strony.

- Czekać, bo ogłuchnę! - bronię się przed maksymalnym natężeniem dźwięku. - No, teraz może być.

Głos reżysera brzmi zupełnie inaczej niż przed chwilą, kiedy tak nas potraktował bez pardonu.

- Paweł, przecież to się musi źle skończyć. Jak długo można się bawić w kotka i myszkę? Kiedyś znudzi mu się patrzeć, jak powoli ginie imperium genialnego Gryty. Albo mnie złamie, albo zabije. Ja to wiem, ale co mam zrobić? Przecież serial jest najważniejszy... I mój publiczny wizerunek. Tylko ten cholerny strach!... Tobie mogę się przyznać. Bo jak mam się bronić, kiedy nie wiem przed kim właściwie? Miałem nadzieję, że to jakiś fanatyczny wielbiciel. Wiesz, jakby sprawdzał, czy w realu też ze mnie taki twarzą jak na ekranie. Nie dam się pokonać przez byle świra, myślałem. I nie dałem, co? - zaśmiał się gorzko. - Ale dzisiaj... Wiesz

co sobie pomyślałem? To głupie... Pamiętasz, jak załatwili naszego Starego? To byłem ja... Nie, no przecież nie osobiście! - Widocznie Wegnerem musiało wstrząsnąć to wyznanie. - Ale to stało się przeze mnie... Może to się teraz na mnie mści?

Cisza w słuchawkach się przedłuża. Czyżby zwykle wygadany Wegner nie umiał poradzić sobie z tym, co usłyszał od przyjaciela? Kuba sięga do regulatora dźwięku, ale powstrzymuję go stanowczym gestem.

- Kto-to-jest-Sta-ry? - sylabizuję bezgłośnie. Ale on tylko wzrusza ramionami. Ojciec na pewno nie, przecież Gryta i Wegner nie są braćmi. Może producent serialu, ten co mieszka za granicą?

Wreszcie słychać zniecierpliwiony głos:

- Dawid, nie gadaj bzdur! Po prostu załazłeś komuś niezłe za skórę. Anioł z ciebie żaden, sam nieraz mam ochotę ci przyłożyć. Problem tylko, komu aż tak podpadłeś. Potencjalnie każdy, z kim pracujesz, ma cię po pewnym czasie cholernie dosyć.

- Dzięki, Paweł.

- Nie ma sprawy. Słuchaj, uważam, że powinieneś zniknąć na jakiś czas. Wyjechać gdzieś w tajemnicy albo ja wiem co... zmylić gościa, póki go policja nie namierzy.

- Czyli uciec, tak? Proszę, nazwij to po imieniu! Rzucić serial, kiedy mamy tak napięty harmonogram i kończy się budżet na realizację nagrań? Wycofać się w takiej chwili jak baba! To dobre dla twojej Kaśki. No właśnie, co za prywatne sprawy załatwiacie, chyba możesz mi już powiedzieć? Pobiłeś ją czy co? Stąd te tajemnice?

- Nie uwierzysz, jak ci powiem. Ale powinieneś znać prawdę. W końcu te sprawy może się łączyć..

- Powiesz mi czy nie?!

- O rany, moje uszy! - nie wytrzymałam. Kamerzysta obejrzał się i dostrzegł, że majstrujemy przy drogim sprzęcie, za który odpowiadał głową. Krzyknął coś, ale udaliśmy, że tego nie słyszymy. Ruszył więc nas przepędzić.

Wegner zniżył głos do szeptu.

- On jej tak kazał powiedzieć... Dzwoniła, żeby mi to przekazać. Że załatwia pilne sprawy i że to na razie jest wersja dla wszystkich. Płakała... Groził, że zniszczy jej twarz. Zapytałem, co mam robić. Ile zapłacić i komu. A ona, że nic. Tylko żebym po pracy trzymał się od ciebie z daleka, cokolwiek by się działo. Więc sorry, ale jeśli o to chodzi, nie przeprowadzę się do ciebie jak wtedy, gdy wróciłeś ze szpitala z tą nogą.

- Co ty mi pieprzysz o nodze! Mów, kto jej kazał tak powiedzieć?!

Operator silnym szarpnięciem wyrwał nam słuchawki. Zanim wyłączył dźwięk, usłyszeliśmy jedno słowo:

- Porywacz.

Rozdział czternasty

Gryta nie przerwał zdjęć. Wbrew moim obawom do wieczora nie wydarzyło się nic, czego by nie przewidywał scenariusz roboczego dnia na planie dużej produkcji. Obraz, jaki wyłaniał się z popołudniowych działań człowieka, który przed chwilą cudem uszedł z życiem, można by uznać za wizerunek reżysera w pełni panującego nad swoją pracą. Osławione okrucieństwo wobec aktorów i reszty ekipy nie zelżało ani na jotę. Mnie się tym razem upiekło ze względu na wcześniej wykonane zadanie. Podobno pobiłam rekord w najkrótszym nagrywaniu pojedynczej sceny. Tylko osiem powtórek upadku. Bagatela!... Ciekawe, czy napiszą o tym w kulisach serialu na stronie internetowej *Niestrudzonych*?

Czekałam, aż wszyscy skończą, żeby wrócić do Łomianek razem z chłopakami. Obserwowałam z boku, jak Gryta dyryguje zespołem kamerzystów, dźwiękowców i asystentek ze swoją zwykłą bezwzględnością. Doszłam do wniosku, że część podsłuchanej rozmowy, tę o dziwnych obawach reżysera, musiałam źle

zrozumieć. W wolniejszej chwili złapałam Kubę, żeby to wyjaśnić.

- Muszę się upewnić, że słyszałeś to samo co ja. O podejrzeniach Gryty, że ktoś wykorzystuje przeciwko niemu wiedzę o jakimś jego zagranium nie fair, którego dopuścił się na tym „Starym”, kimkolwiek jest ten facet. Albo że to sama ofiara mści się teraz.

- Ja bym powiedział, że raczej chodziło mu o to, że to los wyrównuje rachunki. Na zasadzie: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie - uśmiechnął się zmrużeniem oczu, bo doceniłam niezamierzony dowcip. - Widać Gryta mocno coś przeskrobał, że tak go zaczęły gnębić wyrzuty sumienia. Dziwne, że przejmuje się swoim zachowaniem, co nie? Przeważnie mało go obchodzi, jak ludzie odbierają to, co robi.

- No, chyba że są dziennikarzami. Sam słyszałeś, jak nas pouczał. A wcześniej wyparł się wypadku z Lolitą. - Nie mogłam wyzbyć się ironii na wspomnienie tragedii, której z łatwością można było uniknąć: - Pewnie wielki pan reżyser nie powinien zjeżdżać galopem z Góry Ojca na łeb na szyję, czego w życiu by nie zrobił rozważny miłośnik koni. Co by powiedzieli na takie bezmyślne okrucieństwo obrońcy zwierząt, z którymi lubi się pokazywać? Bo wygląda na to, że właśnie tego wstydzi się przed światem. Że nie potraktował Lolity inaczej niż podwładnych na co dzień.

- Raq'a - podchwycił Kuba. - Zmusza cię do pracy na najwyższych obrotach, a jak nie wytrzymasz tempa i staniesz się dla niego bezużyteczny, to won do rzeźnika - podsumował i zanim zdążyłam zapytać, dlaczego

tak bardzo zależało mu na podsłuchaniu tej rozmowy, pobięł do swoich obowiązków.

- Dom jest otoczony.

Nikt nie zdziwił się bardziej na te słowa niż sam Gryta, który powtórzył je za Ignacem zaraz po tym, jak rozłączył się ze swoim „człowiekiem do wszystkiego”. Ignac zadzwonił po zakończeniu zdjęć, kiedy zbieraliśmy się do powrotu. Statystów odwieziono już autokarami do wytwórni. Technicy zwiłali płataninę kabli, upychali do bagażówki kamery i inne dziwne urządzenia. A ja pomagałam przy załadunku koni, żeby tylko nie stać beczynn timer, bo po chwili takiego czekania w bezruchu zimno stopniowo przenikało przez kurtkę i paraliżowało człowieka dłonie i stopy.

Teraz przestało to mieć znaczenie. Przecież według scenariusza tego odcinka komisarz po powrocie z akcji na stadionie zastaje pod swoim wieżowcem zaczajonych współników Diabła. Triumf nieustraszonego policjanta poprzedza na ekranie wspaniały pokaz wschodnich sztuk walki. Tyle że w życiu trudno byłoby Grycie powtórzyć ten wyczyn.

Co prawda tu nie chodziło o bandytów. Ignac zadzwonił do szefa z pytaniem, czy coś się stało, bo wokół posesji zbierają się paparazzi. Podobno ktoś rozpuścił wśród nich wieści, że reżyser został postrzelony w pracy i wkrótce zostanie przewieziony ze szpitala do domu. Na noszach. Takiego hitu nie było jeszcze na łamach żadnej bulwarówki.

- Jakim sposobem coś tak niedorzecznego dotarło do agencji informacyjnej? I skąd tak szybko wszyscy

są pod moim domem? - utyskiwał Gryta, próbując zachować spokój. Ale mówił nieskładnie, a jego oczy sygnalizowały Wegnerowi: „Paweł, ja nie wiem, dokąd uciec”.

Może za dużo się ostatnio działo, lecz nie tylko ja się spodziewałam, że coś się znów wydarzy. Niekoniecznie jeszcze dziś, to prawda. Ale reżyser prześladowany przez własne pomysły nie uniknie przeznaczenia. Zuza Anna, o ile oczywiście przez roztargnienie sama omal nie uśmierciła nas obu gazem, miała dobrą intuicję co do motywu zamachowca. Jej winą było to, że wymyśliła lwią część przygód komisarza i opracowała je w zręczną, trzymającą w napięciu fabułę. Ktoś zakpił sobie z nich obojga w perfidny sposób. Z Wegnera zresztą też. Jakby wszyscy ci ludzie filmu byli marionetkami. Tylko w czyich rękach? Niewątpliwie osoby, która spreparowała doniesienie o kolejnym wypadku. Prawdopodobnie ten ktoś był tak pewny swej skuteczności, że podał informację z wyprzedzeniem. Może nawet nie było go na planie w chwili, gdy Wegner oddał ów niefortunny strzał? To by się zgadzało. Bo ani dziewczyny obsługujące rekwizytornię, ani kowal podobny do Schwarzeneggera - faktycznie przeżywany przez ekipę Arnoldem - który urzędował w sąsiednim baraku, nie zauważyli, żeby ktoś zakradał się do wnętrza. Czyżby więc zamachowiec podmienił pistolet wcześniej, w magazynie „Jupitera”? Pomieszczenie zamknięto na klucz, do którego - prócz reżysera i nieobecnego producenta - zwykle miał dostęp Serafin. Czasem Kuba albo któryś ze stałych pracowników. Właściciele prywatnych koni i ich goście ani klienci

przychodzący na jazdy rekreacyjne nie mieli wstępu do tej części ośrodka.

Ekipa kamerzystów i oświetleniowców odjechała. Nadal nikt nie wymyślił nic mądrego. Bohater serialu poradził sobie z lekką raną postrzałową ramienia. Gryta, choć kula nie dosięgła go przez kamizelkę ochronną, bał się, że nie da sobie rady, jeśli znów fikcja pomiesza się niebezpiecznie z rzeczywistością. Nie miał ochoty wracać do domu, gdzie spodziewał się zasadzki nie tylko ze strony dziennikarzy. Nie miał też odwagi przyznać się do tego strachu. Choć tak bardzo starał się zachować twarz, było po nim widać, że trzęsie się w środku. Zrobiło mi się go żal.

- Może przenocuj w hotelu? - zasugerował Wegner. Nie zaproponował przyjacielowi gościny we własnym apartamencie, konsekwentnie trzymając się wytycznych porywacza.

- Wykluczone - wzdrygnął się Gryta. - W każdym hotelu, który wybiorę, mnie dopadną! Pamiętasz siedemnastą scenę?

Wegner w zadumie pokiwał głową. Mogłam się tylko domyślać jej treści, bo została nagrana w studiu, jeszcze z Kasią Rutkiewicz. Boże, to musi być straszne! Zostać porwanym przez szaleńca. Jeśli dla okupu, to można przynajmniej mieć nadzieję na uwolnienie, gdy ktoś zapłaci za ciebie żadaną sumę. Ale to co ją spotkało... Gdzie on ją trzyma? I jak długo zamierza więzić? Nie wiadomo, kto jest tym porywaczem i czego tak naprawdę chce, więc wszystkiego można się po nim spodziewać. Nie tylko, że zmasakruje jej twarz, jeśli Wegner przestanie spełniać jego żądania. W tym

pewnie ani słowa policji o porwaniu. A przecież kryminalni gotowi by poruszyć niebo i ziemię dla ludzi *Niestrudzonych*, byle tylko uwolnić aktorkę. Wegner głupio robi, nie informując ich o tym, co się stało - nawet przy uzasadnionym strachu przed krzywdą, jaka mogłaby spotkać wtedy Kasię. Bo przy dzisiejszej technice choćby po telefonie z pogrózkami trafiliby na ślad porywacza... Właśnie! Przecież ja znam miejsce, w którym ten pokręcony gość nie namierzy Gryty, choćby był sprytniejszy od samego Diabła!

Przez chwilę dodaję sobie odwagi, aby podejść do reżysera i poprosić go na bok. Wiedziałam, że zdziwi go moja śmiałość. Poza tym nie miałam pewności, czy rozmowa w tym gronie była przeznaczona również dla moich uszu. Może to propozycja nie na miejscu, ale co tam, najwyżej się nie zgodzi.

- Przepraszam, mam pomysł...

Powątpiewanie w jego oczach nie wróży najlepiej. Ale jak się powiedziało a, trzeba doprowadzić rzecz do końca.

- Proszę pana... ja pomyślałam sobie, że może... Czy przypomina pan sobie zaproszenie na gonitwę Świętego Huberta do Kostomłotów?

Wujek zgodził się od razu. Zdziwiłabym się, gdyby postąpił inaczej. Szkoda, że Panu Bogu stłukła się forma na takich serdecznych ludzi. Niewielu dorównuje Wujkowi pod tym względem. Gryta może do niego pojechać już teraz, choćby miał dotrzeć w środku nocy, i zostanie do sobotniego święta. Zamieszka incognito w kolonii za wsią w domu dla wczasowiczów,

pustym o tej porze roku. A kiedy ci pod bramą siebie odpuszczają, Ignac wymknie się z osobistymi rzeczami reżysera. Ma też zabrać Gruzina. Niby do kliniki na badania - w końcu Gryta ma prawo zadbać o przemęczonego pupila. Bo na razie ogier mieszka nadal w „Jupiterze”. A skoro komuś udało się zakraść do magazynu rekwizytów, poradzi sobie z zabezpieczeniami w stajni filmowej. Więc lepiej konia też przed nim ochronić.

Nikt więcej nie może się dowiedzieć prawdy o wyjeździe - dokąd i na jak długo. To jedyny sposób na zmylenie zamachowca.

Mordercy.

Po raz pierwszy pomyślałam o nim w ten sposób.

- Kuba, jesteś pewien, że sobie poradzisz? Naprawdę nie chciałam cię w to wrobić - zaczęłam się tłumaczyć, kiedy padło na niego. Ktoś powinien pojechać z Grytą do Kostomłotów, a Jakub przecież doskonale znał drogę do swoich kuzynów, sąsiadów Wujka. Nic się też nie stanie, jeżeli zabraknie go jutro przy budowie hali, a zdjęcia odwołano do końca tygodnia.

Ale podróż z reżyserem ściganym nie wiadomo przez kogo, w nocy, trasą do przejścia granicznego w Terespolu, a przed samą granicą na południe, i jeszcze piętnaście kilometrów wąską szosą biegnącą waleń przeciwpowodziowym wzdłuż Bugu - to zupełnie co innego! Słabo oświetlona droga, teren mało zaludniony, dookoła krzaki, sporo pól i łąk... Owszem, za dnia tworzą bardzo malowniczy krajobraz, do którego sama aż się wyrывam z Warszawy. Ale jeśli prze-

ze mnie spotka ich coś złego, nigdy sobie tego nie daruję.

- Przesadzasz - Kuba zbagatelizował moje obawy z szelmowskim uśmiechem. - Przecież to nie wyprawa wojenna. Damy sobie radę z czarnulką.

- Jaką znowu czarnulką? - nie zrozumiałam. - To już nie Kasię Rutkiewicz masz na topie?

- Ha, ha! Dobra jesteś. O Kaśce można sobie pofantazjować, ale kto by doskoczył do takiej Barbie na niebotycznych obcasach? Mnie by się tam nie chciało. Wolę jej lepszą, bo naturalną wersję. - Pochylił się ze znaczącą miną. Znow zebrało mu się na głupie żarty. Dobrze wiedziałam, jak wyglądam po dniu ciężkiej pracy, niewyspana, spocona, w polarze upstrzonym sierścią kasztanka. Po czym z uśmiechem, którym zawsze potrafił mnie rozbroić, dodał:

- Ale toyotka reżysera jest jak najbardziej w moim typie.

No to mamy tajemniczą brunetkę. Ale głupio się wyrwałam przed chwilą. Ja chyba cierpię na syndrom byłej kobiety Filipa. Wszystkich facetów, choćby starali się dla mnie tak jak Kuba, z góry podejrzewam o ukrywanie „tej drugiej”. Niech już wreszcie będzie ten Hubertus, żebym mogła się spotkać z Filipem i porządnie pogadać. Zobaczyć, jak to naprawdę z nami jest. Bo ostatnio nawet nie mam czasu o nim pomyśleć, tak wiele dziwnych rzeczy dzieje się wokół mnie. A co do Kuby, to też nie miał się kim zainteresować, kiedy tyle dziewczyn się za nim ugania. Jak już w końcu przejrzy na oczy i dostrzeże tabuny wielbicielek, szybko pójdę w odstawkę.

- A ta blondyna, co przysiadła się do ciebie na trybunach, jak tylko sobie poszłam... Kto to jest?

Oj, chyba trafiłam w sedno. Kuba zmieszał się, aż przymknął oczy.

- To jest właśnie powód, dla którego chciałem podслуchać tę rozmowę.

- Nareszcie sami. Luzik, co mała? - Serafin przeciągnął się za kierownicą olbrzymiego koniowozu i zapuścił silnik, który zagrał tak potężnie, jak okrętowy. Czego jak czego, ale kasy to właścicielowi „Jupitera” nie brakuje.

Ziewnęłam, idąc za przykładem kaskadera. Jak dobrze pójdzie, za niecałą godzinę znajdę się nareszcie w łóżku i odeśpię ten weekend - mocno przedłużony, bardzo pracowity i obfitujący w nazbyt wiele nie zawsze przyjemnych niespodzianek. Pomyśleć, że Mariolka mogła sobie w tym czasie, po skończonej pracy w sklepie, zszywać powolutku kolorowe skrawki materiału w coraz to nowe wzory, kiedy ja się tak mordowałam! Z rozrzewnieniem wspomniałam swoją starą kolekcję plakatów Dawida Gryty. Kiedyś miałam trudności ze zdobyciem podobizny aktora, więc każdy taki łup cieszył mnie bardziej niż teraz osobiste z nim kontakty. Jeszcze trochę, a z chęcią powrócę do śledzenia imperium Gryty, jak sam je nazwał, z perspektywy kącika prasowego w „Spożywczaku”. Nie dbając o dublowanie Kasi Rutkiewicz i możliwość zajęcia w przyszłości miejsca obok niej nie tylko na łamach gazet.

No właśnie... Całe szczęście, że nie wszystkim dzien-

nikarzom zależy na oczernianiu znanych osób na wszelkie sposoby, byle tylko sprzedać sensacyjny materiał, bardziej bzdurny i agresywny od artykułu kolegi, z którym akurat rywalizuje o miejsce na kolumnie. Na przykład Irenie, która pierwsza opisała historię Lolity, nigdy nie przyszłoby do głowy coś tak podłego. Fakt, że swego czasu wyleciała na rok czy dwa ze „Słowa Podlasia” po tym, jak przesadziła z zarzutami wobec pracowników jakiegoś urzędu. Ale ona w dobrej wierze tropiła i naświetlała czytelnikom nieprawidłowości. Nie jej wina, że „życzliwemu” informatorowi zależało na tym, żeby wprowadzić ją w błąd. Sprawdziła ponoć wszystko, co się dało, a i tak wyszła grubsza afera. Jednak Irena wyciągnęła z tego właściwe wnioski i wywalczyła sobie powrót do zawodu.

A jaka jest ta Ewka, która zaczepiła dzisiaj Kubę z prośbą o wywiad do pisma młodzieżowego - nie wiadomo. Niby studentka, o rok starsza ode mnie, i dopiero zaczyna współpracować z prasą. Ale wkreśliła się na plan jako statystka, co nie udało się wcześniej paru zawodowym reporterom z „kolorówek”. Czy ona nie narobi dodatkowych kłopotów? Nie wiem wprawdzie, gdzie była w chwili, kiedy strzelał Wegner, czy się orientuje, co naprawdę zaszło, ale fakt, że ktoś dał znać paparazzi o wypadku na planie. Tylko skąd od razu ten szpital i nosze?

- Serafin, ty wiedziałeś, że Kuba z nią rozmawiał - bardziej stwierdziłam niż spytałam. Dobrze pamiętałam porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymienili między sobą w charakteryzatorni. To dlatego Kuba musiał się upewnić, że Gryta nie wie, co zrobił. Wyle-

ciałby z hukiem z roboty jak nic. Bo kiedy tylko Ewka przyznała się, kim jest, powinien od razu pobiec z tym do szefa. A on nie doniósł na nią nawet po wypadku z pistoletem. Tym bardziej, że - jak uzasadniał to potem przede mną - „ona na pewno nie ma nic wspólnego z tym nieudanym postrzałem ani ze zbiegowiskiem wokół domu Gryty, bo dobrze jej z oczu patrzy”. Też argument! Jeszcze gdyby to powiedział Serafin! Ale faktycznie nie chciałabym, żeby Kuba stracił pracę przez chwilę głupiego zauroczenia.

- Że też on nie spławił od razu tej dziewczuchy! - odreagowałam na współtowarzyszu podróży.

- Pewnie fajna była... - podjudził mnie Serafin, ale nie dałam się sprowokować. Bo niby z jakiej racji?

Koła zabuksowały na zakręcie. Wjeżdżaliśmy do uśpionych Łomianek. W centrum, obok supermarketu „Globi” mineliśmy blok, w którym mieszkał Ignac z żoną. Pamiętam, że tu nas wysłał Gryta, kiedy w czasie wakacji przyjechaliśmy do niego po Lolitę. Po tym, jak kazał swemu pracownikowi odwieźć ją na rzeź, bo właśnie tego dnia złamała nogę. Całe szczęście, że za plecami szefa Ignac nie grzeszył sumiennością. Zamiast odwieźć klacz osobiście do skupu, jak miał przykazane, zatrzymał na trasie ciężarówkę z końmi, które jechały za granicę na mięso. Przewoźnik nie miał jeszcze kompletu, więc zgodził się odkupić po cenie rzeźnej arabkę, która urodziła się w Janowie Podlaskim - chyba najsłynniejszej na świecie stadninie koni arabskich - a której dziadka, El Paso, kupił w 1981 roku hodowca z USA za milion dolarów. W ośrodku

specjalnie nadaliśmy jej takie „domowe” imię, żeby nikt nie poznał jej prawdziwej wartości, gdyby przyszło mu do głowy sprawdzić w rejestrze koni hodowlanych tej rasy. Nie można bowiem nazwać tym samym imieniem równocześnie dwóch arabów. Ale nawet to nie uchroniło Lolity przed kradzieżą. Zagięła zupełnie przypadkowo, pomyłona z innym koniem. Nierozpoznana, wędrowała z rąk do rąk, aż spodobała się Grycie. Odkupił ją, a już po kilku dniach Ignac sprzedał ją napotkanemu po drodze przewoźnikowi za cenę, jaką dostałby w skupie koni rzeźnych. Ale zaoszczędził przy tym na paliwie i te pieniądze wziął do kieszeni. Pewnie speszył się nieoczekiwanym spotkaniem ze mną, bo domyślał się, że o tym wiem.

- W każdym razie, jeśli nawet ta Ewka cokolwiek narozrabiała, teraz nie ma to już znaczenia. Bo ona nie wie przecież, dokąd wyjechał Gryta, no nie? - pocieszałam się. - Jeżeli nikt z wtajemniczonych się z tym nie zdradzi, informacja pozostanie w gronie... zaraz, ilu osób?

- No, ja i ty - Serafin uśmiechnął się w automatycznym odruchu podrywacza, który miał chyba we krwi. - To już dwie. Dalej sam Gryta, Ignac, Młody... no i Wegner. Plus ten twój pan Sacharuk. Razem siedmiu wspólniaków.

- Nie żartuj sobie, z tego się robi poważna sprawa! A jeśli ktoś wpadnie na trop... Serafin, kojarzysz, żeby w *Niestrudzonych* było coś podobnego? Wiesz, jazda samochodami w nocy, pościg, strzelanie. - Wzdrygnęłam się, bo już znałam odpowiedź.

- Żeby to raz. - Kaskader spoważniał. Mocniej zakręcił kółkiem, bo wjeżdżaliśmy właśnie na podjazd przed „Spożywcakiem”. Zatrzymał się, nie gasząc silnika, ale nie wysiadłam od razu.

- Słuchaj, co ty ukrywasz? Powiesz mi, co dokładnie działo się wtedy, gdy Lolita złamała nogę, czy nie? I jak to było z popręgiem Gruzina? Proszę... Bo jakby Kubie miało coś się stać, to ja... Ja nie wiem nawet, co tu się do cholery dzieje!

- Oj, księżniczko, pierwszy raz słyszę, żebyś używała takich słów. Fiu, fiu! To do ciebie nie pasuje. Widać kontakt z Grytą ci nie służy. Jak nam wszystkim.

Miałam ochotę tupnąć nogą, ale w kabinie było za ciasno na rozmach. Poruszyłam się więc tylko gwałtownie w fotelu.

- Nie wykręcaj się od odpowiedzi, dobra? Kto wie, czy przez to, że nic nie wiem, nie zdarzy się coś o wiele gorszego! Jeżeli przeoczę w porę zagrożenie...

- Wiesz, co ci powiem, mała? Nikt nie wie, o co tutaj chodzi, a już najmniej ja. Mam swoją robotę, szanuję ją, ale nie chcę się do niczego wtrącać. Mnie kręca w życiu tylko konie i niezależność, rozumiesz? Tu mam jedno i drugie, dlatego na razie jestem w „Jupiterze”. Przymusu nie ma, nie? Śmiesz mnie ten cały filmowy światek i wszystko mi jedno, jak oni tam między sobą się gryzą. A to, co mnie gryzie, dobrze zgadłaś, wiąże się z pechem Gryty. Ale inaczej niż myślisz. Dla śledztwa to nic niewarte, tylko dla mnie się liczy.

- To co cię tak gnębi? - spytałam cicho i o wiele grzeczniej.

- Nie da się ukryć, że w obu przypadkach dałem dupy.

- Jak to? Przecież to Gryta gonił kobyłę w dół jak głupi, nie ty!

- Ale ja mu doradziłem tego weterynarza, co ją potem oglądał! Kiedyś pracował na Służewcu. Taki spec od złamań i w ogóle kontuzji, a zawalił sprawę. Oцениł, że nie ma szans, żeby noga się zrosła. A ty mi potem mówisz, że jakiś młody chłystek na wsi poskładał kobyłę do kupy jak trzeba. Bez wypasionej kliniki, nie wiadomo jakiej forsy i tytułów naukowych.

- Tylko nie chłystek - oburzyłam się za Filipa. - Poza tym wyjątkowo zdolny weterynarz. Na studiach był najlepszy na roku.

- Spoko wodza, przecież nic do człowieka nie mam. Ale sama widzisz, że to moja wina. Tak samo nie dopatrzyłem w porę tego siodła ogiera. Dawno je trzeba było dać rymarzowi do zszycia!

W życiu bym nie podejrzewała, że Serafin tak mocno to przeżywa i tak zaciekle obwinia się o to, co nie do końca było jego winą. Powiedziałam mu o tym. On, który traktuje życie z przymrużeniem oka i wyróżnia się niespożytą wręcz energią, że nie wspomnę o niezaspokojonym zainteresowaniu płcią przeciwną!... I taki człowiek w środku cały czas się zadrecza?

- Pomylił się weterynarz, a nie ty. Jeśli w ogóle można tak go ocenić. Bo przecież nie wiedział, że ma do czynienia z bardzo cenną kłaczą hodowlaną. A biegać Lolita rzeczywiście już raczej nie będzie mogła.

- No dobra, a popręg? Przecież Gryta mógł się wtedy zabić...

- Ale żyje i to jest najważniejsze, Serafin! Zresztą, nawet jeśli nawaliłeś, jak twierdzisz, to każdy ma prawo od czasu do czasu popełnić błąd. Ważne, żebyś wyciągnął z niego wnioski na przyszłość, a nie oskarżał się ciągle od nowa i rozpamiętywał to, co się stało i już się nie odstanie - w pierwszej chwili nieświadomie użyłam słów, które wiele razy słyszałam od babci. Była w nich mądrość; nieraz bardzo mi pomogły. - Założę się, że teraz sprawdzasz sprzęt za każdym razem, nim pozwolisz komuś wsiąść na konia, prawda? I o to chodzi. Może gdyby nie tamten wypadek, inna, mniej sprawna od Gryty osoba naprawdę zabiłaby się w tym siodle.

Serafin w zamyśleniu wodził palcem po kierownicy. Ale widziałam, że trafia do niego to, co mówię, i mnie samej zrobiło się lżej na duszy. Raz, że odwracało to moją uwagę choć na chwilę od lęku o Kubę, a dwa - dzięki zasadzie, którą już dawno odkryłam, że kiedy się komuś coś tłumaczy, żeby mu pomóc, to jest trochę tak, jakby się sobie samemu porządkowało świat. A tego ostatnio bardzo mi potrzeba. Bo ja wciąż nie wiem, czego tak naprawdę chcę. Nawet jeśli chodzi o być czy nie być w świecie filmu. Raz euforia, za chwilę mam wszystkiego dość. A najważniejsza rzecz w moim życiu? Wciąż jeszcze nieodkryta... Za to wydaje mi się, że mam receptę dla Serafina i, o dziwo, chyba dzięki rozstaniu z Filipem.

- To, że jesteś jednym z najlepszych kaskaderów w tym kraju, nie znaczy, że musisz być perfekcyjny we wszystkim, co robisz. A kiedy coś ci się nie uda, bo zwyczajnie ma prawo, nie możesz popadać w obsesję.

To odbierze ci siły do dalszej walki, a tego byś nie chciał, prawda? Zawsze lepiej pogodzić się z tym, czego nie możesz zmienić. Uwierz mi, ja naprawdę wiem, co mówię.

Dużo później pożałowałam, że nie zastanowiłam się wtedy głębiej nad własnymi słowami.

Rozdział piętnasty

- Nie zgadzam się na rozwód, słyszysz?! Nigdy nie pozwolę go sobie odebrać! - krzyczała żona Filipa, szarpiąc mnie za ramiona, aż bolało. Groziła, że zastrzeli mnie tak jak wcześniej Grytę. Bo on zginął, zanim dotarł do Kostomłotów. Kuba też. Nie dowierzałam jej, ale miała przy sobie pistolet i bałam się, że w tej szarpaninie zaraz przestrzeli mi tchawicę z bardzo bliskiej odległości. Próbowałam zignorować dotyk chłodnej stali w okolicy mostka i wytłumaczyć oszalałej kobiecie, że wcale nie jestem taka, za jaką mnie uważa. Przecież to ja zrezygnowałam z Filipa, żeby sprawdzić, czy zejda się z powrotem, kiedy mnie przy nim nie będzie. Bo kiedy się dowiedziała o naszym romansie, też zresztą nie od niego, sama zaczęła się domagać rozwodu. Umyśliłam sobie, że jeżeli do Hubertusa się nie pogodzą, to będzie znaczyło, że tak już zostanie bez względu na moją decyzję. Dopiero wtedy będę mogła z czystym sumieniem dać mu jeszcze jedną szansę. Bo to by znaczyło, że jesteśmy sobie pisani.

Ale nie mogłam jej tego wszystkiego powiedzieć. Nie potrafiłam wydobyć głosu. Spróbowałam uwolnić się chociaż z żelaznego uchwytu jej rąk. Też nic z tego. Szarpałam się chyba całe wieki. W końcu zadzwonił telefon.

Obudziłam się zlaną potem, zaplątana w ciasny kokon ze skotłowanej we śnie kołdry.

- Kuba? - wymamrotałam niezbyt przytomnie w aparat, który z trudem wymacałam za łóżkiem.

- Cześć, ja tylko na sekundkę, dzwonię od pana Sacharuka. Dojechaliśmy, wszystko okej. Jeszcze dzisiaj wrócę z Ignacem.

- Tylko jedźcie ostrożnie - poprosiłam nie bez powodu.

- To znaczy, że mam zwalniać na zakrętach? - parsknął radośnie Kuba, a ja wyobraziłam sobie, jak w tym momencie rozbłyły jego szarozielone oczy.

- Ach, ty! - zachciało mi się śmiać, bo z ulgą odczułam wreszcie całą absurdalność nocnego koszmaru.

- Masz pozdrowienia od mojej Ani. Na razie! - rozłączył się.

Szkoda, że jego siostra cioteczna nie ma telefonu, nawet domowego, bo chętnie rozmawiałabym z nią częściej niż tylko przy okazji wizyt w Kostomłotach. Poznaliśmy się, gdy malowała Wujkowi ogrodzenia wokół wybiegów dla koni, zarabiając w ten sposób na jazdę. Choć Ania Borek była młodsza ode mnie o kilka lat, prawie nie odczuwałam różnicy wieku.

Zatopiona we wspomnieniach z ostatnich wakacji, a przy tym wcale jeszcze niewyspana, wkrótce pogrążyłam się w długą, pokrępiającą drzemkę.

Obudziłam się dopiero, gdy wschodzące słońce wpadało przez kuchenne okno aż tutaj, do mojego pokoju po zachodniej stronie domu. Promienie wdzierają się przez nieco zapuszczone szyby, z całą bezwzględnością uwidoczniając każdą plamkę i smugę na szkle. Podświetlały w powietrzu pionowe słupki kurzowych drobinek i kładły się migotliwymi plamami na przybrudzonej drewnianej podłodze.

To niepodobne do Mariolki, żeby odpuściła sobie generalne porządki w tym tygodniu. Dbanie o dom to był jej żywioł, któremu oddawała się zawsze z ochotą. Zwłaszcza jeżeli dręczył ją akurat jakiś problem. Więc nie chodziło o kłopoty. Pewnie patchworki zabrały jej cały wolny czas. Ostatnio wzięła się za szycie z podziwu godną konsekwencją.

Zamrugałam powiekami, bo zdążyłam się już odzwyczaić od takiej feerii naturalnego blasku. Październik wyjątkowo pogodnie żegnał się ze światem. Jego ostatni dzień był ciepły - takie dni bywają w środku wakacji - choć stanowił jedynie złudzenie lata. W cichym pomieszczeniu, pełnym promieni słonecznych i swojskiego bałaganu dookoła łóżka, nie tylko senny koszmar, ale i przeżycia ostatnich dni wydawały się urywkami obejrzanego dawno temu filmu o dramatycznej fabule, a nie wycinkiem z mego własnego życia. Było ono trochę inne, niż wyobrażałam sobie na początku studiów, ale w sumie nie najgorsze. Zwłaszcza że już wieczorem miałam się znaleźć we własnym łóżku w Terespolu.

Odruchowo włączyłam radio, jak zwykle po przebudzeniu, licząc, że trafię na któryś z ulubionych waka-

cyjnych przebojów. Bo piosenka, którą raz skojarzyłam sobie z konkretną sytuacją czy przeżyciem, przypominała mi potem te chwile równie dobrze jak zdjęcia w albumie. Ale nic z tego. Jakaś regionalna stacja, którą pewnie nastawiła Mariolka, przekazywała smętne doniesienia z kraju i ze świata. Całe szczęście żadnych rewelacyjnych newsów na temat ulubionego reżysera. Nareszcie.

Zainteresowałam się, kiedy spiker wymienił nazwę Puszczy Kampinoskiej. Okazało się, że i w tej oazie piękna i spokoju czasami dzieje się źle. Leśnicy odkryli próbę kłusownictwa w rejonie bagnistego rezerwatu Sieraków. Ktoś chciał zapolować na sympatyczne łoski, mimo że są pod ochroną. Całe szczęście, że niezidentyfikowanego osobnika w porę przepłoszył patrol straży leśnej. Kłusownik zdążył strzelić dwa razy, prawdopodobnie ze sztucera. Kula lekko drasnęła zwierzę w brzuch.

- Rana nie zagraża życiu dorosłego samca. Znajdzie się on jednak pod obserwacją. Te herbowe zwierzęta Kampinoskiego Parku Narodowego wyginęły na tych terenach blisko dwa wieki temu. Przywrócono je tutaj w lasach w 1951 roku. Pierwsze łosie, przywiezione z Białorusi, wypuszczono na wolność właśnie w rezerwacie Sieraków. Do dzisiaj jest to miejsce ich najliczniejszego występowania. W całej puszczy żyje ponad stu przedstawicieli tego gatunku. Choć niełatwo spotkać łosia, bo najchętniej przebywa on na trudno dostępnych mokradłach i w zagajnikach, wielu turystów głównie w tym celu przyjeżdża do Kampinosu. Urocze zwierzęta są kochane zwłaszcza przez dzieci, co skwa-

pliwie wykorzystują producenci popularnych zabawek czy gadżetów. Charakterystyczne poroże samców, tak zwane rosochy, zrzucone jesienią stanowi cenne trofeum myśliwskie.

No właśnie. Gryta też jest ścigany jak dzikie zwierzę. Jak ten „król puszczy”. Albo jak lis w dorocznej gonitwie Świętego Huberta, patrona koniarzy i myśliwych. Tradycyjne święto trzeciego listopada wymaga specjalnego rytuału. Lisa wybiera się spośród najlepszych jeźdźców. Z rudą kitą przypiętą do ramienia pomyka na rączym wierzchowcu, kluczy, myli pozostałych nagłymi zwrotami, unikając pogoni. Nie daje się osaczyć ścigającym go myśliwym, którzy nie zawsze chcą go jak najszybciej dopaść. Choć zdobycie trofeum to wielki honor, więcej tam zwykle zabawy i radośnego zamieszania niż prawdziwej walki o to, kto zerwie lisi ogon. Samo ściganie się w urozmaiconym terenie liczy się nieraz bardziej niż ostateczny cel. Może o to samo chodziło prześladowcy reżysera? Czyżby za każdym razem inscenizował widowisko, a nie zależało mu wcale na realnym zagrożeniu życia ofiary? Może był pewien, że Gryta wyjdzie z opresji, w które go pakował raz za razem...

- Nie o to chodzi, by złapać króliczka, ale by gonić go! - zanuciła nagle w korytarzu Mariolka, za którą ta melodia chodziła od kilku dni. Po chwili ona sama przyfrunęła na skraj mojego łóżka w zamaszystej spódnicy zszytej z czerwonych i brązowych łątek. Siadając, rozrzuciła ją na kołdrze niby kosz jesiennych liści.

Spodziewałam się, że do bólu obowiązkowa współlokatorka z miejsca wygoni mnie na psychologię, bo

powinnam już szykować się do wyjścia. Ale ona nawet nie pamiętała, że mam dzisiaj zajęcia, na których wy-czerpałam już limit nieobecności.

- Nie śpisz już? To świetnie - zaćwierkała, szurając kapciami. Zdziwiłam się, bo przyszła bez fartucha.

-* Co się stało, że nie jesteś w sklepie?

- Wzięłam sobie dzień wolnego. A co! W końcu sama sobie szefuję. Trzymaj za mnie kciuki, żeby się udało. Zawiozłam rano całą torbę rzeczy do galerii dla młodych projektantów. Jedna klientka powiedziała mi, że jest coś takiego w Warszawie. Bo spodobał się jej mój fartuch i spytała, czy sama uszyłam. Ona ma tam znajomą. Dała mi namiary, to się umówiłam i pojechałam.

- I co? Wzięli coś? - Usiadłam na łóżku, całkiem już rozbudzona.

Kiwnęła głową, wprawiając w ruch prześwieconą słońcem grzywkę.

- W komis. Na razie parę drobiazgów, ale na początek dobre i to. Wiesz, te śmieszne krawaty i czapeczki, co robiłam w zeszłym roku. Jak dobrze pójdzie, może coś sprzedam.

Rzuciłam się jej na szyję z gratulacjami.

- A to mnie zaskoczyłaś! Czemu wcześniej nic mi nie powiedziałaś, okropna kobieto?!

- Bałam się zapeszyć.

Ach, więc tak to z tobą jest, moja droga! Może więc słusznie domyślałam się ostatnio co do ciebie i Serafina... Wczoraj wróciłam do domu bardzo późno i spałaś już jak zabita, więc nie dało się porozmawiać. Ale trzeba kuć żelazo póki gorące. Mam nadzieję, że jest co kuć...

- Słuchaj, a ja zaprosiłam chłopaków do nas na obiadek.

Zrobiła oczy jak włoskie orzechy.

- No, Kubę i Serafina...

- Dzisiaj? - przeraziła się i od razu zaczęła tłumaczyć: - Przecież ja nie mam czasu nic ugotować! Ani posprzątać. Zobacz, jaki tu bałagan. Muszę zaraz jechać do hurtowni po towar i w ogóle...

„I w ogóle to dopiero jak schudnę” - dopowiedziałam w myśli jej stałą wymówkę. Tu cię mam, moja droga, pomyślałam z triumfem. Więc on jednak cię obchodzi i to bardzo. Dlatego tak się wycofałaś na naszej imprezie, kiedy zostawiliśmy was z Serafinem samych. Żeby nie zapeszyć. Bałaś się, żeby się nie wydało, jak on ci się podoba, bo jeżeli ty jemu nie, byłoby ci głupio. A Serafin widać odczuł, że traktujesz go z lodowatą obojętnością, a może nawet z pogardą, i pomyślał, że nie ma szans. Wczoraj trzy razy zagadywał o ciebie pod najdziwniejszymi pretekstami. Tylko kiedy zapytałam go wprost, czy mu się podobasz, zjeżył się, że jak na jego oko, to za bardzo się rządysz i zachowujesz, jakbyś pozjadała wszystkie rozумы. Już gdzieś to słyszałyśmy, prawda?

Z wami jest chyba tak, jak z niektórymi narowistymi końmi. Kiedy podchodzisz do takiego wariata ze strachem, że zrobi ci krzywdę, on czuje twój lęk i sam też zaczyna się bać. Bo włącza mu się myślenie: „Jak ty się boisz mnie, to ja się boję ciebie. A jak boimy się siebie nawzajem, to ja cię pierwszy kopnę albo ugryzę”. Nieporozumienie gotowe - i po współpracy. A mnie się wydaje, że z was byłaby dobrana para. Przynajmniej

moglibyście spróbować. Tylko trzeba nad wami trochę popracować, moje wy starsze ode mnie dzieciaki.

- No nie, przecież nie zrobiłabym ci czegoś takiego! Umówimy się konkretnie, kiedy tylko będą mieli trochę luzu w pracy. Zostało jeszcze parę dni nagrań w plenerze i po *Niestrudzonych*. Na razie tak tylko wstępnie z nim rozmawiałam.

Mariolka cofnęła się w cień, nieufnie wstrząsając burą teraz grzywką.

- Z nim? To znaczy z Serafinem? Ty go namówiłaś! - nasrożyła się jak kwoka mojej babci. Tylko jej wepchnąć stadko kurcząt pod skrzydła z kimonowych rękawów i dziobnęłaby mnie aż miło. Jakbym chciała ją skrzywdzić. Ja!

- Sam się wprosił - odparłam zgodnie z prawdą. Bo rzeczywiście chciał mnie odwiedzić. Nie dodałam tylko, że zaznaczył: „Pod warunkiem, że nie będzie w domu tej twojej przemądrzałej koleżanki”. Akurat mu wierzę!

Na uczelnię zabrałam torbę pożyczoną od Zuzy Anny, bo jutrzejsze zajęcia przepadały ze względu na dzień Wszystkich Świętych. Urwałam się z ostatniego wykładu, żeby pojechać na Ochotę, jak umówiłyśmy się przez telefon. Wstyd się przyznać, ale przed wyjściem z domu przeszperałam dokładnie boczne kieszonki i zakamarki. Szukałam bliżej niesprecyzowanego dowodu zamieszczenia scenarzystki w niedoszące zabójstwo, a może tylko niby-zabójstwo Gryty. Wiedziałam, że to nielogiczne: nikt o zdrowych zmysłach nie porywałby się mordować człowieka, z którym od

lat tworzy zawodowy tandem. Zuza Anna jako jedyna nie narzekała na tempo pracy ani na metody które stosował reżyser wobec swoich współpracowników. Przeciwnie, wiele razy na zajęciach stawiała go nam za wzór człowieka sukcesu. Nic dziwnego, bo oboje wyznają zasadę: dać z siebie wszystko i tego samego wymagać od innych. Oj, doświadczyłam tego nieraz na jej warsztatach i przy porządkowaniu archiwum. W pracy genialny reżyser i wyróżniająca się scenarzystka szli równo i pewnie jak para świetnie dobranych koni w zaprzęgu, który wiozł producenta *Niestrudzonych* ku coraz większym zyskom.

Ale wtedy w Bibliotece Narodowej zastałam ją nad podręcznikiem o rodzajach broni palnej lub o pokrewnej tematyce. Nie zdążyłam się lepiej przyjrzeć, bo w mig poderwała się na mój widok i odciągnęła mnie od swego stolika. Niby nic w tym dziwnego - potrzebowała tego typu informacji do scenariusza i zależało jej na czasie, jak zwykle - ale przez jakiś czas łudziłam się, że to może być jakiś trop.

Poza tym w zamachach na Grytę było coś nienormalnego. A ona czasami przyglądała mi się specyficznie albo zachowywała się dziwnie, wprawiając mnie tym w zakłopotanie. Nie wiedziałam do końca, skąd się ono bierze. Mariolka wyśmiała moje odczucia. Kuba, któremu opowiedziałam któregoś razu w „Jupiterze” o znaczących spojrzeniach profesorki, dowcipkował jak to on:

- Może ona ma na ciebie oko, co? Jest... no wiesz... Dlatego żaden facet nie ma u niej szans. Uważaj, żeby

się nie wydało, że spędziłaś u niej noc. To lepszy kasek dla mediów niż ten upojny weekend z Grytą.

Obrzuciłam go wtedy garścią zeschniętych liści, ale i tak dokuczał mi przez następnych parę dni. Fajny byłby z niego facet, gdyby choć trochę spowaźniał!

Ale później zastanawiałam się nad tym, co o niej powiedział. Z tym wpatrzaniem we mnie to oczywiście przesada, ale tak w ogóle... Kto wie, jakie skłonności ukrywa Zuza Anna? Różne rzeczy słyszy się o ludziach z artystycznego światka, a ja wciąż za mało o nich wiem. Jednak gdyby nawet Kuba miał rację co do jej upodobań, to jeszcze nie był powód, żeby wyżywać się na reżyserze! Zresztą czy w ogóle mogłaby mieć jakiś powód? Była wściekła, że Gryta nie powierzył jej scenariusza filmu o Lolicie? Ale przecież nie do tego stopnia, żeby odgrywać tę całą tragikomedię z wypadkami! W życiu nikt by się nie połapał, o co w tym chodzi - a już na pewno żaden facet, nawet geniusz reżyserii. A z facetami, mimo że samotna, Zuza Anna nie miała żadnych problemów. Sama widziałam. Skakali koło niej, nawet gdy nie uciekała się do babskich sztuczek. Ona jednak nie poświęcała im najmniejszej uwagi. Ciekawa byłam, co Gryta o niej myśli. Ale on, zapatrzony w swoją artystyczną misję, chyba w ogóle nie postrzegał kobiet jako potencjalnych partnerek życiowych. Podobnie jak ona mężczyzn.

Zdaje się, że ktoś bardzo chciał, żeby wyglądało na to, iż zamachy są dziełem kogoś z branży. Wegnera albo Zuzy Anny. Może Serafina, jak z tym siedłem, jeżeli istotnie zostało uszkodzone. I ten ktoś albo ma nie

po kolei w głowie, albo jest piekielnie inteligentny i jedynie udaje wariata. Do czego on tak naprawdę dąży? Niby do śmierci reżysera, ale przecież sam mógłby zastrzelić go skrycie z tłumu statystów. Miałby wtedy o wiele większą szansę na skuteczność swego planu niż przy ryzykownej podmianie rekwizytu na prawdziwą broń. A pożar stajni Gruzina? Czy podpalacz liczył na to, że Gryta zginie podczas próby wyprowadzenia z płomieni cennego wierzchowca? Albo że zabije się pod jego kopytami, zsunąwszy się na ziemię razem z siodłem?

Jednego jestem pewna: za każdym razem zamachowiec wykorzystywał motyw zaczerpnięty z *Niestrudzonych* lub tylko inspirował się jakąś sceną. Aranżował sytuacje z serialu sensacyjnego przeniesione do rzeczywistości, gdzie w jego zamierzeniu widocznie mają się skończyć prawdziwą tragedią, a nie zręcznym unikiem i triumfalnym zwycięstwem bohatera w stylu „zabili go i uciekł”, jak na ekranie. Choć niekoniecznie muszą. Prześladowca zachowuje się tak, jakby chciał przynajmniej częściowo obarczyć los odpowiedzialnością za swoje czyny. Jakby przygotowywał scenografię dla przypadku. To właśnie zaleciła mi zrobić w stosunku do Filipa... Zuza Anna!

- Proszę mi wybaczyć, zupełnie zapomniałam, że umówiliśmy się na trzynastą. - Scenarzystka otworzyła drzwi swego mieszkania po bardzo długiej chwili od pierwszego dzwonka. Uśmiechała się przeprasza-
jąco. Zauważyłam klucz w pancernych drzwiach do sejfu, gdzie zapewne szperała przed chwilą - nic dziw-

nego, że mnie nie usłyszała. Przetarte czarne džinsy i podniszczony sweter tego koloru kłóciły się z jej wytwornym wizerunkiem na uczelni. Znów za bardzo poniosła mnie fantazja. Nieważne, czy Zuza Anna miała motywację, czy nie - na zamachowca i tak była zbyt roztrzepana, żyła za bardzo w swoim własnym świecie. Jego centrum stanowiła teraz monografia Gryfy, co łatwo stwierdziłam, przestąpiwszy próg gabinetu. Piramidy opisanych teczek zajmowały szeroki tapczan. Na parapecie leżały stopy kaset wideo, listów i wydrukowanych maili od miłośników serialu, oraz pism gratulacyjnych od znanych osobistości świata polityki i kultury. Krzesła i fotele ugięły się pod warstwami gazet i książek pozakładanych paskami papieru. Lawirując między paczkami scenariuszy i różnych dokumentów, które zalegały wolne od mebli skrawki dywanu, dotarłam do biurka. Na jego blacie piętrzyły się stopy najrozmaitszych albumów i luźnych fotografii, przytrzymywane przez stojący na brzegu sześciopak markowego piwa.

- Proszę wcisnąć torbę pod fotel, jeśli się zmieści. Albo gdzieś tam obok - machnęła ręką zrezygnowana, bo nigdzie nie było dość miejsca. Chyba żebym powiesiła ją na haku od żyrandola. Wzdrygnęłam się na wspomnienie przeżytej tutaj nocy. Nigdy więcej, choćbym miała wracać do siebie ostatnią ełką albo wozic jeszcze cięższe torby z materiałami!

- Szkoda, że jedziesz do domu na weekend. Myślałam, że uda nam się uporządkować te zdjęcia - zagadnęła z widoczną nadzieją, że jednak zmienię zdanie. Choć z żalem, musiałam jej odmówić. Żaden

szanujący się koniarz z południowego Podlasia w pełni władz fizycznych i umysłowych nie zrezygnuje dobrowolnie z Hubertusa w Kostomłotach! To prawie tak, jakby zignorować Gwiazdkę.

Zatrzymała mnie na herbacie i opowiedziała o postępach w pisaniu. Opracowywała teraz początki drogi zawodowej Gryty w szkole filmowej. Naszkicowany z grubsza rozdział zajmował ze dwadzieścia kartek maszynopisu, monografia zapowiadała się więc imponująco. Zuza Anna była tak pochłonięta wtajemniczeniem mnie w szczegóły publikacji, że zdawała się nie dostrzegać moich dyskretnych zerknięć w stronę ściennego zegara. Przecież muszę zdążyć na ostatni pociąg, żeby jutro z rana wybrać się z babcią na cmentarz do rodziców.

Zajęta pisaniem o dorobku Gryty, najwidoczniej przeboleła już urazę o zlecenie prowincjonalnej dziennikarce scenariusza do filmu o Lolicie. Wcześniej podejrzewałam, że bardziej ją to obeszło. Ale jeżeli nawet na początku tak było, teraz zabrała się z pasją do tej mocno pochlebnej, jak się zdawało, monografii jego twórczości. Wygrzebała z bałaganu na biurku tekturowe pudełko czarno-białych fotografii z łódzkiej filmówki. Znalazła wśród nich portret Gryty, zrobiony pewnie do dyplomu.

- Przystojny był z niego chłopak, prawda? - uśmiechnęła się na wspomnienie studenckich czasów. - Byliśmy taką zgraną paczką, a potem to się rozpadło, jak to w życiu bywa. Radzę ci korzystać, póki możesz, ze szkolnych przyjaźni i rozrywek. Bo później to już nie to samo...

Dobrze jej mówić! Jak ja mogę używać sobie na studiach, kiedy na nic nie mam czasu? Nawet nie poznałam się bliżej z nikim z mojego roku. Może gdybym mieszkała w akademiku albo przynajmniej gdzieś bliżej, a nie w tych Łomiankach... Albo gdyby nagrania do serialu i porządkowanie teczek nie zabierały mi tak dużo czasu... Może wtedy byłoby inaczej? Ale czy lepiej? W końcu przecież robię to, co lubię.

Zaraz naprawdę spóźnię się na pociąg, a przecież muszę się jeszcze spakować i kupić bilet. Pewnie dzisiaj będą duże kolejki do kas. Tymczasem Zuzie Annie przez to pisanie zebrało się na wspomnienia i uparła się, żeby mi o nich opowiedzieć. Wyjęła następne zdjęcie. Przedstawiało grupkę dziwnie poprzebieranых osób. Śmiały się jak opętane, choć kilka z nich miało tragicznie zmasakrowane twarze. Zuza Anna wypięłgnowanym palcem dziobnęła jedną postać.

- To Dawid. Świętowaliśmy jego debiut na deskach teatru. Zresztą nasz wspólny, bo to sztuka według mojego pomysłu. Napisałam ją na pierwszym roku studiów, byłam więc w twoim wieku... O, a tutaj widać Pawła Wegnera. Zawsze trzymali się razem, mimo różnicy wieku. Paweł, typ amanta, dostał się na wydział aktorski za pierwszym podejściem, a Dawid po kilku próbach. Potem role się odwróciły. Tamtego od dawna czepiają się krytycy, że urodą nadrabia niedostatki warsztatu, natomiast Dawida po obronie dyplomu uznali za największy talent na naszym roku. Zawsze był zdolniejszym dramaturgiem, tylko trzeba było umieć to odkryć. Mój ojciec pierwszy docenił jego potencjał.

- Pani ojciec? - powtórzyłam jak echo, bo przypomniała mi, że przecież on był tym sławnym aktorem, któremu Gryta zawdzięcza wprowadzenie do środowiska. Uczyli się u niego razem z Wegnerem. „Nasz Stary”, to by się zgadzało... O nim rozmawiali wtedy w charakterystycznie! Czy reżyser wyrzucał sobie, że pośrednio przyczynił się do jego samobójstwa? Bzdura, przecież tyle mu zawdzięczał i zawsze bardzo pochlebnie wyrażał się o dawnym mistrzu. Próbowałam naprowadzić Zuzę Annę na tę kwestię i w końcu się udało.

- Czy to prawda, że prywatnie niezbyt się lubili? - zagadnęłam niewinnie. - Bo wyczytałam coś takiego w...

- Wierutne kłamstwo! - nie dała mi dokończyć. - Byli bardzo dobrymi przyjaciółmi. Nawet kiedy Dawid obronił u ojca dyplom na najwyższą ocenę, a potem wyrzekł się teatru dramatycznego na rzecz komercyjnych seriali. Chciał udowodnić, że o geniuszu decyduje nie to, co się robi, ale jak się robi. Wiesz, czyje to słowa? - rzuciła zniechęta, ale potrząsnęłam głową. - Nieważne. I udowodnił. Ale zawsze bardzo się nawzajem szanowali.

- O, tu gdzieś mam zdjęcia z balu sylwestrowego. - Zuza Anna pogrzebała głębiej w odbitkach - Podoba mi się takie jedno, gdzie wszyscy razem siedzimy przy stole. Chcę je włączyć do książki. Zaraz, gdzie ja to mam...

Spojrzałam na zegar i z nieudawanym przerażeniem zaczęłam przeproszać i tłumaczyć się, że teraz to już koniecznie muszę iść. Żegnana serdecznym zaprosze-

niem do współpracy po świątecznej przerwie, wycofałam się za drzwi i popędziłam w dół schodami z prawdziwą ulgą. Nie mogłam przecież wiedzieć, że gdybym została jeszcze parę minut i obejrzała z nią resztę zdjęć, zrozumiałabym już dzisiaj, kto i dlaczego chciał zabić słynnego reżysera.

Rozdział szesnasty

Pogodę miałam na zamówienie cudownie słoneczną, bezwietrzną i nadal niewiarygodnie ciepłą, jak na schyłek jesieni. Wprost wymarzoną na imprezę w plenrze. Kilka razy wstawałam w nocy, aby przekonać się z ulgą, że niebo wciąż jest gwiaździste a ulica sucha. Rano otworzyłam okno na oścież - wpuściłam do sypialni fałę powietrza, jak z reklamy płynu do płukania tkanin, i gdakanie kur spłoszonych przez dziadka. Wyjeżdżał właśnie z podwórza wozem zaprzęgniętym w naszego poczciwego Maćka. Koń w podlaskiej uprzęży, z aureolą w postaci tak zwanej dugi, która wznosiła się ponad jego grzywą drewnianym łukiem, ciągnął pustą furmankę. Kiwał do rytmu głową, jak gdyby pogodnie zgadzał się na swoje miejsce w świecie. Wyglądał jak pątnik u progu dorocznie powtarzanej pielgrzymki. Tak też było. Dokładnie wiedział, co go czeka, bo każdej jesieni o tej porze dziadek zaczynał zwozić drewno na zimę z lasu, do którego od naszej ulicy wiła się polna droga. Wkrótce straciłam ich z oczu, bo widok przysłoniło mi drzewko mirabelki

rosnące przed moim oknem. Obsypane żółtymi - nie śliwkami już, lecz listkami, przechylało się przez siatkę, jakby wypatrując gości. A może zapatrzyło się w mały zagajnik po drugiej stronie ulicy? Wdzięczył się tam rząd młodych brzoź o liściach nieco intensywniejszej żółtej barwy. Białe pnie odcinały się od nasyconej zieleni sosen. Nie dziwiłam się, że złota polska jesiień zaczęła na mnie w mikroklimacie doliny Bugu aż do tej pory. Zwykle gdy brzozy na Mazowszu zrzucały już z siebie wszystko przed zimą, tu drzewka migotały w słońcu jak obwieszane żaróweczkami. Za nimi złotawe wierzby o przerzedzonych wstążkach liści nanizanych na cienkie gałązki jak sznury chorągiewek zdobiących przydrożne krzyże tworzyły filtr dla widoku zrudziałej łąki i pasma lasu w oddali.

Za tym lasem, w pobliżu skrzyżowania z międzynarodową trasą Berlin-Moskwa, zwykle czekał na mnie volkswagen Filipa. I jedyne, najpiękniejsze na świecie dłonie. Lubiłam się przyglądać, jak od niechcenia pieściły kierownicę, kiedy jechaliśmy razem do stadniny Wujka. Często zabierałam ze sobą Kitera, który - jak to bokser - nie usiadł ani chwili spokojnie. Miotał się na tylnym siedzeniu i poszczekiwał z emocji całą drogę, chlapiąc dookoła śliną z fagli rozciągniętych w uśmiechu najszczęśliwszego psa w powiecie.

Skończyło się. Kiedy wyjechałam na studia, ciotka z Białej zabrała Kitera do siebie, dla córki. Bez pytania mnie o zgodę. Ale skoro nie wolno mi trzymać go na stacji, a dla dziadków duży pies to kłopot, niech przynajmniej Cinka ma się z kim bawić. Dzwoniłam - dogadują się super.

Za to Filip ani razu nie próbował ze mną rozmawiać, co mnie trochę rozczarowało. Zabroniłam mu poruszania tej jednej kwestii, ale przecież nie wszelkich kontaktów! Rozumiem, że może to być dla niego nowe, bolesne doświadczenie. A dla mnie to nie? Mimo to chciałabym, żeby czasem jak zwykły znajomy zapytał, co słyshać albo opowiedział coś o sobie. Żeby mogła zadzwonić z pytaniami natury weterynaryjnej, jak do zaufanego fachowca. Bez ryzyka, że znowu zacznie nawijać o nas. A on wycofał się w pełne urazy milczenie - jak człowiek, który nie przebacza krzywd. Jeśli już o tym mowa, to sorry, ale kto tu kogo bardziej skrzywdził?

Zresztą to już nieważne. Przecież jesteśmy dorośli i nie możemy pozostawić między nami nierozwiązanych spraw. Chcąc nie chcąc, będziemy się spotykać na wspólnych imprezach, choćby przy okazji Hubertusa u Wujka. Z takich krótkich zetknięć i niedomówień, podsycanych na co dzień nadzieją na to, co niemożliwe, i rozpamiętywaniem przeszłości nie może wynikać nic dobrego. Im szybciej doprowadzimy naszą sytuację do normalności, tym większa szansa, że nie zwariuję od tego gdybania.

Nie chciało mi się czekać na autobus, więc wyciągnęłam z piwnicy rower. Musiałam sobie spokojnie pomyśleć podczas godzinnej przejażdżki szosą biegnącą wzdłuż granicy równoległe do koryta Bugu, zanurzoną pewnie teraz w chmurze czerwonych i żółtych liści. Przede wszystkim o tym, jaką to scenografię może budować Filip dla naszego spotkania.

Z daleka usłyszałam gardłowe głosy dwóch ogierów, którym klacze z Kostomłotów odpowiedziały srebrzystym rzeniem. Siwy arab rzucał się jak szalony w swojej zagrodzie na tyłach stylowego domu dla letników, zarzuciwszy na siebie ogon, przez co przypominał startującego nieudolnie Pegaza. Raz po raz gromkim trąbieniem oznajmiał, że to on jest najwspanialszym ogierem na świecie. Przekrzykiwał się w ten sposób z Gruzinem, którego władczy zew tłumiły grube ściany Borkowej stajni.

- One tak od kilku dni. Można pozazdrościć kondycji. - Wujek przywitał mnie uśmiechem, unosząc końcówki sumiastych wąsów tak wysoko, że obawiałam się, czy nie wydlubie sobie oczu. - Nareszcie nas odwiedziłaś! Dobrze, że jesteś, bo prawie wszyscy goście już dotarli. Czekamy tylko na lisa.

Poprowadził mnie przez trawnik, który kaleczyły gęsto zaparkowane samochody z rejestracjami od gdańskiej po zamojską. Werandę drewnianego domostwa tłumnie okupowali znajomi z wakacji. Ha, komu Filip potrzebny do szczęścia w Kostomłotach, skoro i bez niego traktują mnie tutaj jak swoją? A ja czuję się jak u siebie.

Po rozległym podwórzu snuły się grupki pieszych i jeźdźców na wypielęgnowanych i odświętnie wystrojonych wierzchowcach. Chcieli je rozluźnić przed pokazową gonitwą, ale zwierzęta niecierpliwie żuły wędzidła i przebierały nogami w oczekiwaniu na wyścigowe emocje. Większość uczestników hołdowała najlepszej koniarskiej tradycji, którą kostomłockie gospodarstwo propagowało od ćwierćwiecza. Czerwone rajtroki, bia-

łe bryczesy, buty z cholewami, a na głowie toczek lub melonik - tak jak ubierali się niegdyś modele Kossaków na polowania z okazji dnia Świętego Huberta. Dziś to bezkrwawe łowy, gdzie więcej jest zabawy niż rywalizacji. Stąd tu i ówdzie fantazyjne stroje jeźdźców i koni. Upodobniły one nadbużański zakątek do planu filmu kostiumowego. Wzdłuż polsko-białoruskiej granicy mieli zamiar się ścigać między innymi: żołnierze Księstwa Warszawskiego, kowboje i staropolska szlachta w kontuszach. A także tajemniczy Zorro, w którym dopiero po zagipsowanej nodze rozpoznałam naszego reżysera. A wtedy rozejrzałam się odruchowo, czy nic mu nie grozi. Mimo wspaniałej atmosfery i wesołych nastrojów wszystkich w zasięgu wzroku, przeczuwałam, że udział Gryty w masowej imprezie, nawet tu, na wschodzie, może mu przynieść niechcianą niespodziankę. Obym się myliła.

- Kolorowo jak u Wajdy, co? - zagadnął mnie zniebaczony Filip, podchodząc bliżej, aż zapachniało niebieskim Maklerem. Widać myślał, że to za nim tak się rozglądam. Uśmiechnęłam się niepewnie, jak ktoś, kto nie do końca zrozumiał dowcip. Wypatrzyłam go od razu w tłumie, ale nie chciałam podejść pierwsza. Przygotowywałam się na tę chwilę od dwóch miesięcy, a teraz... nie czułam nic z tego, co do niedawna kazało mi płakać wieczorami w poduszkę aż do zmęczenia. Chyba wolałam kochać moje wspomnienia o Filipie niż jego fizyczną obecność przy mnie. Bo tyle miałam mu do powiedzenia podczas tamtych nieprzespanych nocy, a teraz tylko kiwnęłam z roztargnieniem głową i zrewanżowałam się podobną błahostką w lekkim tonie.

- Czy ten koń pod Grytą to Apacz? - wskazałam młodego wałacha rasy małopolskiej, w śmieszne biało-rude łaty. Kubek w kubek jak ten, którego wygrała Ania Borek w konkursie audiotele zorganizowanym z okazji sierpniowej aukcji arabów w Janowie Podlaskim. Tylko że jej koń był jakby mniejszy, no i zupełnie nieujeżdżony. Ten rozglądał się wprawdzie ciekawie na boki, lecz reagował na polecenia jeźdźca z psim posłuszeństwem.

- Zmężniał, co? Irena go szkoliła; chodzi już jak zegareczek - pochwalił się zadowolony, jakby ujeżdżenie było zasługą jego, a nie dziennikarki. Po czym ściszył głos i dokończył, zerkając na reżysera: - Nie wymieniaj głośno jego nazwiska, bo tylko parę osób tutaj wie, kto ukrywa się za maską. Ignac poradził mu, żeby nie ryzykował publicznego występu, ale ten się uparł, że pojedzie, tyle że zasłoni twarz. Jak mu facet tłumaczył, że niepotrzebnie prowokuje nieszczęście, to Gryta nie mógł się go nachwalić: „Co ja bym zrobił bez Ignaca. Takiego oddanego pracownika to ze świecą szukać”. A ledwie odesłał go do Warszawy z młodym Borkiem, zrobił i tak po swojemu. Zrozumiesz ty artystę?

Dziecinada, pomyślałam. Gryta sam się prosi o bat, ale niech mu będzie. Żeby tylko potem nie żałował. Ignac miał rację, ostrzegając go, musiałam to przyznać. Ale wciąż żywiłam mieszane uczucia do tego człowieka. Pamiętałam, jak udawał przy furtce, że mnie nie poznaje. A może faktycznie nie zapamiętał? I ten dziwny spacer z Gruzinem. W końcu nie wiadomo, czyj to był pomysł - jego czy Gryty, bo każdy twierdził, że tego drugiego. Właściwie dobrze mi się rozmawiało

z Ignacem. Raczej nie mam powodów, by go nie lubić, ale nie jestem skłonna ufać mu tak jak jego pracodawca. Przecież on ma dostęp do stajni Gruzina i na podwórzu - a może nawet do domu - pod nieobecność reżysera. Wiem w każdym razie o kluczu od furki, który nosi ze sobą, żeby móc dostać się na posesję w każdej chwili. Z grubsza zna plany Gryty. Wie, gdzie jest i co robi każdego dnia. Jeśli wykorzystuje tę wiedzę przeciw chlebodawcy, to jego oddana służba może ma uśpić czujność otoczenia? Ale po co miałyby mu szkodzić? To niedorzeczne - straciłby miejsce pracy. Chyba że dla zysku... Odpada. Nie potrzebowałyby do tego wydumanych pułapek, jeśli w ogóle byłby w stanie je zorganizować, w co poważnie wątpię. Zwyczajnie otrułyby reżysera albo użył tej samej broni w ustronnym miejscu, może w domu, jeśli dałoby się obejść te alarmy. Ale nie usiłowałyby ręką Wegnera dokonać pokazowego morderstwa na oczach tłumu statystów i ekipy filmowej.

Więc on na pewno nie jest tym filmowym zabójcą, którego nazwał tak jeden z bulwarowych dzienników. Zobaczyłam okładkę na Dworcu Centralnym i kupiłam sobie na drogę tę gazetę, ale niczego się z niej nie dowiedziałam. Same domysły wykołowanego paparazzi, który zmarnował sporo czasu na czatach przed posesją reżysera. Zemścił się na Grycie, wysnuwając teorię, że artysta sam wymyślił swojego „Diabła wcielonego” i podał dziennikarzom fałszywą informację po to, żeby bez przeszkód zaszyć się tam, gdzie wcześniej udała się Kasia Rutkiewicz. Wiadomo w jakim celu.

Szkoda kasy na podobne brednie.

- Dlaczego on nie jedzie na Gruzynie? - zaciekawiałam się, bo reżyser pierwszy raz dosiadał innego wierzchowca niż własnego fryza. Poza tym wypadało wreszcie coś powiedzieć, żeby Filip nie pomyślał, że odebrało mi mowę w jego obecności.

- Ciii! - syknął, przejęty tajemnicą. Tajemnicą poliszynela, bo pewnie już obiegła pocztą pantoflową całe zgromadzenie. Prócz tego ogiery śpiewały nieustannie na dwa głosy i ciekawscy interesowali się, jakiego to rozplodnika ukrywa w swoim chlewiku skromny rolnik z sąsiedztwa. Ale zajrzeć nie było jak, bo maleńkie okienko tuż pod dachem Borek zabił kawałkiem deski.

- Jak ty go sobie wyobrażasz incognito na fryzie z serialu? Do tego jedynym, o jakim słyszałem, który porusza się inochodem?

Co też ja widziałam w tych dłoniach, którymi tak zawzięcie gestykułuje? Ręce jak każde inne.

- Raq'a - udawałam dalej zainteresowanie towarzyską pogawędką. Szło mi coraz lepiej. - To w ogóle tutaj na nim nie jeździł, czy jak?

Filip zerknął na mnie przelotnie, z nadzieją, jakby rozpoznawał po tych upartych dociekaniach dawną Broszkę. Nic z tego nie będzie, kotku, pomyślałam, o dziwo, już bez emocji. No, może trochę z żalem, że już nie będę miała za kim tęsknić. I nikogo, kto by mnie nazywał kotkiem...

- Nie jeździł, bo koń okulał w transporcie. Nic poważnego. Skaleczył się niegroźnie w podszwę. Obejrzałem kopyto, jak tylko go wyładowali, ale nawet opatrunku nie trzeba było zakładać. Już mu przeszło. A srokaty od razu mu się spodobał. - Filip przeskoczył

z Gruzina na jego właściciela, ale nadażałam za tematem. - I z maści, i z charakteru. Do filmów i pokazów świetny. Przyciąga wzrok i łatwo się uczy... Ty wiesz, jak on się lubi bawić?

Podniosłam oczy, autentycznie zaciekawiona. Na temat koni zawsze świetnie się dogadywaliśmy i pewnie tak zostanie. Ale wspólne hobby nie wystarczy, żeby zbudować dobry związek. Już to wiem.

- Jak tylko wypuszczą go na podwórko, spryciarz wspina się zaraz na piwnicę. Wiesz, ten duży kopiec z drzwiami, na prawo od studni Borków...

- Wiem, mam taką samą - przerwałam mu, bo tłumaczył jak jakiejś warszawiance. Pomyślałam przy tym, że spotykaliśmy się przez dwa lata, a wcale się nie znamy. Pamiętałby, gdyby mu zależało. Widać nie poświęcał mi tyle uwagi, jak sądziłam. Wspomnienia wspólnie spędzonych chwil jednak nie wywoływały już bólu, jak jeszcze do niedawna. Nawet teraz, gdy Filip stał obok mnie, bardziej obcy niż daleki znajomy. Bo tak naprawdę ani mój Filip, ani jego Broszka nigdy nie istnieli. Wymyśliliśmy sobie siebie takich, jakimi chcieliśmy być. Żadne z nas nie zwracało sobie głowy tymi prawdziwymi. Spotykaliśmy się w Kostomłotach, żeby jeździć konno, kochać się i dobrze bawić. Nauczył mnie odkrywać przyrodę, rozpoznawać gatunki ptaków i roślin. Ja jego - cieszyć się życiem. Ale nigdy nie rozmawialiśmy o istotnych sprawach. O tym, co nas dotyczy. O życiu, przyszłości, wartościach, jakimi chcemy się kierować. Próbowałam kilka razy zacząć taką szczerą rozmowę, ale obracał moje starania w żart. A ja się nie upierałam, żeby go nie stracić. Nie

dawaliśmy sobie nawzajem wsparcia, zamykaliśmy się z własnymi problemami przed drugą stroną. Nie byliśmy też wystarczająco blisko siebie, żeby zauważyć problemy tej drugiej osoby i odpowiednio na nie zareagować. Nasze randki były miłymi ucieczkami od codzienności. Wskakiwaliśmy na chwilę z realnego świata w baśniową czasoprzestrzeń zamkniętą w dolinie Bugu. To musiało się skończyć brutalnym przebudzeniem. Dobrze, że umiałam sobie z tym poradzić. Ale z przyjemnością będę wspominała to, co było piękne.

Zajęta myślami, jednym uchem słuchałam, jak opowiada z ożywieniem:

- Apacz potrafi się tak wdrapywać na górę i zbiegać po drugiej stronie wiele razy, aż do znudzenia. Stary Borek mówi, że taki koń to wstyd przed ludźmi. Do roboty w polu za delikatny, a psotny jak dziecko i łąsi się do Ani jak pies.

Przerwał, bo od strony zabytkowego Sanktuarium Unitów Podlaskich nadciągała kawalkada jeźdźców. Rajd młodzieży z Janowa Podlaskiego pod przewodnictwem tamtejszego malarza w staropolskim konтусzu.

- Uwaga! Lis jedzieeee! - rozległy się dookoła podkorycytowane nawoływania. Irena zaczęła się przy bramy z aparatem fotograficznym. Inni regionalni dziennikarze, fotograficy oraz niektórzy goście poszli za jej przykładem. Zamieszanie powiększyło się, gdy na końcu „Kmicicowej kompanii” ktoś wypatrzył dobrze wszystkim znaną sylwetkę Profesora. Nauczyciel naszego „lisa” z Akademii Sztuk Pięknych, a zarazem ce-

niony między innymi w USA autor obrazów o tematyce jeździeckiej, swego czasu pomógł Wujkowi zdobyć do stadniny Lolitę. Wujek sam nie sprowadziłby klaczy zza oceanu, gdzie trafiła po aukcji z janowskiej stadniny.

- Słyszeliście? Ponoć Profesor będzie malował portret kobyłki... - plotkowano po kątach.

Wypatrywałam Gryty pośród jeźdźców, którzy wyjechali powitać gości. Ale zniknął gdzieś w tłumie.

- Wszyscy na polanę nad rzeką! - zarządził Wujek po dłuższej chwili radosnego zamieszania. - Po gonitwie zapraszam na ognisko i bigos. Smaczny, próbowałam! Proszę się częstować do woli!

Dwie dziewczyny już teraz roznosiły na tacach napoje w mniejszych i większych szklaneczkach. Wybrałam coś, co wyglądało na sok grejpfrutowy, ale nim nie było. Co najmniej w połowie.

Gryty nadal nie mogłam wypatrzeć wśród jeźdźców, którzy zmierzali grupami w kierunku największego pastwiska, otoczonego brzozowym lasem jak płonąca obręczą. Filip też nie potrafił zlokalizować czarnej peleryny reżysera.

Jak człowiek wraz z koniem może tak po prostu zniknąć niezauważony w biały dzień w gronie samych swoich? Zaczęłam sobie wyobrażać najgorsze.

Rozdział siedemnasty

- Ładnie ich wykiwałem, co? - nie ukrywał zadowolenia Gryta, rozluźniony po lekkomyślnej galopadzie. Rozparł się nonszalancko przy ognisku i wyciągnął przed siebie wyprostowaną nogę, na której - mimo gipsu prześwitującego pod czarną skarpetą - opierał się już podczas chodzenia całkiem swobodnie. Rozgrzewał się nalewką Borka i jak chłopiec domagał aprobaty dla swojej partyzanckiej strategii.

Wycofał się tuż przed gonitwą w nadbużańskie zarośla po to, by w decydującym momencie pościgu za lisem wypaść z najmniej spodziewanej strony. Wkroczył do akcji w stylu filmowego Zorro. Przygotował ten strój z myślą o demonicznym Gruzinie, ale i dosiadając Apacza, potrafił zrobić wrażenie.

Irena ze „Słowa” właśnie doganiała lisa pięknym, wydłużonym galopem. Dosiadała Berberysa z kostmłockiej stajni. Zwolnił go w ostatniej chwili inny, słabszy, jeździec, bo stracił zaufanie do własnych sił. Niełatwo utrzymać się w siodle pośród trzydziestu koni uganiających się jak popadnie, kiedy jedzie się na

bestyjce z duszą sportowca. Dziennikarka umiała sobie radzić z jego temperamentem. Już sięgała po rude trofeum, kiedy malarz po raz kolejny ją przechytrzył. W ostatniej chwili podniósł rękę, co znaczy: lis w norze. Dopóki jej nie opuści, nie wolno nikomu zerwać kity. Ledwie opuścił ramię, oddaliwszy się wpierw na bezpieczną odległość, spomiędzy drzew wypadł jak indiańska strzała rudo-biało-czarny błysk. Tajemniczy jeździec zawrócił zwinnego konika pod ostrym kątem i, utrzymując się w siodle w pełnym galopie jedynie na prawym strzemieniu, całym ciałem wychylił się ku lisowi w kontuszu, zrywając ozdobę z jego ramienia. Wszystko to nie trwało minuty. Po czym jako zwycięzca poprowadził zwyczajową rundę honorową dookoła polany, tyle że... stojąc w strzemionach na wyprostowanych nogach. Kręcił ponad kapeluszem młynka zdobyczną kitą, czym dodatkowo płoszył Apacza, cwałującego co sił w nogach.

Reżyser nie ujawnił swojej twarzy, nawet gdy pozował do pamiątkowych zdjęć z pucharem. Za to po ceremonii, wciąż bez słowa, podjechał do Ireny, skłonił się przed nią wytwornie i wręczył trofeum oraz nagrodę. Dziennikarka, nie mniej od pozostałych zdumiona kolejnym naruszeniem tradycji, długo odprowadzała wzrokiem postać znikającą między zaroślami nad rzeką. Jeździec kierował się wzdłuż jej nurtu na południe.

Pojawił się kilka godzin później w doskonałym humorze, bo zwiedził zabytkową bazylikę w pobliskim Kodniu oraz kilka sąsiednich miejscowości. Usłyszałam, jak zwierzał się Wujkowi:

- Podlasie jest wspaniałe. Po trzech dniach, które tu

spędziłem, mam więcej energii niż po trzech tygodniach wypoczynku gdzie indziej. Słowo daję. Tak wyobrażam sobie bezkres dawnej Rzeczypospolitej. Bierzesz konia i jedziesz pięćdziesiąt kilometrów. Jest gdzie się rozpędzić i powłóczyć. A te krajobrazy!

Na trasie swej ekscentrycznej przejażdżki wzbudzał zrozumiałe zainteresowanie. Wyglądało na to, że wcale się tym nie przejął - wręcz przeciwnie - prowokował przygodną publiczność. Wycieczka po okolicy nie była najmądrzejszym posunięciem, ale rozumiałam, że potrzebował tej chwili brawury, żeby rozładować stres ostatnich tygodni. Uradowany odzyskiwaną sprawnością i szalonym, wyzwajającym pędem rozluźnił się bardziej niż my po kilku kolejkach. Bo niby bawiliśmy się w najlepsze przy harmonii z resztą biesiadników, ale gdzieś wciąż czaiła się obawa o reżysera.

W końcu przestałam się dziwić, że Gryta nie ma stałej partnerki. Która kobieta wytrzymałaby jego dzikie pomysły? Nie darmo się mówi, że artyści są jak dzieci. A jaki był teraz z siebie zadowolony! Tylko jak zwykle nie dbał o innych.

- Nie dość, że my się zamartwialiśmy, to jeszcze omal nie zajeździł Apacza - mruknąłam do Filipa na stronie, kiedy już nie mogłam słuchać przechwałek reżysera.

Młody koń nigdy jeszcze nie był na tak długiej i wyczerpującej przejażdżce. Wracając, ze zmęczenia nie był w stanie biec zupełnie prosto, machał ogonem i słabł z każdym krokiem. Ania z godzinę musiała go potem oprowadzać, żeby nie zakolkował. W tym czasie Gryta odświeżył się w domu dla letników i omówił scena-

riusz filmu o Lolicie z Ireną, która zobowiązała się nie wspominać w tygodniku o jego pobycie w Kostomłotach. Przyszedł do nas, kiedy ostatni goście opuścili ośrodek, w ekskluzywnej kurtce, którą rozpoznałam z reklamy w „Koniu Polskim”.

Siedzieliśmy w kilka osób w wieczornej ciszy przy stale podsycanym przez Borka ognisku. Świeże gałęzie jabłoni, które powycinał w swoim starym sadzie, piszczały, gdy trawił je ogień.

- Dusza płacze w drzewie - powiedział ojciec Ani tak, jak zwykle robi to moja babcia. Gryta zaśmiał się z niedowierzaniem.

Może i dobrze się stało, że pojechał w teren. Jego gwiazdorskie skłonności jak nic podkusiłyby go, by ujawnił swą tożsamość. Po sukcesie w gonitwie niewiele mu do tego brakowało. A wtedy nie mógłby zostawić tutaj Gruzina na następnych parę dni, co, jak się nam teraz przyznał, zamierzał zrobić. Potrzebował fryza dopiero za tydzień. Kiedy parę godzin wcześniej próbowaliśmy bez skutku dodzwonić się na jego komórkę, właśnie rozmawiał z kimś z Kampinoskiego Parku Narodowego. Nieoczekiwanie dostał zgodę na realizację zdjęć w okolicy Mogilnego Mostku. Wprawdzie tylko na jeden dzień, ściśle wyznaczony, i przy minimalnej ingerencji w środowisko naturalne. Ale i tak był to duży ukłon w stronę reżysera, który popularyzował ochronę przyrody przez wykorzystanie konnych patroli. Bo odcinek *Niestrudzonych* z początku października, w którym bohaterowie mierzyli się z przestępcami na trudno dostępnych szlakach, spotkał się z dużym odzewem. Do telewizji dzwonili

mieszkańcy gmin położonych blisko parków narodowych i lasów, przede wszystkim z Warszawy i okolic, z pytaniami, dlaczego nie używa się koni do patrolowania Lasku Bielańskiego, Wesołej czy Aleksandrowa. A czy w Gdańsku, Krakowie albo we Wrocławiu nie ma dużych parków, podmiejskich lasów ze ścieżkami spacerowymi? Są, i w nich też powinno się korzystającym z nich ludziom zapewnić bezpieczeństwo. Dostyc tłumaczenia się odpowiedzialnych za to osób, że trudno tam dotrzeć, bo samochód nie może wjechać albo nie powinien ze względu na dobro przyrody, a tereny są rozległe, co utrudnia patrolowanie piesze. Koń nie stanowi zagrożenia dla środowiska i nikt temu nie zaprzeczy. Porusza się szybko i sprawnie - nie tylko po drogach i ścieżkach, ale też pomiędzy drzewami i w zaroślach. Żaden pijaczek już nie siedzi tam, gdzie jeżdżą podobne patrole, a spacerowicze nie narzekają na konnych policjantów czy strażników miejskich, że zakłócają relaks. Przeciwnie, taki patrol to dodatkowa atrakcja. Czy nie warto się więc starać o zwiększanie tego rodzaju oddziałów?

Grycie od dawna zależało na tym, żeby wywołać dyskusję o potrzebie rozpowszechnienia koni w służbach mundurowych. Pociągnięty za język przez Filipa, rozgadał się na temat misji społecznej swojego projektu ze swadą urodzonego gawędziarza:

- *Niestrudzeni* to polska adaptacja popularnego w Niemczech serialu o kulisach pracy konnej poli*q*i. W krajach wysoko rozwiniętych wszyscy wiedzą, że wierzchowce w służbach patrolowych to nie przeżytek. Korzystają z nich Europa Zachodnia, Stany Zjed-

noczone, Kanada i inne kraje o wiele bogatsze od nas, które mają nieporównanie większy dostęp do nowoczesnych rozwiązań technicznych w policji, straży miejskiej, granicznej czy leśnej. W największych metropoliach widziałem policję konną na ulicy. To u nich normalne. A w Polsce? Szkoda gadać. Ponad sto tysięcy poli'antów i myślicie, że ile koni? - spytał retorycznie, bo nie czekając na odpowiedź, dokończył: - Niewiele ponad pięćdziesiąt! Rozrzucone po komendach wojewódzkich po kilka sztuk. Z tego, co wiem, jedynie w Warszawie większy zwarty pluton ma ponad dwadzieścia koni. A i tak grozi mu rozwiązanie za rok czy dwa. Rozdzielą zwierzęta do jednostek podległych Komendzie Stołecznej. Tak wygląda sytuacja w mieście, które w swych granicach ma ponad siedemdziesiąt pięć hektarów terenów parkowych i trzysta kilometrów kwadratowych lasu - potoczył wzrokiem po obecnych, upewniając się, że go słuchają. Zaskoczył mnie wiedzą i zapałem. Nie przypuszczałam, że tak mocno porusza go ten problem, nie tylko od strony artystycznej. Ciekawe, skąd u niego te zainteresowania?

- Dodajmy liczne dzielnice willowe, gdzie uliczki przypominają spacerowe alejki - ciągnął Gryta.

- Niektórzy upierają się porównywać efektywność konia i roweru - wtrącił Filip, żeby pokazać, że on też orientuje się w zagadnieniu. Nieraz podziwiałam, że tyle wie o tych zwierzętach, i to nie tylko, jak je leczyć, ale teraz drażniło mnie, że tak wymądrza się przy byle okazji.

- Koń sprawdza się w zupełnie innych sytuacjach niż rower - bronił swojej racji reżyser. - Jeźdźcy prze-

dra się bez problemu drogą trudną dla jednośladow. Zabezpieczają również wielkie imprezy masowe. Sam widok dużego zwierzęcia budzi respekt. Co dopiero, kiedy użyje się go do celowego odstraszenia, które wprawdzie ma charakter bardziej psychologiczny niż w naszym serialu. Przeciskając się przez tłum, wierzchowiec wykonuje ruchy całym ciałem. Uczy się go chodzić w odpowiedni sposób. Może te akc'e nie są tak widowiskowe, jak je pokazują kaskaderzy - na ekranie starcia muszą być efektowne, żeby ludzie chcieli je oglądać - ale przyjrzyjcie się przy okazji meczu albo jakiegoś marszu, jak na komendę jeźdźca konie policyjne wierzgają nogami lub stają dęba.

- I prawdziwym kamieniem też mogą zarobić, jeśli demonstranci nie trafią w funkcjonariusza - wtrącił przekornie Filip.

- Ciężki kawałek chleba, a tak ładnie wyglądają, jak w kawalerii... - rozmarzył się Wujek, którego przodek hodował konie remontowe dla wojska stacjonującego w pobliskim Brześciu, kiedy to miasto leżało jeszcze po polskiej stronie granicy. - Mnie najbardziej podoba się to, że promuje pan nasze małopolaki. Kiedyś cała konnica na nich jeździła - szczerze pochwalił zamysł reżysera, który chciał przywrócić godne miejsca w służbach patrolowych potomkom rumaków bitewnych spod Kircholmu, Chocimia i Wiednia. Wujek sam hodował je przez lata w Kostomłotach, zanim przerwucił się na czystą krew arabską po przymusowej likwidacji PGR-u, którym zarządzał. Berberys i Plastyka, ulubieni towarzysze naszych wypraw w teren z Filipem, też reprezentowały rasę małopolską. Zwrotne, szybkie,

a jednocześnie zrównoważone i przy tym piękne konie odziedziczyły po orientalnych przodkach dzielność na długich dystansach. Najlepszym przykładem Apacz, któremu - wbrew moim obawom - nie zaszkodziła męcząca przejażdżka. Sprawdziłby się w pracy na rozległych obszarach.

- Dziękuję - Gryta skinieniem głowy odwdzieczył się za zrozumienie dla jego patriotycznej inicjatywy. - To przecież polskie konie, a wciąż za mało doceniane. Skoro Niemcy właśnie przez służby patrolowe promują własne rasy, Hiszpanie słusznie pyszną się swymi andaluzami, a Amerykanie rozpropagowują na całym świecie styl western i związane z nim ćwartery, dlaczego w Polsce nie zrobić wszystkiego, żeby rodzime wierzchowce nie tylko uratować, ale uczynić wizytówką kraju? Taką jak na przykład eksportowe araby?

Gryta emocjonował się coraz bardziej, choć w pobliżu zaczynało brakować już gałęzi, aby podsycać dogasające ognisko. Od wody ciągnęło chłodem. Wyssokie trawy strzegły brzegu dzikiej rzeki, wyprostowane jak wartownicy straży granicznej. Kłosa, z których wykruszyły się już nasiona, przypominały nastawione bagnety. W tym zakątku na krańcu świata sławnemu reżyserowi po prostu nie mogło stać się nic złego. Kiedy go tak słuchałam, odsunięta od Filipa na odległość, do której jeszcze trudno mi się było przyzwyczaić, nie mogłam uwierzyć, że Gryta tu jest. Wujek, nic już nie mówiąc, uśmiechał się pod wąsem. Pewnie uznał zapędy gwiazdora za nieco przesadzone. Przy całej sympatii dla jego działań na rzecz rodzimej rasy, nie zamieniłby swojej Lolity - grubiutkiej już jak pralinka, bo

jadła za dwoje, a chodzić po kontuzji wciąż jeszcze nie mogła - na żadnego małopolaka.

Borek, ośmielony trunkiem własnego wyrobu, który raczył pochwalić słynny reżyser, wykorzystał moment ciszy, żeby ubić z nim interes.

- Pan masz znajomości w Warszawie, to może być i mojego „kota” gdzie upchnąć? A nuż do policji się nada, bo do roboty to durnowaty - przymilał się, nieświadomy, że właśnie podsumował mundurowych.

Gryta stłumił rozbawienie, żeby nie speszzyć gospodarza. Ania wpatrywała się to w ojca, to w gościa z rosnącym przerażeniem. Nie śmiała zaprotestować w obronie swojego pupila, bo wiedziała, jak trudno żyje się jej rodzicom z małego gospodarstwa na piaszczystej ziemi. W utrzymaniu Apacza pomagał Wujek. Tylko że latem padła Borkom klacz pociągowa i musieli uzbierać na nowego konia. Dziewczyna poszła więc do pracy, zamiast do wymarzonego liceum. Ale, jak to ona, pocieszała się, że dobrze na tym wyjdzie, bo wkrótce miała powstać w janowskim technikum klasa o profilu hodowli koni.

Tymczasem Gryta wykazał się rzadko spotykaną u niego wyrozumiałością.

- Policjanci póki co jeżdżą na roślejszych rasach, jak wielkopolska, śląska czy hanowerska. Zgodnie z zarządzeniem, które wymaga wzrostu minimum sto siedemdziesiąt centymetrów. Takie kolosy przydają się w rozpraszaniu tłumów, ale dla patroli prewencyjnych hardziej ekonomiczne w utrzymaniu i sprytniejsze w terenie byłyby konie wielkości Apacza. Jednak mam dla niego lepszy pomysł na życie. Wydzierżawię go do

filmu, a jak sprawdzi się w kaskaderce, będę wam płacił za jego użytkowanie - uśmiechnął się do przestraszonej Ani. - Ja w twoim wieku marzyłem o pracy w policji, i do tego konnej. Bo taki gość spotyka się z większym uznaniem niż zwykły mundurowy w radiowozie, a ja zawsze lubiłem się wyróżniać. Chciałem zdawać do szkoły policyjnej, ale mnie nie wzięli, bo za niski jestem. To uparłem się na filmówkę.

- Dzięki temu pokazał pan po latach swoim niedoszłym nauczycielom, kto jest najlepszym policjantem w tym kraju - zaśmiał się Filip, dolewając Grycie na rozgrzewkę, bo ognisko tliło się już słabiutko. Ten to zawsze umiał się znaleźć. Reżyser zawtórował mu, niby najlepszemu kompanowi.

- Jak się ma na jakimś punkcie prawdziwego bzika, to słowo daję, on zawsze znajdzie sobie drogę. Nie tę wymarzoną, to inną, ale jakąś znajdzie na pewno!

Rozdział osiemnasty

Reżyser na trzeźwo nie miał nic wspólnego ze swoim wcieleniem z Kostomłotów. Wyżywał się na współpracownikach tym bardziej dokuczliwie, im szybciej zbliżał się ostateczny termin zakończenia zdjęć. Tak że nawet Kuba zaczął przebąkiwać o rezygnacji.

Gryta radził sobie już bez gipsu, a ewentualne próby zamachów na jego życie zdawał się zupełnie lekceważyć. Uczestniczył nawet w scenach zbiorowych i nic złego nie działo się na planie. Może naprawdę prześladowca okazał się krótkodystansowcem i zaniechał nieskutecznych usiłowań?

Wegnera widziałam ledwie przez chwilę. Nie wyglądał na zbyt przygnębionego porwaniem swojej Kasi albo tak dobrze umiał się maskować. Koledzy z planu nadal dowcipkowali na temat domniemanej ciąży aktorki. Poza reżyserem, oczywiście. A jeśli Paweł oszukał swego przyjaciela? Zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby oni cały czas grali przed sobą nawzajem, także poza serialem? Niby tacy kumple, ale podobno w show-biznesie trudno o prawdziwą, szczerą przyjaźń...

Miejsce Gruzina w „Jupiterze” zajął Apacz, którego Ignac przywiózł nazajutrz po Hubertusie zamiast fryza. Sławny ogier miał wrócić dopiero na ostatni dzień nagrań w plenerze, czyli scenę na Mogilnym Mostku. Tymczasem nadal mieszkał u Borków. Pomocnik reżysera przykazał im przed odjazdem, żeby nie wypuszczali końskiego gwiazdora ze stajni w ciągu dnia pod żadnym pozorem. Bał się, że ktoś go rozpozna i znów będą kłopoty.

Dublowałam Kasię przez trzy dni z rzędu. Obserwowałam przy tym aktorów, którzy pod presją czasu musieli pracować bardzo ciężko. Jednego razu graliśmy bez przerwy dwadzieścia godzin. Wtedy zrozumiałam, co to znaczy, że film uczy cierpliwości. Tak mówiła Zuza Anna na jednym z wykładów. Na planie połowę czasu zabierało przestawianie ogromnych ilości sprzętu z miejsca na miejsce, więc trzeba było czekać. Ale ja nie marudziłam - wolałam pomagać i uczyć się czegoś nowego. Nie przeszkadzało mi nawet, że pracujemy tak długo i musimy powtarzać wiele razy każde ujęcie. Przyzwyczaiałam się też do przekleństw, które raz za razem wypluwał zniesmaczony nie wiadomo czym reżyser. Tego również będzie mi brakowało, gdy skończy się mój udział w nagraniach. Obawiałam się rozstania ze światem filmu, bo dzięki niemu miałam regularny kontakt z końmi, własne pieniądze oraz idealną wymówkę, aby zaniedbywać uczelnię i inne obowiązki.

W czwartek rano przećwiczyłam na sucho z Serafinem moją rolę w scenie na Mogilnym Mostku i do czasu jej nagrywania nie miałam nic do roboty. Wicher

hulał i wyzywał się na łąsych drzewach za ujeżdżalnią. Jeszcze do niedawna przypominały tort urodzinowy bardzo sędziwej osoby: setki złotawych listków jak płomyki małych świeczek. Dziś widocznie były urodziny naszego starego świata. Albo tylko wiatru, bo zdmuchnął je wszystkie. Pojedyncze iskierki tliły się w trawie między pniami.

Snułam się po „Jupiterze”, zamiast jechać na zajęcia. Nagromadziłam już za dużo zaległości, żeby próbować z nimi walczyć. Nie miałam ochoty spotkać się ze scenarzystką, która zapewne czeka na relację z zasadniczej rozmowy z Filipem. I zarzucił mnie kolejną porcją materiałów, które zaczynały mnie już nudzić. Do domu też nie mogłam wrócić zbyt wcześnie, bo trzeba byłoby przyznać rację Marioli, że jednak nie radzę sobie ze wszystkim tak, jak bym tego chciała.

Serafin, widząc że w żaden sposób nie sprowadzi mnie dziś na dobrą drogę, w końcu zaproponował:

- Jak masz chęć, możesz zabrać się ze mną do Arnolda. Obiecał mi okuć po południu Apacza na zimę, to przy okazji weźmiemy też twojego kasztanka. Reszła ma podkowy jeszcze z zeszłego roku, ale tym dwóm trzeba wziąć miarę i zrobić komplet w kuźni. To co, mała, lecimy od razu?

Od razu się nie dało, bo przyszła Ewka. Jak dostała zgodę na sesję zdjęciową na terenie ośrodka, to już słodka tajemnica jej i Kuby, który pewnie wpłynął na reżysera. Kusiło mnie okrutnie, ale nie spytałam, chociaż miałam okazję. Bo cała ta niby-dziennikarka musiała zaczekać, aż bohater jej artykułu wróci z miasta,

gdzie załatwiał transport materiałów do wykończenia hali. Uroczyste otwarcie ujeżdżalni połączone z festy-
nem promującym serię odcinków *Niestrudzonych*, które
kończyliśmy nagrywać, zaplanowano na sylwestra.
Przygotowania do imprezy ruszyły pełną parą. Harce-
rze z grupy kaskadersko-pokazowej każdego ranka
ćwiczyli popisy w jeździe po kozacku, zwanej dżygi-
tówką.

Serafin pochwalił się swoimi zdolnymi chłopakami
przed Ewką, a ta zaraz namówiła go na reportaż, który
mógłby nadać rozgłos nietypowej drużynie. Dłuższą
chwilę siedzieli na schodach i rozmawiali. Nasz Don
Juan wychodził z siebie, aż było mi wstyd za niego,
a ona notowała pilnie w zeszycie z okładką malowa-
ną w konie. Może bym nawet polubiła tę dziewczynę,
gdyby nie drażniło mnie, że taka jest ogólnie podeks-
cytowana życiem. Jak osoba, której wszystko się udaje.

Kaskader popędził szukać swoich harcerzy. Zwołał
zbiórkę i zaczęli na powrót siodłać dopiero co odsta-
wione do boksów konie, żeby dać się sfotografować
podczas treningu. Ewka przysiadła się do mnie i zagad-
nęła o znajomość z Kubą. Nie traciła czasu, to pewne.

- Dla kogo piszesz? - Zignorowałam jej pytanie, bo
nie miałam ochoty na żadne wywiady. Przynajmniej
jeśli o nią chodzi.

- Dla siebie, z ciekawości - odparła bez namysłu,
jakby to się rozumiało samo przez się. - I dla czyteln-
ków, którzy tak jak ja lubią wiedzieć, co się wokół nich
dzieje.

- Chodziło mi o tytuł.

Wyjęła z kraciastego plecaka magazyn dla młodzie-

ży. Wiatr przekomarzał się z kartkami, które uciekały z szelestem.

- Oho - uniosłam brwi z uznaniem. - Jak się tam dostałaś?

- Zadzwoiłam do redakcji z pomysłem na artykuł. Pozwolili mi spróbować, więc zebrałam materiał, napisałam i przyniosłam. Poszedł, zaproponowałam następne tematy. Potem także do innych czasopism. Wielu redaktorów mi odmawia, czasem w nieprzyjemny sposób. Ale ostatecznie to najlepsza metoda, żeby zostać dziennikarzem. Dużo czytać i dużo pisać, co by się nie działo!

Do niedawna nie zastanawiałam się nad tym, jacy ludzie kryją się pod nazwiskami autorów gazetowych tekstów. Tymczasem jedną z osób „po drugiej stronie gazety” okazała się taka sama jak ja studentka, którą do aktywności popychało hobby. Musiałam przyznać Kubie rację co do jej intencji - raczej nie umiałyby grać nieczysto, jak wcześniej podejrzewałam. Ale czy nastliwość paparazzi jej nie przerażała? Opowiedziałam o własnych doświadczeniach z mediami.

- Nie boisz się, że ty też wcześniej czy później zaczniesz ubarwiać fakty? Jak inaczej wytrzymasz konkurencję w zawodzie?

Ewka zamyśliła się na chwilę, ale nie była zbita z tropu.

- Stawiając na szybkość i oryginalność. Mówię ci, to się da zrobić. Osobiście znam paru uczciwych dziennikarzy i to o głośnych nazwiskach. Zresztą to tak samo jak w każdej pracy. Czy w ogóle w życiu. Choćbyś była nie wiem jak niepozornym człowiekiem, od czasu do

czasu musisz wybierać: zachować się z godnością albo podle. Dziennikarzom jest nieco trudniej, bo więcej ludzi patrzy im na ręce. Podobnie jak gwiazdom, te to dopiero mają przerąbane! Weź choćby Grytę, ile on wysiłku wkłada w swój wizerunek na ekranie i poza nim.

To prawda. Ciekawe tylko, czy byłby zdolny do reżyserowania, oprócz własnego życia, życia innych ludzi? Po to, żeby ułatwić wykreowanie siebie, jak robią te mniej popularne rywalki Kasi Rutkiewicz, rozpowiadając o jej rzekomych zabiegach odmładzających. Zastrzegły sobie anonimowość, a jakże. Gdyby nie dziewczyny z castingu na dublerkę ulubienicy telewizorów, byłabym przekonana, że wszystkie plotki na jej temat wymyślają dziennikarze. Widać nieuczciwość w mediach dotyczy w równym stopniu informatorów, czyli osób z kręgu opisywanej na łamach postaci. Kiedy nie można dowiedzieć się czegoś od niej samej, nagabuje się jej przyjaciół, rodzinę czy choćby ludzi, którzy podczas kręcenia jej ostatniego filmu obsługiwali podnośniki do kamer. Tym sposobem Gryta, jeśli tylko chciał, mógł swego czasu pogrążyć „Starego”. Tak dyskretnie, że nawet Zuza Anna by się nie zorientowała, kto fabrykuje sensacje na temat jej ojca i dostarcza zdjęć. Łatwo je mógł zrobić po paru głębszych, których aktor nigdy nie odmawiał. Czyż nie takie właśnie zachowania reżyser starał się wymazywać z pamięci?

- Do atakuuu! — zawył nagle Serafin, wyłaniając się zza budowy na czele cwałującego oddziału. Zamiast szarych mundurów, w których ćwiczyli rano, chłopcy włożyli spodnie z bufiastymi nogawkami i futrzane

czapy, a spod kamizelek z kożucha wywiewały luźne rękawy koszul z ukraińskim haftem. Ewka rzuciła się do barierki ujeżdżalni i ustawiła cyfrówkę. Przez dobry kwadrans fotografowała harcerzy, jak w pełnym galopie kręcili lancami młynki, zeskakiwali z koni, jednym ciosem szabli ścinali powbijane na zaostrome pale głowy. Na szczęście kapuściane.

- Rusz się, głupie konisko - popchnęłam kasztanka mocniej niż należało, aż zerwał się do galopu mimo właściwej sobie ospałości. Wstrzymałam go i skierowałam przed Apacza, na którym Serafin wyjeżdżał przez bramę „Jupitera” do Puszczy Kampinoskiej. Pomyślałam, że trzylatek, dla którego miała to być pierwsza wycieczka w teren w nowym miejscu, poczuje się pewniej, idąc za doświadczonym starszym koniem.

W ośrodku zostali Ewka z Kubą. Jeszcze słyszałam jej śmiech, kiedy spierali się o najlepsze miejsce do zdjęć. Na wywiad ze mną jakoś nie nalegała. Z pewnością nie przywiodła jej tutaj wyłącznie dziennikarska ciekawość, co to, to nie!

- Zachowujesz się jak pies ogrodnika - kaskader, zrównawszy się z kasztankiem, zerknął badawczo spod daszka „oprychowy”. Aż tak to po mnie widać? Może i miał rać, ale doszukiwał się niewłaściwych przyczyn mego rozdrażnienia. O najlepszego kumpla też można być zazdrosną, czego ten Don Juan nie mógł zrozumieć. Chociaż o Serafina nie byłabym. Tylko czy ja nie za dużo wyobraziłam sobie na temat jego zainteresowania Mariolką?

Chyba nie. Bo zagadnął o nią, zanim wjechaliśmy na

czarny szlak w kierunku Sierakowa, gdzie rezydował kował. Ironicznie, jak zwykle. Rozzłościły mnie te jego podchody.

- Czemu ty jej tak nie lubisz? - ujęłam się za współlokatorką. Bądź co bądź mogłam się pomylić co do jego uczuć. W końcu natura bawidamka dotąd bezbłędnie podpowiadała mu, jak postępować z kobietami, żeby skutecznie zawrócić im w głowie. Może naprawdę nie cierpiał Mariolki.

- Ona działa mi na nerwy. Wynosi się zupełnie jak moja matka. Też miała wymagania, że ho ho. A jakie aspiracje do światowego życia! Tak mnie stroiła jako dzieciaka, że chłopaki z podwórka tłukli mnie dobrych parę lat, że odmieniec, zanim nauczyłem się oddawać. Wmówiła ojcu, że jest życiowym nieudacznikiem. Bo nie miał szkoły, mało zarabiał, w fabryce też robił za popychadło. I co rusz nawalał. Raz nie dopatrzył maszyny, wciągnęło człowieka z jego zmiany. Zwolnili staruszka, parę lat za to siedział. Bieda się zrobiła w domu, że sobie nie wyobrażasz. Nienawidziłem go za to, jak musieliśmy żyć. Ale jeszcze bardziej gardziłem nim, że tak dawał sobie jeździć po głowie.

Serafin ujął mnie zaufaniem, z jakim opowiadał o swoim życiu. Rozmowa w kabinie tira musiała mu w czymś pomóc.

- Dlatego zrobił się z ciebie taki niezależny twardeł — z rozmysłem nie wspomniałam, że to pewnie przez tamte odległe wydarzenia teraz nie mógł sobie darować, że nie dopatrzył siodła Gruzina. Choć nikt mu tego nie wypominał ani nie oskarżał go o wypadek reżysera. Wreszcie stało się dla mnie jasne, skąd u nie-

go to obsesyjne obwinianie się - z pogardy dla wszystkiego, co przypominało słabość. Zaś co do Mariolki, jej energia i bujna uroda musiały robić na nim tak duże wrażenie, że bał się temu poddać. Bo to by oznaczało zależność od drugiego człowieka, przed czym bronił się z uporem dzikiego konia, żeby nie wyjść na mięczaka jak ojciec. Dlatego flirtował z dziewczynami, na których mu nie zależało, a przed Mariolką uciekał, mniemając że daje tym dowód swojej siły. Oj, ciężko mi będzie przekonać ich oboje, że mylą się co intencji drugiej strony. Ale nadal uważałam, że warto.

- Wiem, że konie są całym twoim życiem, ale co zrobisz, kiedy nie będziesz mógł z nimi pracować? Poza tym to są zwierzęta, one nigdy nie zastąpią ci ludzi! Nawet jak poparzyłeś sobie ręce, potrzebowałeś opieki, pamiętasz? Choćbyś był naprawdę nie do pobicia, nigdy nie staniesz się samowystarczalny, więc się nie łudź. Każdy musi troszczyć się o innych i korzystać z czyjejś pomocy, Serafin. Chyba że chcesz zadusić się samotnie we własnej skorupie, to proszę cię bardzo.

Bez słowa przyspieszył, zmuszając mnie do zrównania kroku. Dłuższy czas galopowaliśmy obok siebie w tumanach suchych liści. Apacz szedł ładnie jak na nowicjusza. Brunatny dywan uciekał spod kopyt, od czasu do czasu przebłyskując świeżo opadłymi liśćmi. Wiatr smagał mnie po twarzy i wyciskał łzy z oczu. Wtem po lewej stronie wyłonił się baldachim ze zwieszonych gałęzi dębów, bogato i barwnie ulistnionych.

- Przejeżdżamy pod drzewami! - zawołał kaskader.

Pochyliłam się nad szyją kasztanka. Brązowa sierść wierzchowca wtapiała się w tło, słońce prześwitywało przez liście, pogłębiając królewski przepych barw.

Przypomniały mi się wycieczki z Filipem, który jutro wyjeżdża na staż do Niemiec. Zdecydował się skorzystać z tej szansy po tym, jak w Kostomłotach przy ognisku jeszcze raz spróbował nakłonić mnie do powrotu, a ja odmówiłam. Zresztą robił to jakoś bez przekonania. Chyba miałam nadzieję, że będzie bardziej nalegał, a on tak szybko zmienił temat. Zaczął opowiadać o wyjeździe, był nim mocno podekscytowany. Może to i lepiej?

Odwiedziny u rodziców w Zaduszki wlały w moje serce sporo otuchy. Przecież poznali się, mając więcej lat niż ja teraz. Dlatego przeczuwałam, że los ma dla mnie niespodziankę i we właściwym czasie rai ją pokaże. Tymczasem, korzystając z wolności, zamierzałam robić, co zechcę. Choć tęskniłam za odwzajemnioną miłością, jak każdy. Serafin również, mimo że o tym nie wie.

Kiedy konie zwolniły przed osadą w środku lasu, kaskader niespodziewanie podjął przerwany wątek:

- Gdybyś wychowała się w takim domu jak mój, też byś nie miała ochoty się z nikim wiązać - burknął z nieszcześliwą miną. Zagryzłam wargi, tłumiąc uśmiech, bo niechcący potwierdził, że dobrze go rozszyfrowałam. Zatrzymaliśmy się przed kuźnią. Osadę tworzyło kilka nowych willi oraz cała reszta starszych, mniej licznych domostw. Nie było widać Arnolda. Gdzieś daleko zarżał koń.

- To, jak wyglądało życie twoich rodziców, nie musi

powtórzyć się w twoim przypadku - wsparłam się mądrością któregoś z licznych poradników Mariolki, bo przypadkiem zgadzałam się z tym zdaniem. - Sądzisz, że jeśli moi zginęli w wypadku drogowym, to mam do końca życia nie wsiadać do samochodu?

Kowal wciąż się nie pojawiał, choć zsiadliśmy już z koni i wprowadziliśmy je na podwórze przed domem. Na widok kuźni kasztanek zaczął się wiercić i chrapać, rozdymając nozdrza. Chyba nie lubił podkuwania. Apacz też zaczął się płoszyć na zasadzie owczego pędu, jak to się nieraz zdarza koniom w stadzie. Serafin nie odpowiadał, więc dodałam, zniecierpliwiona walką z koniem, który próbował się cofnąć:

- Przestań się nad sobą rozczulać, bo w ten sposób niczego nie zmienisz na lepsze. Żyjesz przeszłością, a to wygląda tak, jakbyś nigdy nie dorósł.

Konie rzuciły się zgodnym susem w lewo, omal nas nie przewracając. Znienacka, chyba z lasu, wyłoniła się ogromna sylwetka Arnolda. W ciemnozielonym ubraniu przypominał leśnika albo wojskowego.

- Mam nadzieję, że dużo się nie spóźniłem? - Zmiał dżył na powitanie rękę Serafina, groteskowo drobną w ogromnej dłoni kowala.

- Pomagałem robić obławę na kłusowników. Te bydlaki znowu omal nie zabiły łoszaka. Kula przestrzeiliła skórę o włos od kręgosłupa. Szczęściem sukinkot źle wycelował.

- Złapali ich? Wiadomo, kto to? - Serafin prześlizgnął się wzrokiem po upačkanych gumiakach kowala, w których ten dopiero co przedzierał się przez błota

pobliskiego rezerwatu. Arnold poruszył szczęką, jakby coś przeżuwał.

- Skąd, wyparowali jak kamfora. Nawet nie wiadomo, ilu ich było. Nikt ich nie widział. Jeden z leśników usłyszał nad ranem strzał i ściągnął kogo mógł do obławy.

- Nie bał się pan postrzału? - nie wytrzymałam, bo stanął mi przed oczami moment, kiedy Gryta omal nie zginął od kuli.

- Ryzyko zawsze jest, ale koledze trzeba pomóc. A to pewnie jacyś biedacy chcą zarobić na dziczyźnie albo rogach - zrobił niewyraźny grymas, jakby to miało być zabawne, czy co.

- Tylko skąd tacy ludzie mieliby na broń? - Serafin poddał w wątpliwość teorię kowala. A ja pomyślałam o rodzicach Ani i też wcale nie spodobało mi się to, co powiedział Arnold.

- Nie może pan kłusownictwa tłumaczyć ubóstwem, bo to krzywdzi bardzo wielu naprawdę biednych ludzi, którzy nigdy nie sięgnęli po cudzą własność, pod żadną postacią.

W oddali jeszcze raz rozległo się samotne rżenie.

- Gdzie tu są konie? - Na chwilę zapomniałam o kłusownikach.

- W pobliżu nikt nie trzyma. Ktoś musiał się wybrać na spacer w tę okolicę, nieraz jeźdźcy się tu kręcą albo bryczki - wyjaśnił kowal, przekrzykując falę wiatru. — Szkoda, że nie ma ośrodka, bo bym miał zarobek na miejscu.

- Musisz się zdecydować, na czym bardziej ci zależy: na filmie czy na skończeniu studiów - w domu Mariolka przyparła mnie do muru. - Sama widzisz, że wszystkiego nie da się pogodzić. Namawiałam cię, żebyś spróbowała, owszem, ale udział w zdjęciach nie wymaga włożenia się po „Jupiterze” bez potrzeby, nie uważasz? Naprawdę nie masz dzisiaj nic innego do roboty? Kogo ty chcesz oszukać? Mnie, swoją babcię czy może samą siebie?

Dzwoniła Zuza Anna, zaniepokojona moją nieobecnością na zajęciach. Wiedziała, że dzisiaj nie uczestniczę w nagraniach i po zdziwieniu w głosie Mariolki domyśliła się, że bałam się wrócić na uczelnię. Taki obciach.

- Obiecała, że usprawiedliwi cię u wykładowców, skoro z nią współpracujesz. Tylko już więcej nie przeginaj z tym opuszczaniem szkoły, bo naprawdę cię wyślą. To nie liceum i nikt się tobą nie będzie przejmował, nie rozumiesz? Sama musisz pilnować swoich spraw.

- No, właśnie widzę, jak nikt się nie przejmuje - odburknęłam pod nosem, bo czułam się jak dzieciak przyłapany na wagarach. W dodatku cierpiący na przerost wyobraźni. Sama powinnam pisać sensacyjne scenariusze, jak Zuza Anna, zamiast bawić się w Sherlocka Holmesa świata filmu. Tym bardziej, że bez powodzenia.

W tej chwili zadzwonił telefon.

- Jeśli to znowu ona, nadal nie ma mnie w domu. - Zamachałam błagalnie rękoma, bo nie miałam ochoty się tłumaczyć.

- Twoja babcia. - Mariolka oddała mi słuchawkę, palcem drugiej ręki pukając się wymownie w czoło. Co znaczy, że miałyśmy mniej więcej jednakowe zdanie na temat mojego zachowania. Z tym, że ona nie znała wszystkich powodów, dla których unikałam na razie rozmowy ze scenarzystką. Przecież nie wiadomo, czy Gryta dopuścił współpracę do tajemnicy. Teoretycznie nie miała pojęcia, że był w Kostomłotach i nadal ukrywa tam Gruzina.

- Halo?

- Borek przywiózł tę kopaczkę, co u niego załatwia-
łaś - poinformowała babcia bez wdawania się w powi-
talne grzeczności. - Ale furmankę to sobie całkiem roz-
trzaskał, jak od nas wyjeżdżał. Co myśmy się strachu
z dziadkiem najedli! Siatka przed domem żywcem wy-
rwana, słupek wywalony. Mało brakowało, a trzeba by
było chłopca z tej naszej śliwy grabiami zdejmować. Tak
go czort urządził.

- Kto, babciu?

- Znaczy się ten jego nowy koń.

Rozdział dziewiętnasty

Wujowi Jakuba wbrew pozorom nic się nie stało. Tylko dlatego, że Gruzin, wpadając na ogrodzenie, wbił się klatką piersiową w siatkę, jedną drewnianą hołobłą zahaczył o słup z betonu, odskoczył w bok i trzasnęła druga, a wtedy zerwał uprząż i pognał przed siebie jak szalony. Przegalopował przez podwórze, staranował płot od strony pól i popędził przez oziminę wprost na przejście graniczne na Bugu. Zawieszony na łańcuchach orczyk wznosił się i opadał za nim, uderzając po zadnich nogach. Całe szczęście, że dziadek niedawno siał, a ziemia jeszcze nie zamarzła, bo ogier zmęczył się, brnąc po świeżo zaoranym polu. Złapali go dopiero, kiedy zaplątał się w krzakach nad rzeką, w sąsiedniej wsi.

Wszystko dlatego, że fryz przestraszył się samochodu naszego sąsiada. Borek przepuścił auto, które wyjechało z podwórza na ulicę i skręciło w stronę konia, błyskając długimi światłami. Wtedy kary spanikował.

Tyle wiedziała babcia. I jeszcze to, że Borek ma karoza od niedawna i pierwszy raz wyjechał nim na ulicę. Zauważyła podobieństwo do Gruzina z telewizji, ale ojciec Ani roześmiał się, że nie ona jedna mu to mówi.

Nietrudno było przekonać babcię o pomyłce - bo fryz w furmance z doczepioną z tyłu kopaczką to tak, jakby na przykład Paweł Wegner sadził u nas za stodołą kartofle. Ja też nie wyprowadziłam jej z błędu.

Znacznie trudniej niż w nowe wcielenie końskiego gwiazdora było mi uwierzyć, że ten kochany kudłacz zrobił coś podobnego. Przecież widziałam go tyle razy na planie, zajmowałam się nim w ośrodku... Spokojny, chętny do pracy, oswoił się już z najdziwniejszymi efektami. Nie bał się pędzącej wprost na niego lokomotywy, która gwizdała przy tym złowieszczo, a przeraził go samochód osobowy? Może za długo stał bezczynnie i tylko czyhał na okazję, żeby się spłoszyć i wybiegać? Albo to przez zmianę miejsca. Niektóre konie z trudem przyzwyczajają się do nowej stajni, buntują się przez jakiś czas lub uciekają. To taka choroba sieroca w końskim wydaniu.

Ale najdziwniejsze było to, że Borek wypuścił Gruzina z ukrycia mimo zakazu, i do tego zaprzął. Muszę się natychmiast dowiedzieć, dlaczego to zrobił! Zadzwoiłam do Wujka, ale nie było go wtedy w domu przez cały dzień i nic nie wiedział o tym zdarzeniu. Ania była teraz u niego w stajni. Filip pomagał jej przy Lolicie, którą będzie rehabilitowała, kiedy on wyjedzie na Zachód. Poprosiłam Wujka, żeby zawołał dziewczynę do telefonu. Od razu domyśliła się, o co chodzi.

- Wstyd mi za ojca. Błagałam, żeby się nie wygłupiał, ale wiesz, jak to z nim jest. Ludzie we wsi mu dokuczali, że Apacz pociągnie co najwyżej dziecinny wózek, to musiał się pokazać. Gruzin też niby nie jest zwalisty, ale mocny jak dwa grubasy. Kawał konia, od

razu widać, że w pojedynkę można orać i pod górę pójdzie z najcięższym wozem. Więc sama rozumiesz...

- No właśnie nie rozumiem... Jakim cudem nauczyliście go chodzić w zaprzęgu w tak krótkim czasie? Wiem, że fryzy przez długi czas służyły w Holandii jako rasa pociągowa, do paradnych powozów królewskich. Ale, kurczę, Gruzin przecież tego nie potrafi!

- Jesteś pewna, że nikt go w tym nie szkolił? Bo u nas od razu chodził jak marzenie.

Ignac przywiózł ogiera w piątek, zgodnie z planem. Niczego nie podejrzewał, bo ojciec Ani nie przyznał się do tego, co zrobił, zaś ona zaklinała mnie przez telefon, żebym się przed nikim nie zdradziła ze swoją wiedzą. Zwłaszcza przed Grytą, który nie znosił, gdy ktoś lekceważył jego polecenia. Mógłby nawet zrezygnować z dzierżawy dobrze rokującego Apacza. Wygadałam się z tym, nie licząc Mariolki, tylko przed Kubą. Ostatecznie komuś musiałam powiedzieć, a jemu najbardziej ufałam. No i przynajmniej zostało w rodzinie.

Przyjechałam do „Jupitera” od razu po rannych zajęciach na uczelni, tak mnie ciągnęło do Gruzina. Bardziej niż do biblioteki, gdzie powinnam szukać natchnienia do pracy semestralnej o wybranej placówce oświatowej, w której chciałabym pracować. Ludzie z mojej grupy oddali już konspekty, a ja nie wymyśliłam jeszcze nawet tematu. Bo tak naprawdę nie miałam pojęcia, co dokładnie chcę robić po tych studiach. Zawsze lubiłam zajmować się dziećmi, ale zagadnienia poruszane na ćwiczeniach wydawały mi się teraz tak odległe jak niegdyś plan filmowy.

Liczyłam na to, że uda mi się wyczyścić Gruzina, ale stajenni już uwinęli się z pracochłonną toaletą fryza. Nie kryłam rozczarowania ich gorliwością.

- To nie my, on już taki wypucowany przyjechał. Pan Ignac się o to postarał - wyjaśnił któryś z pracowników.

Zakręciłam się więc koło Serafina, żeby go wypytać na temat przeszłości karego, bo na stronie internetowej serialu nie było nic na ten temat. Na przykład skąd się tu wziął?

- Ściągnął go z niemieckiej hodowli nasz producent. Zapalił się za granicą do sportu zaprzęgowego, miał zakładać własny klub i w ogóle. Ale skończyło się na Gruzynie, bo szybko stracił zapał do nowego projektu. I dobrze, bo ten koń nie ma za grosz sportowego zacięcia. Od razu jak go zobaczyłem, wiedziałem że nie będzie chciał się ścigać. Jak człowiek jeździł tyle czasu na Służewcu, to umie ocenić, nie? A ten żółtodziób obejrzał parę zawodów w powożeniu na Zachodzie i myślał, że to taki łatwy biznes. Jakoś w końcu podłapał znów kontrakt za granicą w swojej branży i przestał się interesować chybioną inwestycją. To zaczęliśmy brać konia do filmu, a potem szef go odkupił.

- Nigdy nie było z Gruzinem problemów? No wiesz, przy szkoleniu albo na planie...

- Do czego ty pijesz? - nasrożył się Serafin.

- Z ciekawości pytam - zbagatelizowałam sprawę, żeby nie rozdrapywać znów jego kompleksów. I tak czuł się skrępowany po ostatniej rozmowie.

Rzeczywiście, zanim pękł popręg, Gruzina mógł spłoszyć reflektor, który zaświecił mu w oczy. Nagrywali

nocny pościg, więc używali specjalnej lampy, która za dnia daje efekt ciemności. Ale przecież różnego rodzaju reflektory to podstawowy sprzęt na planie i ogier nigdy się ich nie bał. Tak samo jak klapsa czy kamery. Zobowiązałam się wobec Ani, toteż nie bardzo mogłam rozmawiać na ten temat, nie zdradzając szczegółów pobytu Gruzina na Podlasiu. Może ten koń ma za sobą jakieś traumatyczne przeżycie, dlatego tak zareagował? Potrafił go samochód albo coś w tym stylu?

- W Puszczy Kampinoskiej jedną z najlepszych rzeczy jest to, że wyruszając na przejażdżkę, nigdy nie wiem, co mnie tym razem spotka. Zawsze zagłębiam się w las z przecuciem jakiejś niespodzianki. Przeważnie jest miła. - Gryta dotknął toczka nad czołem w odpowiedzi na pozdrowienie leśnika, który właśnie minął nas na rowerze. Ledwie zniknął za zakrętem, zjechaliśmy na powrót ze środka szlaku na zakazaną dla jeźdźców ścieżkę, która wiła się między brzozi. Reżyser miał własne zdanie na temat przepisów regulujących zasady poruszania się po parku narodowym, a mnie wypadało dostosować się do niego.

Chociaż nie udało mi się wyczyścić Gruzina, skorzystałam z odwiedzin w „Jupiterze” podwójnie. Nie dość, że trafiła mi się nieoczekiwanie przejażdżka na Mogilny Mostek, to jeszcze w jakim towarzystwie! Szczęśliwie nawinęłam się Grycie w samą porę, kiedy przysłała mu ochota na wyprawę w teren. Choć teraz czułam się nieswojo, jak Kopciuszek na balu.

Gruzin kroczył pod reżyserem dostojnie niczym na paradzie. Kasztanek dreptał obok, mocno przymusza-

ny łydkami, żeby nie zostawał w tyle. Niebo chmużyło się od rana, więc poza leśnikiem i ludźmi czekającymi na ełkę przy pętli w Dziekanowie Leśnym nie spotykaliśmy na szlakach nikogo, przed kim trzeba byłoby zachować pozory przestrzegania regulaminu. Bo reżyser najwyraźniej postanowił uprzyjemnić sobie tę wycieczkę, jak tylko się da. Wyszukiwał niedozwolone skróty i przesmyki, co jakiś czas zarządzał skoki przez konary zwalone przez wczorajszy wichur albo wymyślał inne ćwiczenia. Roznosiła go beztroska energia, jakby nie mógł się nacieszyć odzyskaniem sprawności. Ledwie rozpoznawałam w nim gburę z planu. A może był taki pogodny dlatego, że jutro skończą się zdjęcia do serialu i wszystko wskazuje na to, że już bez żadnych dodatkowych atrakcji. Gryta gadał jak nakręcony, żartował i gdyby nie „przepaść społeczna” między nami, zaczęłoby mnie to zastanawiać. Ale za dobrze znałam swoje miejsce, żeby się łądzić, że wreszcie zauważył we mnie człowieka. Wciąż mogłam tylko pomarzyć o jeździe na Gruzynie, która dla niego była czymś tak zwyczajnym, że pewnie nawet się nie domyślał, jak bardzo ktoś może tego pragnąć.

Wjechaliśmy między starodrzew. Odruchowo zadartam głowę, bo kołyszące się olbrzymie trzeszczały, jakby za chwilę miały się na nas zwalić.

— Życie jest jak przejażdżka, co krok to niespodzianka - ciągnął Gryta, czym kompletnie zbił mnie z tropu. Nigdy dotąd nie traktował mnie jak partnera do rozmowy. Nawet po tym, jak załatwiłam mu kryjówkę w Kostomłotach.

— Wiesz, że te wszystkie wypadki to prawdopodob-

nie sprawka pewnego namolnego facecika, który wyobraził sobie, że nadaje się na aktora? Spławiłem go, bo talentu nie ma za grosz; nawet na statystę nie bardzo chcieli go przyjąć, ale się uparł. Zawzięty na karierę, że niczym nie zniechęcisz. I mścił się na mnie, zamiast podziękować, że pozbawiłem go złudzeń. To ten, co później wyleciał z planu za fotografowanie z fleszem.

Zgadza się, pomyślałam, histeryk z castingu.

- Skąd wiadomo, że to on chciał panu zaszkodzić? - odezwałam się wreszcie, żeby nie wyjść na całkiem ograniczoną. Bo do tej pory bałam się wyskoczyć /, czymś nie na miejscu, tak że nawet rozmowa o pogodzie przerastała moje możliwości. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Pracować u swojego idola - to jeszcze jakoś mogłam zrozumieć. Ale taka półprywatna przejażdżka... Zatkąło mnie jak małolatę.

- Zrobił jeden niewłaściwy krok: przysłał anonim z pogroźkami, że mnie zabije. Zero ostrożności, wszędzie odciski palców, z literą przyklejony kawałek włosów. Policja szybko zidentyfikowała nadawcę, zrobili badania DNA. Wczoraj go złapali i wsadzili do aresztu. Nie przyznaje się do niczego poza listem, ale udowodnienie mu winy to tylko kwestia czasu.

Kopyta zamlaskały na podmokłym podłożu. Dotarliśmy czerwonym szlakiem w okolice rzeczki Wilcza Struga, na wysokości osady Sadowa. Co znaczyło, że jesteśmy prawie na miejscu, gdzie jutro zakończą się zdjęcia do *Niestrudzonych*.

- Uważaj na gałęzie - ostrzegł Gryta i pochylił się

nad szyją wierzchowca. Zrobiłam to samo, rozmyślając nad banalnym rozwiązaniem zagadki dziwacznych zamachów. Nie chciało mi się wierzyć, żeby mogło być tak proste.

- Jest pan pewien, że to on? - odzyskałam nieco odwagi w obliczu poważnych wątpliwości. Bo kiedy człowiek przestanie myśleć w kółko o sobie i o tym, jak wypadnie, może działać więcej, niż sobie wyobraża. - Skoro nie potrafił zabrać się porządnie do anonimu, jak zdołał zorganizować te wszystkie wypadki?

Reżyser zacisnął wargi. Przestraszyłam się, że rozłościła go moja uwaga. Chyba jednak nie, bo spojrzał na mnie, jakby też to wcześniej rozważał i dziwił się, że nie on jeden ma podobne rozterki.

- Sam się zastanawiam. Kłopoty w każdym razie się skończyły. Poza tym to człowiek z manią wielkości, tacy są nieprzewidywalni jak pogoda jesienią. - Wskazał szpicrutą na wzbierające nad nami fale grafitowych chmur. - Żeby chociaż śnieg nie padał, przynajmniej do jutra.

Kopyta zastukały wreszcie na twardym gruncie. Przed nami rysowała się odległa wypukłość drewnianego mostu. Drzewa rzucały na jego łukowatą powierzchnię ponure, bezlistne cienie. Ciekawe dłaczego ludzie nazwali go Mogilnym.

- Fantastycznie dudni, kiedy przejeżdża się po nim galopem. Spróbujemy? Razem się nie zmieścimy, pojedę pierwszy.

Nie czekając na odpowiedź, prawie niezauważalnie popędził fryza łydkami i dosiadem, bez używania szpicruty. Przytrzymałam chwilę kasztanka, a kiedy

chciałam ruszyć śladem reżysera, zwierzę ani drgnęło. Takiego oporu rudy nie stawiał nawet w chwilach największego lenistwa. Coś musiało go mocno zainteresować. Zamarł w posagowej pozycji, nastawiając uszy jak radary. Podążyłam wzrokiem w tym samym kierunku, w którym patrzył koń. Oboje przyglądaliśmy się zdziwieni, jak po naszej prawej stronie wyłania się z lasu ktoś, kogo nie spodziewałam się już zobaczyć.

Krzyk Gryty, trzask łamiących się desek, ciężkie uderzenie upadającego ciała - tyle usłyszałam z tego, co rozegrało się na Mogilnym Mostku. Widok przysłonił mi brunatny korpus potężnego zwierzęcia. Włochata klempa wyczłapała z zarośli na środek drogi, wymuszając na nas „pierwszeństwo przejazdu”. Spojrzała na kasztanka bez większego zainteresowania, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z obecności człowieka na jego grzbiecie, i powoli zanurzyła się w lesie po przeciwnej stronie drogi. Człapał za nią wyrośnięty łoszak. Zatrzymał się na odgłos szamotaniny na moście i niespiesznie obrócił głowę w tamtą stronę. Podrapał się z namysłem zadnią nogą po szyi, obejrzał za matką i ruszył w ślad za nią, aż oboje zniknęli pomiędzy pniami.

Kasztanek nie bał się ani trochę.

- Dalej, musimy im pomóc - zachęciłam białonogiego bardziej zdecydowanie i wreszcie się ruszył. Miałam nadzieję, że Gruzinowi nie stało się nic złego. Wywalił się na śliskim drewnie wraz ze swoim panem. Reżyser wstał pierwszy. Kłął ostro, więc chyba nic mu nie było. Ale ogier wciąż leżał ciężko na boku, grzbie-

tern naciskał na połamaną barierkę - i po każdej próbie podniesienia, przesuwiał się z nią coraz bliżej wody. Odpychał się wytrwale i w końcu wstał na przednie nogi, ale zadnie kopyta ślizgały się, bez skutku szukając oparcia na pochyłej grobli. Gryta rzucił mu pod nogi swoją zamszową kurtkę i pociągnął za wodze, dla równowagi trzymając się przeciwległej barierki. Gruzin podrzucił rozpaczliwie łbem i zaczął mocniej przebierać nogami, aż stanął na wszystkich czterech, rozstawionych niepewnie i drżących jak u kogoś, kto pierwszy raz wszedł na lodowisko. Cofnął się o krok i jedną nogą wypadł poza obręb mostu. Zachwiał się i omal nie ześlizgnął do wody. Zeskoczyłam z kasztanka, podniosłam z ziemi gałąź i zdzieliłam nią fryza po zadzie z całej siły, aż podskoczył. Szarpnął się w przód, odzyskując równowagę. Na chwiejnych jak u nowo narodzonego źrebięcia kończynach przeszedł ostrożnie na drugą stronę strumienia. Gryta poszedł za nim, cały czas asekurując się barierką. Trzymał się jej jak pijany płotu. Zrozumiałam dlaczego, dopiero kiedy sama weszłam na most. Oboje z kasztankiem omal nie wyłożyliśmy się na deskach. Były złane czymś tłustym.

- Uważaj, to olej napędowy - usłyszałam w tej samej chwili, w której dotarł do mnie charakterystyczny zapach. Przeszliśmy powoli, a wtedy Gryta zawrócił po sponiewieraną kurtkę.

- Skąd tyle się go wzięło? - utyskiwał. - Tu nikt nie rna prawa wjazdu samochodem prócz służb leśnych, a oni nie zostawiliby takiego syfu. Wygląda na świeży wyciek.

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Wpatrywa-

lam się w ludzką sylwetkę zawieszoną na pobliskim drzewie.

- Komu pan powiedział, dokąd się wybieramy? - Przeszedł mnie dreszcz na myśl, że nie jesteśmy zupełnie sami w tej części lasu. Łosie nie wyszłyby z zarośli, gdyby nie wypłoszył ich ktoś, kto zapewne tamtędy uciekał!

- Co takiego? - nie rozumiał, do czego zmierzam, bo sam jeszcze niczego nie zauważył. Zwinął kurtkę zabrudzoną stroną do środka i chciał przytroczyć do siodła, ale zrezygnował i ubrał się w nią z powrotem. Dopiero teraz spojrzął we wskazanym przeze mnie kierunku i zbladł. Zniżył głos do szeptu.

- Serafinowi, ale mógł usłyszeć któryś ze stajennych... Nie wiem, może komuś potem powiedział, jeśli mnie szukali w ośrodku. Albo spytali Ignaca, on też wiedział, gdzie jedziemy... Myślisz, że to serio, czy ktoś tylko wygłupia się moim kosztem?

Na sznurze, z pętlą zaciśniętą wokół szyi, kołysał się manekin, który wyglądał jak woskowa figura Dawida Gryty. Prawdopodobnie ten sam, którego nazajutrz filmowcy mieli topić w Wilczej Strudze na potrzeby fabuły, w scenie zasadzki na kampsoskich bagnach. Kuba przywiózł go dziś rano do „Jupitera” i zamknął w magazynie, sama widziałam! Teraz kukła była rozebrana do pasa. Na jej piersi ktoś napisał drukowanymi literami ostrzeżenie, którego adresata nietrudno się było domyślić: „Wycofaj się ze zdjęć. Mam was na celowniku. Czekam do jutra. To ostatnia szansa. Jeśli nie posłuchasz, zginiesz”.

Rozdział dwudziesty

- Szkoda, że się koleś nie podpisał. Diabeł by nie zapomniał - zadrwił Gryta z kpiącym uśmiechem, ale przyciszonym głosem. Nawet jeżeli nikt nie czaił się za drzewami z bronią gotową do strzału, to przecież ktoś przywłókł tu manekin i rozlał olej na moście, żebyśmy na pewno nie przegapili wisielca. Rekwizyt pojawił się tu najwcześniej kilka godzin przed nami - o ile to ten egzemplarz z „Jupitera”. Albo dopiero co, jeżeli łosie nieprzypadkowo wyszły z lasu wprost na mnie. Poza tym już raz omal nie przeszła reżysera prawdziwa kula. Dzisiaj nawet nie włożył kamizelki z kevlaru, no i tutaj zamachowiec nie miałby żadnych świadków... bo i mnie by zastrzelił. W przeciwnym razie nie pisałyby że ma *nas* na muszce. To najbardziej mnie przestraszyło. Czyżby myślał, że odgrywam większą rolę niż naprawdę? Albo że za dużo wiem? Tylko co ja mogę takiego wiedzieć, o czym nie wiem, że wiem? Nie, to jakiś obłąd! Pożałowałam, że tak chętnie zgodziłam się towarzyszyć Grycie w wycieczce i że w ogóle trafiłam do jego serialu. To najbardziej niedorzeczna sprawa, w jakiej zdarzyło mi się uczestniczyć!

Przyjrzałam się reżyserowi, który odzyskiwał już normalną pewność siebie. Zaczął badać znalezisko. Obszedł wisielca z każdej strony, żeby lepiej przyjrzeć się konstrukcji. Niesamowicie wyglądali obok siebie: żywy człowiek i jego sztuczny brat bliźniak.

A może naprawdę Gryta sam sobie jest w życiu dublerem? To znaczy, organizuje te wszystkie pułapki na siebie, tylko potem o nich nie pamięta? Oglądałam taki film z Antonio Banderasem, w którym chronił on samotną kobietę przed tajemniczym prześladowcą. Po czym okazało się, że ona jest schizofreniczką, która sama sobie szkodzi i nie ma o tym pojęcia...

Tak czy inaczej, ja już mam dość tych dziwacznych sytuacji! Jeszcze tylko jutro odbębnię swoją rolę, a potem zgarniam kasę i do widzenia.

- Trzeba zabrać tę lalkę, może zostały na niej jakieś odciski palców - reżyser zabrał się do rozluźniania pętli. Zakołysał manekinem. Apacz prychnął nieufnie i cofnął się za Gruzina, pociągając mnie za sobą. Ogier, mimo że nieprzywiązany, stał w miejscu jak koń z westeru.

- Zostaw rudego, nigdzie sam nie pójdzie, i pomóż mi z tym cholerstwem - zniecierpliwiał się Gryta.

Zanim zdążyłam zrobić cokolwiek, rozległy się dwa strzały. Upadliśmy na ziemię w tym samym momencie, a ja nadal nie wypuściłam wodzy z rąk. Niepotrzebnie, bo trafiony kasztanek zachwiał się, przewrócił obok mnie i znieruchomiał. Chwilę później Gruzin zatoczył się jak ogłuszony, osunął na leśną ściółkę i wyprostował kończyny, zanim na dobre zeszytniały.

Przez długie minuty nic się nie działo. Leżałam z zamkniętymi oczyma i modliłam się, żeby to nie było naprawdę. Albo żebym zaraz usłyszała upragnione „koniec akcji!” i serię przekleństw w miejsce zwyczajowego „dziękuję”. Tymczasem reżyser przywarł do ziemi, tak jak upadł, i ani myślał dawać znaku życia. Przecież jemu nic się nie stało, tylko koniom. Widziałam już coś takiego na ćwiczeniach w grupie Serafina, dlatego nie bałam się już o zwierzęta. Kiedy minął pierwszy szok, rozpoznałam, co im jest. Za kwadrans obudzą się i wstaną jak gdyby nigdy nic. Nieraz tak „giną” na ekranie. Rzeczywiście, środek w końcu przestał działać i kiedy już przemarzłam od ziemi tak, że bardziej chyba nie można, konie poruszyły się i zaczęły wybudzać.

- To był paralizator - wyjaśnił Gryta na wypadek, gdybym się nie domyśliła. - A ten huk to pewnie z wystrzału w powietrze. Czyli nie chcą nas zabić, tylko przestraszyć. Dziecinada.

Wstał i zaczął zbierać się do odjazdu, ale już nawet nie patrzył w stronę manekina. Kiedy wierzchowce ocknęły się na dobre, dosiedliśmy ich i ruszyliśmy w drogę powrotną. Ale parliśmy na skrót, łamiąc przepisy i galopując wszędzie tam, gdzie pozwalało na to podłoże. Co chwila któryś z koni potykał się o wystające korzenie, a ja drżałam na myśl, że w końcu przekoziółkuję razem z kasztankiem. Gryta za nic nie przyznałby się, dlaczego tak forsuje biedne zwierzęta. Przedzierał się przez puszcę nie tylko z dala od wyznaczonych szlaków, ale tam gdzie w ogóle nie było widać ścieżki. A ja za nim. Ręce bolały mnie od ciąg-

lego osłaniania się przed gałęziami, które odginał na bok i które prostując się, uderzały mnie po twarzy.

Szczyśliwie ominęliśmy bagniste okolice rezerwatu Sieraków, gdy dopadła nas zadymka. Lodowate igiełki śniegu z deszczem kłuły w policzki i zmarznięte na kość dłonie. W lesie robiło się ciemno. Tupot kopyt zagłuszało coraz groźniejsze wycie wiatru w gałęziach. Mimo że byliśmy w nieustannym ruchu, zimny powiew przeszywał do szpiku kości. Zwolniliśmy do stępa, bo bryły śniegu z błotem wbijały się pod kopyta i wykrzywiały koniom nogi. Zwierzęta zaczynały drobić, w końcu potykały się potężnie i gubiły te koturny. Gruzin raz po raz schylał głowę, usiłując wygryźć lód ze szczotek na nogach, które wyglądały teraz jak u charta afgańskiego. Jeździec walczył z nim i nie pozwalał się zatrzymywać.

Wieki trwało, nim wydostaliśmy się na zielony szlak w pobliżu uroczyska Na Miny. Od „Jupitera” dzieliło nas około siedmiu kilometrów. Nie wiem, czy wyrzymałabym jeszcze tyle w siodle. Uderzałam dłońmi o kant siedziska, żeby powróciło czucie w zdrętwiałych palcach. Na szczęście komórka Gryty odzyskała zasięg i reżyser wezwał pomoc. Uspokoiliam się dopiero, gdy od strony Łomianek dobiegł naszych uszu warkot gazika.

Wróciliśmy do ośrodka z Jakubem. Koźmi zajął się Serafin. Wsiadł na Gruzina, kasztanka poprowadził obok.

Reżyser jeszcze z samochodu zatelefonował do dyrektorki parku, żeby wytłumaczyć się z samowolnego

wtargnięcia autem na zakazany teren. O galopadzie przez ścisły rezerwat nie wspomniał ani słowem, licząc chyba na to, że śnieg litościwie zasypie ślady kopyt. Uzgodnił też z policją załatwienie ochrony na jutro.

- Nie dam się zastraszyć byle komu - odgrażał się, zdecydowany dokończyć nagrywanie serialu za wszelką cenę. Miałam tylko nadzieję, że nie kosztem swoich ludzi... Zakazał nam rozpowiadać o manekinie z pogroźkami, żeby informacja nie przedostała się do mediów. A sprawa zrobiła się mocno dziwna, bo niedoszły idol wcale nie zbiegł z aresztu; za parę godzin minie doba i wtedy go wypuszczą... Nie on był więc sprawcą dzisiejszego wyczynu!

- To będzie przemawiało na jego korzyść w sądzie. Jest oskarżony o poprzednie ataki, ale wygląda na to, że nie kłamał, kiedy na przesłuchaniu wyparł się wszystkiego poza listem. Potwierdza się reguła, że ludzie wysyłający anonimy są w gruncie rzeczy nieszkodliwi, bo już w ten sposób dali upust swojej złości - tłumaczył Grycie znajomy policjant tak głośno, że i ja słyszałam urywki rozmowy.

W takim razie kto odpowiada za wypadki, którym nie ma końca? Co gorsza, dziś po raz pierwszy poczułam się nimi bezpośrednio zagrożona i, do licha ciężkiego, wcale mi się to nie podobało!

Tak bardzo chciałam pogadać o tym wszystkim z Kubą, że nie pozwoliłam odwieźć się do domu. Zresztą po morderczym rajdzie z Grytą wolałam nie pokazywać się na oczy Mariolce, która jak nic zadzwoni w końcu do babci i wszystko wypaple. Już trzęsło mnie jak przy grypie, a nogi bolały tak, że nazajutrz

żadna siła nie zmusiłaby mnie do zerwania się o świcie / . wygodnego łóżka. Na współlokatorkę na razie nie mogłam liczyć.

- Wolę przekimać z wami w hotelu, na tym wolnym tapczanie, co robi za szafę. Mogę się wprosić?

Kuba złapał pas jak szanująca się pensjonarka. Że też nie przyszło mi do głowy, jak on może odebrać tę propozycję!

- Ejże, nie wyobrażaj sobie za dużo - zarzekłam się, żeby nie było. - Muszę wreszcie uporządkować sobie to wszystko, co tu się dzieje, a nie mam z kim pogadać.

W progu siedziby kaskaderów jednak się zawahałam, bo wszystkie trzy łóżka, zarzucone ciuchami i skotłowane, wyglądały jakby odbierano na nich szczególnie ciężkie porody. Zza pierwszego wyglądało pudełko po pizzy i kilka plastikowych kubków z baru na dole, a niezmyte talerze po fasolce z keczupem znaczyły politurę stołu jak ślady małych morderstw. Ale wycofać się nie miałam już jak, bo Kuba rzucił *coś* na temat prysznicza i poleciał załatwić mi czyste poszewki. Zapanovałam nad odruchem sprzątania, jaki budzi się we mnie wyłącznie w zetknięciu z cudzym bałaganem, natomiast namierzyłam wspomnianą kabinę, by czym prędzej wejść pod strumień ciepłej wody. Zmyła ze innie resztki napięcia i przywróciła krążenie w zlodowaciałych kończynach. Nogi bolały tak jak za dawnych dobrych czasów, kiedy dopiero zaczynałam naukę jazdy i nie potrafiłam się należycie skupić nawet na myśleniu. Ale to tylko zmęczenie. Powodem do zmartwienia byłby dopiero ból w stawach kolano-

wych, który świadczy o zapaleniu. Można z tym trafić do szpitala.

Po kąpieli poczułam się tak senna, że darowałam sobie burzę mózgow. Nie czekając, aż przyjdą chłopaki, zagrzebałam się w pierwszą z brzegu pościel. Goła sprężyna od razu wlaźła mi w kręgosłup. Obróciłam materac na drugą stronę, ale tam czyhały na mnie trzy inne, wróciłam więc do punktu wyjścia. Na tych manewrach zeszło mi parę minut, podczas których nie przestawałam analizować tego, co się dzisiaj wydarzy- 1
ło. Bo jeżeli ten ktoś obmyślił na jutro kolejną pułapkę na reżysera - co gorsza skuteczną, jak się odgrażał - nie będzie się przejmował dodatkowymi ofiarami. A ja tkwię zbyt mocno w świecie filmu, by się łudzić, że ominie mnie jego ciemna strona. I żebyż tak chodziło jedynie o przekręcone nazwisko w gazecie! A propos, ciekawe, gdzie i z kim naprawdę jest Kasia Rutkiewicz. Czy porywacz, o ile on w ogóle istnieje, to ten sam człowiek, który prześladowuje Grytę? Bo dzisiejsza groźba jest równie dziwna jak tamten szantaż...

Umościłam się po wielu próbach z dala od kłujących drutów i zanim w objęciach Morfeusza przestałam odczuwać wszelkie inne niewygody zbyt rzadko wietrzonego pokoju, utwierdziłam się w przekonaniu, że jedynym sposobem na to, by rozszyfrować sprawcę zamieszania wokół twórcy *Niestrudzonych*, jest niezawodna szkoła Herkulesa Poirota: aby rozwiązać jakąś zagadkę, wystarczy wygodnie rozsiąść się w fotelu i pomyśleć. Z poprawką na to, że wstawać mi się nie chce i że moje skromne możliwości zdobycia informacji nijak się mają do kompetencji legendarnego detek- !

tywa Agathy Christie. A skoro nie mam dostępu do alibi ani do większości faktów z życia ludzi związanych z serialem, których obraz w dodatku zaciemniają media - spróbuję rozpracować ich psychologicznie.

Trzeba wziąć pod uwagę wszystkich bez wyjątku, nie tylko tych, którzy skorzystają na odsunięciu Gryty od produkcji serialu, jak na przykład Paweł Wegner. Jako podejrzany nasuwa się w sposób tak oczywisty, że od razu odrzucam to rozwiązanie jako niemożliwe, bo za proste. Ale właściwie na jakiej podstawie? Przecież prawie wcale nie znam go jako człowieka. Właśnie dlatego będę obserwowała, jak on i inne osoby się zachowują, co mówią, ale też zastanowię się, co próbują ukryć. Skoro udało się odkryć motywy postępowania Serafina, uda mi się poznać także zakamarki osobowości innych osób. Jeśli zrozumie, co nimi kieruje, nad czym potrafią zapanować, a co wymyka się im spod kontroli - wtedy może ustale, komu tak bardzo zależy na tym, aby Gryta zrezygnował z intratnego serialu. Oraz dlaczego ów ktoś usiłuje osiągnąć swój cel w taki nietypowy sposób.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ostatni dzień nagrań zaczął się fatalnie, przynajmniej dla mnie. Jak przewidziałam, ze wstawaniem miałam problem. Ból wzmógł się tak bardzo, że zaczęłam się na poważnie doszukiwać początków zapalenia stawów kolanowych. Typowa przypadłość ludzi, którzy bardzo dużo jeżdżą konno, ale zarazem ostatnia rzecz, której potrzebowałam! Zwłaszcza dzisiaj, kiedy tak wiele mogło zależeć od sprawnego pokierowania kasztankiem. Wprawdzie policjanci od razu po telefonie Gryty przeczesali otoczenie Mogilnego Mostka, gdzie nie znaleźli już kukły, i obiecali zabezpieczyć teren jak przed spodziewanym atakiem terrorystów, ale nigdy nic nie wiadomo. A gdyby tak coś spłoszyło konie, jak Gruzina wtedy, gdy reżyser złamał nogę? Popręgi w każdym razie mieliśmy sprawdzone nie gorzej niż kadra olimpijska przed startem, o czym zapewnił mnie rano Kuba. Właśnie przyniósł do pokoju termos gorącej kawy ze stołówki.

- Ktoś cię chyba szuka - obwieścił i nalał po pierwszym kubku taniej kawy, od której będzie nam pękała

głowa przez cały dzień. Wskazał brodą na okno, a kiedy rzuciłam się do szyby, ukrył w golfie półuśmiech. Ze skołtunionych, burych chmur sypał się śnieg jak łupież i osiadał na kurtce kowala, który pochyłony majstrował przy kopytach jednego z kaskaderskich koni. Za nim, przy wejściu do rekwizytorni, stało dwoje ludzi.

- Mariolka?! A ta, jak się tu dostała i po co? Przecież dzwoniłam do niej wczoraj, że nic mi nie jest! - Rozłościła mnie nadopiekuńczość współlokatorki.

- Może potrzebowała pretekstu, żeby się dostać do ośrodka. Nie widzisz, z kim rozmawia?

Racja, ja tej kobiety w ogóle nie doceniam! Przecież opowiedziałam jej o naszych rozmowach z Serafinem. Widać uznała, że skoro tak się sprawy mają, to nic z tego nie będzie, jeśli sama nie przejmie inicjatywy. No i proszę, chwyciła cugle krzepką ręką, z determinacją, z jaką potrafi się odchudzać. Biedny Don Juan schował się w cieniu czapki, której ośnieżony daszek nie sterczał już tak zawadiacko jak zazwyczaj, i przestępował niespokojnie z nogi na nogę niczym młody koń przy siodłaniu. Rozmawiając z Mariolka, musiał nieco unosić wzrok, a wątpię, żeby mu się to podobало. Ale z minuty na minutę zachowywał się mniej sztywno, ona też zaczęła opowiadać coś z ożywieniem, gestykulując zamasyście, jak wtedy, gdy opisuje mi nowy pomysł na patchworkową kreację. W końcu rozmowa pochłonęła ich całkowicie.

- Szczęściarze, co? - skomentował zazdrośnie Kuba, przysuwając się do mnie. Znów przybrał tę swoją nieszczęśliwą minę. Gdybym wiedziała, jak to zrobić, aby

go nie urazić, poradziłabym mu, żeby darował sobie pielęgnowanie złudzeń na nasz temat. Trzeba raz na zawsze uciąć takie gdybanie - jak mi się to w końcu udało z Filipem. Inaczej człowiek nie zauważy w porę miłości swojego życia i nie otworzy się na nią. Bo wierzę, że ta jest jeszcze wciąż i przede mną, i przed Jakubem.

W melancholijnym nastroju wyszliśmy na podwórze, gdzie nie było już Mariolki ani nawet Serafina. Poszukiwania w stajniach nic nie dały, więc chwyciliśmy za komórki, ale żadne z nich nie odebrało telefonu.

- Poczekaj chwilę, sprawdzę w rekwizytorni - polecił i szarpnął za kłamkę. Drzwi okazały się zamknięte na klucz.

- Gdzie też go poniosło o tej porze? - zastanawiał się na głos.

Nieopodal warczały betoniarki. Robotnicy od świtu uwijali się przy tynkach wewnątrz hali pokazowej, żeby skończyć pracę, zanim nadejdą prawdziwie zimowe mrozy.

- Może oglądają budowę i nas nie słyszeli? - próbowałam przekrzyczeć spawarkę, którą właśnie ktoś uruchomił.

- Seraanfin! Jesteś tam? - zawrzęsnał Kuba w stronę brygady.

Nie takiego rezultatu się spodziewaliśmy. Zza budowy, drogą od bramy wjechał konno Paweł Wegner w przeciwdeszczowym płaszczu, ubłocony jak po ostrym treningu w terenie. Prawdę mówił Serafin, że piekielnie ambitny z niego jeździec i brak talentu w tej dziedzinie nadrabia nadgodzinami w siodle.

- Po co te wrzaski? - skarcił nas niczym parę dzieciaków, chyba zły o to, że przyłapaliśmy go w takim stanie. Bo nie dało się nie zorientować, że po drodze zaliczył upadek z konia. - Wszyscy są już chyba na planie, nie sądzicie?

- O Boże! - Wróciło mi poczucie czasu i zauważyłam, że na parkingu brakuje gazika. - Reżyser nas zabije!

Jeśli tego nie zrobił, to wyłącznie dlatego, że jeszcze nie odnotował naszej nieobecności. Kiedy wysiadaliśmy z taksówki, którą Wegner zamówił przede wszystkim dla siebie (oj, co to będzie, jak przyzwyczaję się do stylu życia na planie filmowym, gdzie na wszystko są pieniądze i to nie własne, za to wiecznie brakuje czasu), reżyser właśnie gromił jednego z funkcjonariuszy.

- Pan mi tu się nie pcha w kadr, bo twarz nietypową!

Policjant bąknął, że dzieciom chciał zrobić przyjemność, niech by go zobaczyły na ekranie, ale Gryta już nie słuchał, pochłonięty artystycznym komponowaniem przestrzeni. Mężczyzna wycofał się więc z zawiedzioną miną, a mnie ktoś wyjaśnił, że tym razem nie wszyscy mundurowi na planie to poprzebierani statyści. Ponoć w lesie czuwało nawet kilku oficerów z jednostki specjalnej. Czego to się nie robi dla sławnego reżysera! Choć faktycznie - kogo mieli chronić, jak nie twórcę *Niestrudzonych*? Ten zaś nie wyglądał, jakby potrzebował jakiegokolwiek pomocy; raczej sam stanowił dla nas zagrożenie.

- Bomba na planie! - rozdarł się zniecka tuż za

mną, kiedy próbowałam niepostrzeżenie przemknąć po kostium Kasi. Dopiero po chwili załapałam, że to prośba o umieszczenie rekwizytu we właściwym miejscu, za przesłem Mogilnego Mostka. Gryta zauważył mnie i oczywiście coś tam warknął, ale mogło być gorzej.

Ukryliśmy się z Kubą za vanem, żeby się przebrać.

- Bomba! Gdzie jest do cholery ta bomba!?! - pienił się jeszcze przez jakiś czas, krążąc pomiędzy załogą kamerzystów, dźwiękowców i chłopców na posyłki jak zabłąkany meteoryt, gotów porazić każdego, kto stanie mu na drodze.

- Mam nadzieję, że w końcu ktoś wysadzi go w powietrze - zażartowałam mściwie i niezbyt pięknie, próbując w ten sposób zlekceważyć narastający strach, że coś się dzisiaj stanie.

Śnieg uprzejmie przestał prosić, a ten, który już spadł, roztopił się w przedpołudniowym słońcu, kiedy po zdjęciach próbnych przystąpiliśmy do właściwego nagrywania zasadzki na Mogilnym Mostku. Gryta dała ostatnie wskazówki:

- Dojeżdżamy do mostu, ty wystrzelisz racę dwa metry przed - zwrócił się do młodego pirotechnika. - Potem wzbogaci się ten moment grafiką komputerową, bo przecież nie będziemy niszyć dyrektorowi takiego ładnego mostu - wskazał na świeżo wyremontowaną barierkę, a ekipa zaśmiała się zgodnie z oczekiwaniami reżysera. Następnie przeniósł wzrok na mnie. - Wtedy konie zatrzymują się z galopu. Ja robię salto przez szyję Gruzina i wpadam do rzeki, ty zsuwasz się po pra-

wym boku kasztanka i puszczasz go luzem. Musisz spaść po trzech krokach, nie więcej. I uważaj, żebyś nie dostała kopniaka, bo on lubi wierzgnąć sobie na odchodne - ostrzegł, jakbym mogła o tym nie pamiętać.

Poszło gładko, wyrobiliśmy się w dziesięciu dublach. Choć ja bym skończyła po pierwszej powtórce, bo dalsze niczym się nie różniły. Że też temu masochiście chciało się tyle razy lądować w zimnej wodzie - tego już zupełnie nie rozumiałam.

Środki ostrożności okazały się niepotrzebne, może właśnie dlatego, że je zastosowano. Kukłę Gryty dało się z grubsza zastąpić innym, uniwersalnym manekinem, a szczegóły załatwią graficy komputerowi. Najgorsze, że do tej pory nie wiadomo, kto wyniósł rekwizyt z magazynu. Podpuszczałam Serafina, żeby wypytał szefa o szczegóły policyjnych działań, ale nie chciał. W ogóle był jakiś dziwny. Miał pretensje, że nie zaczekaliśmy rano w „Jupiterze”, bo zamierzał zabrać nas drugim kursem, a tak się wydało, że jeździł gdzieś służbowym samochodem bez uzgodnienia z szefem i dostał za to reprimendę.

- W dodatku ci policjanci się czepili, gdzie i po co jeździłem, jeszcze zrobią ze mnie podejrzanego. A ja podwiozłem twoją koleżankę do domu. Myślałem, że szybko obrócę i pojedziemy, a wy od razu wyskoczyliście z tą taksówką - zdrowo mnie objechał.

Komórki żadne z nich nie usłyszało, bo akurat wyprzedzali samochód z ładunkiem złomu i huk był nieziemski.

- A co Mariolka robiła w ośrodku, skoro nie chciała się ze mną zobaczyć?

Kaskader zachnął się.

- Kto mówi, że nie chciała? Nie było czasu. Przyszła się dowiedzieć, czy nie ściemniałaś, że nic ci nie jest, bo przez telefon wyglądało, że boisz się powiedzieć. To ją uspokoiłem, że żyjesz i tyle - wzruszył ramionami i wyraźnie było widać, że nie ma ochoty rozwijać tematu. - A ty co byś chciała?

Sama nie wiem... Usłyszeć, że wreszcie się dogadali czy coś w tym stylu. Albo co robią jej patchworki w bagażniku gazika. Zajrzałam tam przez pomyłkę, kiedy szukałam munduru Kasi. Skoro jednak kaskader nie zamierzał o tym wspominać, postanowiłam nie przyznawać się, że je widziałam. Swoją drogą, co Mariolka przede mną ukrywa?

- A ten gdzie się podziewa? - denerwował się Gryta na swojego człowieka do wszystkiego. Ignac miał przyjechać po Gruzina z pół godziny temu. Filmowcy zwinęli już obozowisko i zacierali ślady naszego pobytu w parku narodowym. Serafin z chłopakami z „Jupitera” odjechali na koniach do ośrodka. Osamotniony fryz tańczył wokół mnie na lince, którą skracałam mu coraz bardziej, targał łbem i rżał za towarzyszami ze stajni, choć nie mogli już słyszeć jego tęsknych nawoływań. Głaskałam ukradkiem błyszczącą sierść ogiera i próbowałam nacieszyć się nim na zapas. Bo to już koniec naszej wspólnej przygody. Zaraz Ignac odwiezie go do odbudowanej stajni przy domu Gryty i jeśli jeszcze kiedyś zobaczę karosza, na przykład na ścieżce w Kampinosie albo na festynie, to już tylko z daleka. Na pocieszenie będę mogła oglądać nas razem w tele-

wizji. Dobre i to. Coś mi się tylko kontur jego sylwetki rozmazuje, i jeszcze ta paskudna pogoda, chyba złapałam katar od tych roztopów...

- Może Ignacowi coś się stało, dlatego jeszcze go nie ma? - Kuba domyślił się, co przeżywam, i nieudolnie próbował mnie pocieszyć. Przerwałam mu niecierpliwym gestem. Jeszcze tego brakuje, żeby wykrakał nie-szczęście! Ignac też człowiek i źle mu nie życzę.

Ale pomocnik reżysera naprawdę miał pechowy dzień. Kiedy Grycie udało się do niego dodzwonić z dachu vana, gdzie złapał jaki taki zasięg, okazało się, że Ignac nadzoruje ekipę, którą zapomniał odwołać. Panowie z firmy ochroniarskiej przyjechali zamontować obiecany zestaw kamer i czujników do nowej stajni. Teraz facet ma problem. Szef już się trząsł z oburzenia, jak zawsze gdy coś poszło nie tak, jak sobie zaplanował.

Nagle dostrzegłam szansę. Zanim rozkrzyczał się na dobre lub ktokolwiek zdążył pomyśleć o wezwaniu koniowozu, pociągnęłam fryza w stronę reżysera.

- Przepraszam - zaryzykowałam, po cichu zaklinając swoją dobrą gwiazdę. - Może ja bym na nim pojechała? Drogę już znam...

Zdziwił się, bo jeszcze nigdy moja prośba skierowana do niego nie zabrzmiała tak śmiało. Determinacja widać dodała mi odwagi. A może to czas spędzony na planie i doświadczenie, które zdobyłam dzięki tej pracy? Pewności siebie dodawał mi także fakt, że w sumie całkiem przyzwoicie poradziłam sobie z dublowaniem Kasi. Gdyby złapali wreszcie tego szaleńca, pewnie starałabym się zaczepić przy kolejnej produk'ci Gryty.

Bo mimo nieludzkiego reżimu, w pracy z tym reżyserem było coś pociągającego, jak w uczeniu się kaskaderki. Człowiek nieraz bał się, narzekał, złorzeczył na wymagania, ale jak mu się udało, łapał bakcyła i chciał osiągać coraz więcej. A twórca *Niestrudzonych* umożliwił to jak nikt inny. Nareszcie zrozumiałam jego metodę. Traktował nas niby stawkę koni wyścigowych. Wstępna selekcja, a potem dla wybranych dzień w dzień ostry trening. Albo odpadniesz po drodze, albo - jeśli bardzo chcesz zostać - znajdziesz w sobie dość siły, której istnienia wcześniej nawet nie podejrzewałeś, i sprostasz wyzwaniu. Przewaga kija nad marchewką, która kusiła gdzieś na drugim planie, niby widoczna, ale nieosiągalna aż do zwycięskiego końca. Gryta musiał jednak dobrze wiedzieć, co było dla mnie tą marchewką, bo w kącikach jego warg dostrzegłam lekki ślad uśmiechu, jakby spodziewał się mojego pytania. Po namyśle odpowiedział:

- Dobrze, może i tak być. Warto było czekać, co?

Czy warto?! Tak długo marzyłam o tym, żeby przymierzyć się do Gruzina, że teraz ze szczęścia nie czułam już nawet zakwasów od przetrenowania. Zresztą fryz niósł tak mięciutko, jakby właściciel zafundował mu resory tej klasy, jakie miał w swojej toyocie. Choć zmordowany pracą ogier szedł, prężąc się niczym na paradnej defiladzie. Nie miał go tylko kto podziwiać. Jechaliśmy błotami szlaku oznakowanego na czerwono zupełnie sami i to również bardzo mi się podobało. Bo wreszcie znalazłam się z dala od obiektu ataków szaleńca. Przez cały dzień bałam się, że stanie się coś

złego, bo nie do końca wierzyłam w skuteczność zabezpieczeń terenu. Całe szczęście, że nikt nie wystawił nas na próbę! Bo w Puszczy Kampinoskiej można by przez noc ukryć cały oddział partyzantów - jak to się działo podczas niejednej wojny - a nie tylko snajpera czy bombę. Tak mi się przynajmniej wydawało. Kto wie, czy prześladowca nie zaczął się na Grytę na trasie jego powrotu? Reżyser pojechał razem ze wszystkimi naokoło, przez Palmiry, bo droga przeciwpożarowa jako jedyna nadawała się do przeprawy samochodami. Piaszczysty gościniec, prosty jak nóż, rozcinał tam kurtynę sosen zakrywającą wydmy. Kilkaset metrów dalej w prawo człapałiśmy sobie z Gruzinem wzdłuż koryta Wilczej Strugi po ścieżce, z której po każdym stąpieniu wysączała się woda. Przyzwyczaiałam się do takich kontrastów w Kampinosie. Park stanowił mozaikę wydm i bagien, przez co krajobraz zmieniał się przed oczyma co krok, jak obrazy w kinie.

Nie popędzałam wierzchowca, żeby przejażdżka trwała jak najdłużej. I tak dotrę do posiadłości reżysera przed zmierzchem, bo za rozlewiskami koń sam będzie się domagał galopu.

- Ależ tu podtopiło - mruknęłam rozczerowana, minawszy upragniony zakręt. Zamiast przyspieszyć, musieliśmy zwolnić jeszcze bardziej, bo gleba ugiwała się jak trampolina, a ślady kopyt naszych poprzedników rozmyły się zupełnie w błotnej mazi. - Może zaślądaliśmy? - zastanawiałam się na głos.

Ale skąd, paski czerwonej farby na pniach olszyn wyraźnie prowadziły w głąb zwężającej się alei, cieniściej i wilgotnej. Dookoła tysiące strzelistych pni, jakby-

śmy wprost z lasu wjechali do prześwietlonej auli kolumnadowej. Ścieżka urwała się, chmiel gołymi łodygami oplatał olszynowe gałęzie. Martwa cisza i zaduch gnijących w wodzie roślin.

Przed nami niepokazna rzeczka, ani chybi Wilcza Struga. Na niej przerzucona niedbale kładka z okraglaków, zbyt delikatna, by utrzymać ciężar konia. Przypominam sobie to miejsce na mapie i już wiem, że nie przebiega tędy żaden szlak. Trzymałam się znaków, które ktoś celowo pozmieniał! Dlatego skręcałam za wcześnie, znalazłam się na obrzeżach bagnistego rezerwatu Sieraków i wjeżdżam w jego głąb, zamiast ominąć niebezpieczny teren. Boże, czy to się już nigdy nie skończy?

Chcę się wycofać, ale na wąskiej ścieżce masywny ogier nie daje rady się obrócić.

- No dalej! Musisz się zmieścić - desperacko zachęcałam go do kolejnej próby głosem, kiedy nic innego nie skutkowało. Koń rozumiał, że musi wykręcić w miejscu i starał się jak mógł, ale po prostu był za duży. Między drzewa nie wjadę, boję się ugrzęznąć w trzęsawisku. Nie ma wyjścia, muszę zaryzykować numer Serafina ze wspinaniem. Może uda mi się obrócić stojącego na dwóch nogach Gruzina wokół jego własnej osi. Żeby mi się tylko nie poślizgnął w tym błocie...

Ledwie dałam sygnał do wspięcia, coś zafurkotało i mignęło bielą przed końskimi oczami. Ogier spłoszył się, szarpnął w bok i ześlizgnął do rowu. Nie stracił równowagi jedynie dzięki swoim wybitnym zdolnościom w tej dziedzinie, więc nie skapałam się w bajorze przy kładce. Dlatego też zdążyłam zobaczyć, co wystra-

szyło konia. Biała płachta, którą teraz zwijał w pośpiechu postawny facet. Kiedy zaczął uciekać, rozpoznałam go mimo kominiarki, po sposobie poruszania się i sylwetce.

- O cholera - wysnęło mi się, gdy ze zwinnością komandosa rozmył się w szarości olchowych pni. - Że też ja na to nie wpadłam.

Zanim dotarło do mnie, że wciąż siedzę na koniu i powinnam nim kierować, Gruzin prawie wywiózł mnie na trzęsawiska, wędrując wzdłuż koryta Wilczej Strugi. Ściągnęłam wodze i wyprowadziłam go na znajomą ścieżkę, przy której nie było już znaków. Skąd miał biedak wiedzieć, że komuś chodziło właśnie o to, żeby doprowadzić do wypadku na bagnach? Może i nie wciągnęłoby ogiera zupełnie, ale przynajmniej na tyle, żeby Gryta sam sobie nie poradził z wyratowaniem z opresji zwierzęcia, które w miarę szarpania się grzęzłoby coraz bardziej. A wtedy pewnie znalazłby się wybawca z krótkofalówką (widziałam, że ma!). Tylko że to by oznaczało nalot fotoreporterów, jak zwykle nie wiadomo przez kogo poinformowanych o wypadku, a od jutra prasa miałaby nowy żer: Dawid Gryta przyłapany na nielegalnej przejażdżce w ścisłym rezerwacie. Oto jak naprawdę szanuje przyrodę jej znany obrońca!

Za tą rewelacją posypałyby się następne, mniej czy bardziej wiarygodne oskarżenia. To nieważne, czy prawdziwe, bo punkt zaczepienia już jest. Zła prasa to potężna broń - przekonał się o tym choćby ojciec Zuzy Anny. Po co mordować kogoś dosłownie, skoro w przy-

padku znanej osoby można osiągnąć ten sam cel, niszcząc jej dobre imię? Tym bardziej, że wtedy istniałoby o wiele mniejsze ryzyko udowodnienia winy współpracownikowi reżysera. Bo idąc za nami, musiał zmywać farbę z gładkich pni olszyn, zapewne plakatową, skoro już nie było po niej śladu. Chciał pewnie wyłonić się później bez wzbudzania podejrzeń, z płachtą na wnyki i inne urządzenia kłusowników, i pomóc reżyserowi wydobyć wierzchowca z bagna. Bohater!

Tylko jednego nie przewidział, przygotowując pułapkę. Że to ja pojedę na Gruzynie, a nie właściciel. Zdezorientowany odkryciem pomyłki, postraszył konia, by odwrócić moją uwagę, albo tylko w odruchu zaskoczenia. I wycofał się czym prędzej, rezygnując z wcześniejszego planu, jaki by on nie był. Ale dobrze się chyba domyślam, że zabójstwo nie wchodziło w grę. Bo gdyby na tym mu zależało, Gryta dawno by nie żył. I... no właśnie, nie spodziewał się mnie tutaj, bo przecież reżyser powiedział Ignacowi przez telefon tylko to, że poradzi sobie bez samochodu do przewożenia ogiera! Czyli wróci konno - tak musiał pomyśleć człowiek do wszystkiego.

I tę wersję przekazał kowalowi z Sierakowa.

Rozdział dwudziesty drugi

- Arnold? Nie, to jakiś absurd - Gryta, wyrwany z popołudniowej drzemki, dobudzał się kawą i słucał moich wywodów jednym uchem. Chciało mi się płakać z bezsilności, bo najwyraźniej mi nie wierzył. A już najmniej we współdziałał zaufanego pracownika. Ignac w stajni wyskrobywał z sierści fryza kilogramy zeschniętego błota, aż na powrót zaczynała połyskiwać głęboką czernią. Mogliśmy oglądać te zabiegi na monitorze umieszczonym w salonie artysty. Wszystko tu pasowało do siebie: kolor ścian i podłogi, meble, obicia, nawet rodzaj światła. Bałam się usiąść w wytwornym fotelu, żeby nie zabrudzić skórzanej tapicerki, a zmuszona przez pana domu, przycupnęłam na brzegu lakierowanej poduchy siedziska. To nie pomagało przekonywać do własnego zdania, choć wierzyłam, że mam rację co do Arnolda, tak samo jak w tej kwestii, że nigdy więcej nie dane mi będzie spotkać konia takiego jak Gruzin. Nie pozwolę, żeby ktoś go skrzywdził tylko dlatego, że fryz należy do człowieka, z którym tamten ma na pieńku!

- Może telefon pańskiego pomocnika jest na pod-

słuchu? To przecież chyba nietrudne, jak się ma krótkofalówkę? - próbowałam uwiarygodnić moje podejrzenia. Zależało mi na tym, żeby reżyser powiadomił oficera śledczego, a ten już będzie wiedział, jak sprawdzić, czy się nie mylę. Bo Arnold przecież musi zajmować się czymś poza kowalstwem. Pomagał robić obławę na kłusowników, których nikt nie widział, choć zranili łosia. Umie celnie strzelać, jeśli to on trafił nasze wierzchowce paralizatorem. W swoim fachu styka się z różnymi ludźmi. Nie twierdzę, że sam obmyślał wszystkie wypadki - nawet nie tylko wspólnie z Ignacem, jeśli rzeczywiście kontaktowali się w tej sprawie - ale na kowala akurat nikt nie zwracał uwagi, gdy kręcił się po „Jupiterze”. A przecież on pracuje także dla konkurencyjnych ośrodków...

- Czekaj, zadzwonię do komendanta, a ty wszystko opowiesz - Gryta zerwał się z kanapy, jakby dopiero ten argument trafił do jego wyobraźni. - A to świnie, żeby w ten sposób... - mamrotał, wystukując numer telefonu.

Sięgnęłam po filiżankę z serwisu Rosenthala, żeby dopić herbatę. Nie doniosłam jej do ust. W pewnym momencie zakręciło mi się w głowie i poczułam, że odpływam gdzieś, gdzie jest mi wszystko jedno, co się ze mną dzieje.

- Zemdlałaś, bo nic nie jesz - gderała wieczorem Mariolka nad moim łóżem boleści. Potrzęsnęła termometrem i wsadziła mi go pod pachę. - Nie patrz tak na mnie. Swoje odjem w „Spożywczaku”, to w domu mogę się odchudzać.

To tak? A ja myślałam, że nadaję się na detektywa. Gorączka pulsowała mi w skroniach i wiedziałam, że to zaczynają wychodzić skutki przemarznięcia podczas szalonej jazdy z Grytą. Ale warto było. Tylko kto mi uwierzy w tę przejażdżkę i całą resztę przeżyć na planie serialu? Już widzę miny ludzi z wydziału, kiedy im o tym opowiadałam!

Po paru dniach, kiedy przestałam już zarażać, ale wciąż jeszcze byłam za słaba, żeby wstać z łóżka po ostrej grypie, wieczorami zaczął przychodzić Kuba. Wygłupialiśmy się do upadłego i nigdy nie mogliśmy się dość nagadać. Opowiadał mi, jak będzie wyglądał egzamin na kaskadera, a ja, choć rozumiałam jego fascynację tym zajęciem, namawiałam, żeby nie ograniczał się tylko do tego i w przyszłym roku zdawał na studia.

- Wiesz, nigdy nie wierzyłem, że poradzę sobie z nauką, ale może spróbuję. Bo facet nie wie, na ile go stać, dopóki go dziewczyna nie doceni - spowaźniał, a ja wyczułam, że zbliża się do zakazanego tematu, i zaczęłam opowiadać jakąś bzdurną anegdotkę.

Któregoś dnia przyniósł z „Jupitera” sensacyjną wiadomość.

- Miałaś rację z tym Arnoldem! - wołał już od progu. - Znajomy Gryty załatwił nakaz rewizji i wiesz, co znalazła policja? Prawdziwy arsenał! Koleś urządził na strychu taki magazyn pukawek, jakby miał ambicję zaopatrywać wszystkich, co handlują bronią na Stadionie Dziesięciolecia. Zezwolenia na nią nie miał, rzecz jasna. Mówię ci, wynosili co tylko chcesz: od niemieckiego mausera, sztucer taki, po różne dubeltówki i pisto-

lety. Paralizator też miał... Do tego masę amunicji, sporo myśliwskich naboju, puste łuski. Serafin mówił, że niektóre takie same jak ta, którą znaleźliśmy na stadionie po postrzale. - Kuba zapalił się do militariów jak typowy facet, ale mnie zainteresowało coś innego:

- Po co on tyle tego nagromadził? Przecież chyba nie potrzebował na Grytę? Nawet na polowania po kryjomu to za dużo... Bo ja myślę, że to jednak on załatwił tego łosia, co mówili w radiu, nawet jeśli niechcący. A o drugim skłamał, skoro leśnicy nie wiedzą o żadnej obławie, którą według niego zorganizowali. Co tak się dziwisz? Policjant, który przesłuchiwał mnie w sprawie Arnolda, zadzwonił jeszcze, żeby się upewnić, że dobrze zanotował w protokole o tym łoszaku, bo rozmawiał potem z leśnikami i zeznania mu się nie zgadzały z moimi. Więc dowiedziałam się, że nic takiego się nie wydarzyło. Teraz widzę, że kowal zasiedział się wtedy w lesie z jakiegoś innego powodu... Ale co on miał zamiar zrobić z taką ilością broni?

Chłopak wzruszył ramionami, jakby to akurat uznawał za oczywiste.

- Wygląda, że kolekcjonował. A ty nie zbierasz niczego dla przyjemności?

Przekonałam się do teorii Jakuba dopiero, kiedy dodał, że policja znalazła również kasety z nagrany programem *Selekcja*, o obozie przetrwania dla kandydatów do elitarnej jednostki wojskowej „Grom”.

- W ośrodku mówią, że Arnold starał się załapać do komandosów, ale odpadł we wstępnym naborze. Nie przeszedł testów psychologicznych.

Dziwnie było spotkać Arnolda w „Jupiterze” tydzień po tym, kiedy tyle się o nim dowiedziałam. Minał mnie obojętnie, zdawkowo odpowiadając na zduszone „dzień dobry”. Czyli nie wiedział, że to ja go wyspałam - oficer śledczy dotrzymał słowa. Kował zachowywał się tak, jakbyśmy nigdy nie spotkali się na bagnach, więc może naprawdę wierzył, że go wtedy nie rozpoznałam. Albo to on nie rozpoznał mnie.

Mimo wszystko nie wrywałam się tak ze zwierzeniami na jego temat, gdybym w swej naiwności nie sądziła, że podejrzanego od razu zamkną w więzieniu, reżyser odzyska spokój, a Gruzin wreszcie będzie bezpieczny. Nic z tego - poliqa nie złapała Arnolda na gorącym uczynku, a poszlaki okazały się zbyt nikłe, żeby wytoczyć mu sprawę o działanie na szkodę reżysera; nawet ja nie widziałam w lesie twarzy prześladowcy. Będzie więc odpowiadał tylko za nielegalne posiadanie broni i pewnie nie dostał jeszcze nawet wezwania na rozprawę. Jedyne, na czym mi teraz zależało, to żeby nie zechciał i mnie jakoś zaszkodzić.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy minął mnie bez żadnych oznak złych zamiarów, choć pewnie umiałby je zamaskować. Zapomniałam o nim, kiedy tylko odnalazłam osobę, z którą umówiła mnie tutaj Ewka. Ona sama właśnie skończyła wywiad z szefową fundacji zajmującej się hipoterapią. Na potrzeby niepełnosprawnych dzieci oraz koni i wolontariuszy z ośrodka założonego przez tę kobietę miał zostać przekazany dochód z sylwestrowego festynu w „Jupiterze”. Do jej ośrodka przyjeżdżały również całe klasy na zielone szkoły, dlatego Ewka pomyślała, że to może mnie zainteresować.

I chwala jej za to. Czyż mogłam sobie wymarzyć lepszy temat na pracę semestralną?

- Nie wiem, jak ja ci się odwdzięczę! - Po rozmowie z szefową fundacji dopadłam Ewkę w hotelowym barze, gdzie rozgrzewała się herbatą i przeglądała notatki z wywiadu, na świeżo je uzupełniając. Pochwaliłam się plikiem materiałów, które dostałam wraz z serdeczną zachętą do odbycia u nich praktyk.

- Dzięki tobie nareszcie wiem, po co studiuję - promieniłam i omal nie rzuciłam się jej na szyję, ale powstrzymało mnie jakieś niesprecyzowane bliżej wspomnienie, więc tylko klapnęłam obok niej na krzesło.

Teraz to już naprawdę przyłożę się do nauki i zaliczę ten semestr, obiecałam sobie solennie. Zwłaszcza że liczne nieobecności przypłaciłam nadprogramowymi kolokwiami i pracami do napisania. Zuza Anna będzie musiała zrozumieć, że nie mam teraz czasu jej pomagać. Z książką o Grycie poradzi sobie beze mnie, bo choć na zajęciach bywa czasem nieobecna duchem, potrafi być dostatecznie zorganizowana w pracy nad tym, co pochłania całą jej uwagę. Może nie będzie zachwycona, ale co tam. Najważniejsze, żeby dopuścili mnie do sesji. Bo w końcu chyba znalazłam miejsce, gdzie moja wiedza z pedagogiki i zamiłowanie do koni wspaniale się ze sobą łączą i będą komuś bardzo potrzebne.

Ewka przeczekała ten wybuch entuzjazmu, po czym powiedziała:

- Wiesz, co mogłabyś dla mnie zrobić? Skontaktować mnie z właścicielem stadniny w Kostomłotach, chcę zrobić o nim inateriał.

*

Nie udało mi się poznać sekretu Mariolki i Serafina, za to obaj kaskaderzy zaskoczyli mnie wspólną tajemnicą. Ostatniego dnia zajęć na uczelni, tuż przed moim wyjazdem do Terespoła na Boże Narodzenie, wymęczoną nauką i niedotlenioną zabrali mnie wprost z uczelni do „Jupitera”.

- Niespodzianka - usłyszałam jako wyjaśnienie porwania, więc przez całą drogę skręcałam się z ciekawości.

- Mówcie szybko, o co chodzi, bo was obu zastrzelę!

Tylko śmiali się, że jestem taka niecierpliwa. Kubie zaraz też coś się skojarzyło:

- A propos, kowal przyłapał na włamaniu u siebie chłopaka, który już raz wcześniej zakradł się do jego kolekcji i wyniósł parę rzeczy. To ten młody postrzelił łosia, a nie on. Arnold bał się, że na jednym zwierzaku nie skończy, a jak dzieciaka złapia, to wygada, skąd ma broń. Dlatego taki był cięty na kłusowników.

To wiele wyjaśniało w zachowaniu naszego kowala, ale wobec tego jaki mógłby mieć powód, żeby dręczyć reżysera? Bo już myślałam, że Arnold sam miał na sumieniu pokątne łowy i dlatego nie w smak mu było promowanie przez Grytę zwiększenia liczby patroli konnych. Wprowadzenie tego pomysłu w Kampińskim Parku Narodowym na pewno przeszkadzałoby kowalowi w tej działalności, więc starał się nie dopuścić do rozwijania tematu w *Niestrudzonych*. To by pasowało do kukły z żądaniem wycofania się z realizacji zdjęć na tym terenie. Jeżeli nie o to mu chodziło, to czym się kierował? Albo czyje polecenia wykonywał?

W ośrodku czekały na nas dwa osiodłane wierz-

chowce. Odruchowo podeszłam do kasztanka i pogłas-kałam starego kompana po ciepłych chrapach w kolo-rze śmietankowych irysów. Serafin wycofał się dys-kretnie do hotelu. Patrzyłam zdumiona na Kubę, jak zaczyna odwiązywać rudego od barierki.

- Wskakuj na gniadosza, jest opłacony. Nie dam ci twojego, bo tylko na nim umiem się jako tako utrzy-mać - wyjaśnił z zakłopotaniem.

Myślałam, że źle słyszę.

- Uczyłeś się jeździć i nic mi nie powiedziałeś? Jak to?

Kuba przerzucił wodze przez szyję konia, zebrał je w garść na jego karku, ściągając przy tym głowę wierzchowca zbyt mocno, bo zwierzę rozwarło pysk i cofnęło się o krok, po czym wskoczył mu na grzbiet. Już z siodła odpowiedział zadowolony z udanej nie-spodzianki:

- Tak to. Serafin szkolił mnie w tajemnicy, żebyś nie zobaczyła, jak głupio wtedy wyglądam. Miałem na-dzieję, że kiedyś cię zaskoczę. I co, jedziemy na spacer?

No, spacer to rzeczywiście dobre określenie prze-jażdżki w tempie, które odpowiadało kasztankowi. Ale nie Faworytowi, który przez cały czas kłócił się ze mną, rwąc do biegu. Ponieważ hamowałam jego wy-ścigowe zapędy i nie udawało mu się postawić na swoim, posuwał się skosem, rzucał przed siebie pier-sią, bokiem brzucha, bokiem zadu - byle tylko wygrać sprzeczki z jeźdźcem. Ale nawet mimo tych niedogod-ności wędrówka po oszronionym Kampinosie, skrzy-piącym od mrozu i roziskrzonym zimowym słońcem, z Jakubem, dla którego był to pierwszy wyjazd na ko-

niu w teren - miała w sobie urok czegoś, o czym od razu wiadomo, że będzie się pamiętało przez całe życie.

W pobliżu Sierakowa usłyszeliśmy dalekie rzenie. Jakiś czas zabawialiśmy się w Indian, usiłując wytropić tego, kto tak ładnie nas pozdrowił. Świeży śnieg, na ścieżkach żadnych śladów kopyt poza tropami naszych wierzchowców. Więc którądy szedł koń, którego słyszeliśmy?

Zaskoczył mnie też Filip. Pod choinką, oprócz prezentu od dziadków, znalazłam paczkę z Niemiec, a w niej film o koniach fryzyjskich z polskim tłumaczeniem. Wiedział, że zachwycam się Gruzinem, więc mi to przysłał. Czy to znaczy, że przeboleał odrzucenie i możemy pozostać dobrymi znajomymi? Dołączył wizytówkę z nowym numerem telefonu; postanowiłam od razu z niej skorzystać, żeby podziękować i złożyć życzenia. Pewnie smutno mu w Wigilię samemu w obcym kraju.

- Cześć, mówi Broszka... Halo? - W słuchawce jakieś trzaski, potem cisza. - Filip?

Zamurowało mnie, gdy po drugiej stronie usłyszałam głos jego żony. W pierwszym odruchu chciałam się rozłączyć, ale mnie powstrzymała.

- Czekaj... Dawno chciałam ci podziękować za to, że nie pozwoliłaś Filipowi do siebie wrócić. Widzisz, myśmy wycofali pozew o rozwód. Przyjechałam z dziećmi na święta i zostanę w Niemczech tak długo, jak się da. Wzięłam urlop, bo rodzina najważniejsza. Cieszę się, że potrafiłaś to uszanować. Ja cię podziwiam, naprawdę... - głos jej się załamał i przekazała słuchawkę

mężowi. Czegoś tam życzyliśmy sobie z Filipem, ale w ogóle nie potrafiłam skupić się po tym, co usłyszałam od Joanny.

To ja cię podziwiam, rozmyślałam parę godzin później, wracając z pasterki. Bo rozumiem już, jak ciężką drogę wybrałaś. Wiem, że Filip mnie nie kochał, tylko mu się podobałam i szukał u mnie potwierdzenia słuszności i niezwykłości swoich planów zawodowych. Uczucie, które tak często deklarował, jakby sam siebie musiał przekonywać o jego istnieniu, było wymówką i usprawiedliwiało go przed własnym sumieniem. Także za brak odpowiedzialności za innych. Teraz wiem, że on i tak pojechałby na staż, nawet gdybym swego czasu nie namawiała go do odkurzenia dawnych marzeń. Przypadkiem nasze zdania pokrywały się w tej kwestii, ale gdybym była przeciwna, też by się nie zawahał przed wyjazdem. Ba, znalazłby inną zachwyconą nim dziewczynę, która nie stawiałaby mu żadnych warunków i przytakiwała we wszystkim. Bo jego prawdziwa i jedyna miłość to weterynaria. Nie ja i nie Joanna. Może zostać wielkim naukowcem, osiągnąć to co chce albo jeszcze więcej, ale będzie ranił bliskich, którzy zawsze pozostaną na drugim planie. Żona chyba się z tym w końcu pogodziła, ja bym nie umiała. Byłoby mi go za mało, bo dla mnie najważniejsze w związku jest wzajemne wsparcie, życie ze sobą, a nie obok siebie. Na przykład z Kubą zawsze możemy na sobie polegać. Czemu to w nim się nie zakochałam?

- Cześć, wesołych świąt! Jedziemy do ciebie z Kostomłotów. Można, co? - Kuba wyrwał mnie z głębo-

kiej fazy snu tuż przed południem i nie czekając na odpowiedź, niefrasobliwie się rozłączył.

Już wiem, dlaczego do niego nie wzdycham. Doga-
dałby się z moją sześćioletnią kuzynką, nadają na tych
samyach falach!

A jednak Ewce to chyba nie przeszkadza. Nie spo-
dziewałam się, że to z nią przyjedzie. Myślałam, że
z Anią, ale ona się przeziębila.

- Wejdźcie, proszę - zachęciłam prawie sympatycz-
nie, po czym siłą wciągnęłam ich do przedpokoju, do-
strzegłszy sąsiadkę, która krzątała się po obejściu. Choć
i tak na nic się to nie zda, bo jeśli nawet nie zauważyła
gości, to punto matki Jakuba stało przed domem. Przy-
jechali nim w odwiedziny do kuzynów. A Ewka oczy-
wiście nie miała kiedy pisać artykułu o Wujku, tylko
drugiego dnia świąt. I stanowczo za dużo się śmiała.

Babcia też najwyraźniej była pod urokiem kuzyna
Borków. A Koźbielowa, zgodnie z przewidywaniami,
doznała jednego ze swych jasnowidzących stanów,
w których bez zagładania do domu widzi, że w jej
kuchni coś się właśnie skończyło.

- Soli? - zagadnęła babcia z podejrzaną uprzejmo-
ścią, wychodząc na próg. Ale tym razem chodziło
o mleko do kawy dla gości.

- Bo tak człowiek zawczasu nie pomyśli, do ciasta
drożdżowego wszystko zużyłam, na makowce, a zaraz
przyjadą szwagry... O, u was też, widzę, ktoś jest? A to
nie czasem ten aktor z gazety, którą wam przyniosłam,
bo byście nawet nie wiedzieli, że wasza wnuczka jest
na okładce?

Zanim babcia zdążyła uporać się z mlekiem, sąsiad-

ka wypytała mnie o studenckie życie, a wychodząc, nie omieszkła pouczyć szeptem:

- Ja ci dobrze radzę, ty go odbij tej pannicy, bo wiadać, że dobry chłopak jest. Zobaczysz, babcia tobie to samo powie.

No cóż, witamy w domu.

Lolita urodziła pięknego ogierka, choć wcześniaka. Wujek, jak to hodowca, marudził, że wolałby klaczkę.

- Co pan, taki fajny ten mały, aż szkoda że dwa na raz się nie urodziły - zachwycał się Kuba. - To by dopiero była radość, co nie?

Malec popatrzył na chłopaka z wyrzutem, merdnął ogonkiem i schował się pod brzuch matki. Za chwilę ssał pełną parą.

- Uchowaj Boże, u koni podwójna ciąża to niedobrze - cierpliwie tłumaczył Wujek. - Najczęściej kończy się poronieniem, a jeśli nawet nie, to źrebaki przychodzą na świat zwykle takie słabe, że padają wkrótce po urodzeniu. Na szczęście bliźniaki u tego gatunku trafiają się niezwykle rzadko.

Przywiozłam ze sobą film o fryzach, którego u dziadków nie było na czym obejrzeć. Zaczynał się prezentacją słynnej czwórki ogierów w reklamowym zaprzęgu Harrodsa, londyńskiego domu towarowego. Były tam też nagrane pokazy ujeżdżenia i sztuki cyrkowej. A także tradycyjne holenderskie sjees, czyli dwukołowe, bogato rzeźbione pojazdy, do których od dwustu lat zaprzęga się wyłącznie konie fryzyjskie i wiezie nimi młodą parę do ślubu. No i oczywiście wyścigi zaprzęgów sportowych.

Na ekranie piękny, jednolicie czarny ogier sunie zachwycającym kłusem. Otoczony chmurą grzywy unosi wysoko przednie kopyta, a jedwabiste szczotki pęcino-we powiewają i...

- To przecież Gruzin! - podbiegam do telewizora i stukam palcem w dolną część ekranu - Zobaczcie, tak samo chodzi!

Dwie prawe, dwie lewe... Nie tylko chód, ale i wygląd zgadza się w każdym szczególe.

- Ciekawe, gdzie to nagrywali i w którym roku? Muszę spytać Filipa, może on będzie mógł dowiedzieć się czegoś na miejscu... Mogę stąd od razu zadzwonić? - nie umiem już myśleć o niczym innym. Chcę się wreszcie dowiedzieć, jakie traumatyczne przeżycie ma za sobą ten koń.

Ewka namówiła nas na jeszcze jedną wycieczkę. Do stadniny w Janowie Podlaskim, niecałe czterdzieści kilometrów od Terespoła. Na miejscu okazało się, że ma w okolicy upatrzony kolejny dziennikarski temat.

Zaparkowaliśmy na jednej z wąskich uliczek miasta.

- To chyba tutaj, wysiadamy. Na pewno polubicie Sylwię. Jest mniej więcej w naszym wieku, a jak maluje! Wypatrzyłam jej obrazy w jednej z warszawskich galerii. Dopiero zaczyna, ale założę się, że jeszcze o niej usłyszycie - paplała z wiecznym podekscytowaniem.

W każdym razie malarka okazała się sympatyczna i też koniara, sądząc po dominującej tematyce pastelii, którymi zawieszono były chyba wszystkie ściany w mieszkaniu na poddaszu.

- Ładna sztuka - gwizdnął cicho Jakub, ale tak, żebyśmy usłyszała.

- Mężatka, nie widzisz? - odparowałam głośniej, mimo świadomości, że specjalnie się ze mną drażni. A ja wciąż jak ten pies ogrodnika.

Obdarzył mnie niewinnym spojrzeniem.

- No coś ty, przecież obraz chwałę.

Mieliśmy sporo czasu na oglądanie obrazów, bo dziewczyny zagłębiły się w rozmowie i chichotały przy tym, jakby znały się nie od dziś. Kiedy już obejrzałam wszystkie konie w makach, portrety, pejzaże i niesamowite monstrialne ważki, podczas gdy Jakub nie ruszył się dalej niż sięgał ostatni obraz z serii aktów kobiecych, zawołały nas do towarzystwa.

- Zobaczcie, to mój najnowszy olej. Jeszcze niedokończony.

Na płótnie Gruzin kłusował przez fioletowe łany. Miał sierść jak z muślinu, a główki ostów i ich kolczaste liście jeżyły się na jego boku pociągnięciami pędzla tak ostrymi, że przez ów kontrast człowiek miał wrażenie, iż odczuwa ich ukłucia na własnym ciele. Zakochałam się w obrazie od pierwszego wejrzenia, bo było w nim wszystko to, co wyzwałał we mnie żywy Gruzin.

- Nic nie poprawiaj, ja go od ciebie kupię. Mnie się podoba właśnie taki - podekscytowałam się jak na aukcji dzieł sztuki. Będę miała pamiątkę z czasów pracy w *Niestrudzonych*. Ewka pokiwała głową jakby chciała skomentować: „A nie mówiłam?”. Uszczęśliwiona Sylwia pobiegła po czasopismo ze zdjęciem, na którym się wzorowała.

- Artykuł o mnie! - ucieszył się z kolei Jakub, bo nie wiedzieliśmy, że materiał Ewki już się ukazał. Nawet autorka jakoś go przegapiła w przerwie świątecznej. Wszyscy rzucili się czytać, a ja wpatrywałam się w jedną z fotografii, które ilustrowały wywiad. W tle portretu Kuby na całą stronę widać było Ignaca z derką Gruzina. Niósł ją w stronę siodłami. Po co ją stamtąd wyjmował? Przecież ta sesja zdjęciowa była robiona, kiedy Gryta ukrywał swego ogiera na Podlasiu! Pamiętam, że Ignac nie przywiózł tej derki, gdy przyjechał po Hubertusie do Kostomłotów. Zamiast serialowego gwiazdora zabrał wtedy do Łomianek Apacza. Było już zimno, a fryzy są ciepłolubne, więc przez następny tydzień Borek okrywał Gruzina starym kocem. Człowiek do wszystkiego tłumaczył się wówczas, że zapomniał zabrać derki z „Jupitera”, a przecież rzadko zdarza mu się nie dopatrzeć czegoś przez roztargnienie. Tutaj z kolei wygląda to tak, jakby właśnie przyniósł ją spoza ośrodka, może z domu Gryty albo z garażu. Jakby przechowywał ją do tej pory gdzieś poza siodlarnią „Jupitera”, a teraz musi zwrócić, skoro na jutro ma jechać po Gruzina i będzie koniowi potrzebna.

Co ten facet kombinował?

Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy wróciłam do Warszawy na sylwestra, zawalowana śnieżycą stolica wydała mi się obca i niegościnna, tak odzwyczaiłam się od wielkomiejskiego zgiełku. Było zimno i wiał silny wiatr, przechodnie strozyli kołnierze albo kaptury obszyte modnym futerkiem, a w tramwaju ciekło ze złożonych parasoli.

W Łomiankach jak nigdy drażnili mnie chłopcy swoim zwyczajem zajeżdżający na głównej ulicy motocyklowo pozbawione tłumików. I jeszcze to nasze brzydkie, wiecznie niedogrzone mieszkanie, do którego muszę się na nowo przekonywać po tygodniu spędzonym w domowym ciepełku. I które od Nowego Roku będziemy dzieliły z Ewką. Sama nie wiem, jak to wyszło, że zaproponowałam jej przeprowadzkę, kiedy zaczęła się skarżyć na niedogodności życia w akademiku. Od słowa do słowa zgadałyśmy się, że mamy z Mariolką jeden wolny pokój; Mariolka też się zgodziła, bo będzie dla nas taniej... Więc o co mi teraz chodzi? O to, że Kuba przyjechał speq'alnie dzień wcześniej, żeby pomóc Ewce w przewiezieniu rzeczy? A może czuję się nieswojo na myśl, że czeka mnie seria wieczno-

rów w tym pokoju zwierzeń? Bo po artykule o Jakubie, który całkiem fajnie wypadł, zapytałam, co z tym wywiadem, który chciała zrobić też ze mną i który chyba wyleciał jej z głowy przy tylu innych zajęciach.

- Nie zapomniałam, ale mam lepszy pomysł. Moim zdaniem to nadaje się na książkę. - Przez chwilę myślałam, że żartuje, ale proponowała całkiem serio. - Zastanów się tylko, jak chciałabyś opowiedzieć swoją historię, a ja spróbuję ją napisać.

No to się zastanawiam i wychodzi mi, że nic tu się nie trzyma kupy. Albo to ja nie potrafię spojrzeć na rzeczywistość z właściwej strony.

W kuchni zastałam Mariolkę na tępych wpatrywaniu się w hańdę patchworków. Spiętrzyła na kuchennym stole chyba wszystkie swoje dzieła, które znajdowały się w domu. Na szafce obok leżał sernik wielkości anteny satelitarnej, wygryziony do połowy. W garnkach bulgotał domowy obiad i ogrzewał wnętrze swojskim aromatem. Cmoknęłam ją w policzek i z aprobatą pociągnęłam nosem. Nawet na mnie nie spojrzała i wyjaśniła matowym głosem:

- Postanowienie noworoczne numer jeden: wszyscy zamierzają zacząć się odchudzać, to ja zrobię odwrotnie. Koniec z dietami cud.

Uff, co za ulga!...

- A to jak mam rozumieć? - wskazałam na imponujący stos ciuchów. - Robisz miejsce w małym pokoju?

- To jest moje postanowienie numer dwa: koniec z wymyślaniem i szyciem patchworków. Myślisz, że można je wrzucić do pojemnika PCK, czy też nie zechcą?

Podniosła głowę, a smętnie przyklapnięta grzywka pchała się jej do oczu. Niemożliwe, żeby w ciągu tygodnia stracić serce do ulubionego zajęcia tak bardzo, żeby nie móc patrzeć na rzeczy, którym poświęciło się tyle czasu i uwagi. Coś się musiało stać. Nie popuściłam, póki nie dowiedziałam się co.

- Serafin był tu dziś rano - wyjaśniła w końcu. - Nie mówiłam ci, żeby nie zapeszyć, ale wcześniej wzięłam ode mnie parę najlepszych projektów, żeby pokazać je temu twojemu reżyserowi. Strasznie mi się marzyło, żeby Gryta zatrudnił mnie przy kostiumach albo przynajmniej gdzieś polecił. Bo w galerii nie sprzedałam jeszcze ani jednej rzeczy. Ale on nie jest zainteresowany współpracą. Dopiero teraz widzę, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu... - podbródek zaczął się jej trząść, więc zajęła ręce bezmyślnym przekładaniem sukienek, które leżały najbliżej. - W dodatku ten cały Serafin przywiózł mi je, bo pomyślał, że zechcę ubrać się na bal sylwestrowy w którąś z tych kiecek. Kpiarz jeden, doskonale wie, że jutro nigdzie nie wychodzę! Cud prawdziwy, że w ogóle sobie o mnie przypomniał. Chciałam mu wygarnąć, co sędzę o takim zachowaniu, ale za szybko się zmył - trochę sobie chlipnęła.

- Nie rycz, Ewka napisze artykuł albo może Ireń uda się namówić, to nawet lepiej, i jeszcze będzie głośno o twoich wykrojach, zobaczysz. - Nagle coś mnie zastanowiło w jej słowach. - A co on tak z tym balem wyskoczył?

Mariolka popatrzyła nieco przytomniej i wreszcie zaczęła myśleć.

- O kurczę! Naprawdę tak uważasz? Ze próbowałam mnie zaprosić, a ja go zniechęciłam?

I poryczała się znowu.

Przeprowadziłam zorganizowane śledztwo i do wieczora sprawa się wyjaśniła. Owszem, kaskader miał takie zamiary i to nie tylko wobec Mariolki. Pracownicy „Jupitera” w ostatniej chwili dostali zaproszenia na bal organizowany w nowej hali po zakończeniu festynu, z których nie chciały lub nie mogły skorzystać niektóre gwiazdy i VIP-y. Serafin użył swego wdzięku i wyłudził nawet dwa zaproszenia, bo zamierzał pokazać się z obiema naszymi dziewczynami u boku. Jak twierdził, żeby nie wygasła jego legenda pierwszego playboya wśród kaskaderów. Tak naprawdę nie chciał zostawić na lodzie Ewki, z którą wcześniej umówiliśmy się na wspólne witanie Nowego Roku w naszym mieszkanku. Bo uznał za oczywiste, że ja pójdę na tę imprezę z Jakubem. Zobaczymy.

- Czy ty wiesz, jaka niesamowita historia wiąże się z narodzinami Gruzina? - Filip zadzwonił w sylwestra z samego rana i, zapominając o życzeniach noworocznych, zaczął od najważniejszego: ten na filmie to koń Dawida Gryty, kiedy jeszcze do niego nie należał. Filip poznał niemieckiego hodowcę, zbadał rodowód Gruzina. Daleki od swojej zwykłej powściągliwości, opowiadał trochę bezładnie i niewyraźnie, więc nie wszystko mogłam zrozumieć. Poprosiłam, żeby zwolnił.

- Wyślę ci e-mail, bo tego nie da rady opowiedzieć w dwóch zdaniach. No naprawdę, ty mnie ozłocisz!

Jeśli jeszcze trafię na trop tamtego... Nieważne. To jest temat na doktorat!... Będą o mnie pisać w podręcznikach genetyki. I to dzięki tobie!

Pił już szampana czy co?

- Czekaj, a kogo ty chcesz szukać?

Ale już nie zdążyłam się dowiedzieć. Mam przeczytać w e-mailu, zaraz mi go wyśle. Tyle że tak zaraz to ja nie mam dostępu do internetu, dopiero po feriach na uczelni. Chyba że skoczę do jakiejś kafejki albo Zuza Anna pozwoli mi sprawdzić pocztę w swoim komputerze. Powinna się zgodzić, skoro ja nie odmówiłam jej przysługi, kiedy okazało się, że pilnie mnie potrzebuje i to jeszcze w takim dniu. Poprosiła, żebym przywiozła reżyserowi od niej jedną rzecz, którą on musi mieć na pokazie w „Jupiterze”.

- Bo sama nie czuję się najlepiej i nie dam rady poprowadzić samochodu - tłumaczyła się przez telefon.

Pojechałam do niej dość niechętnie, lecz nie wypadło inaczej, skoro ostatnio tak haniebnie zaniedbałam naszą współpracę. Liczyłam, że wizyta nie potrwa długo i niewiele spóźnię się na festyn. W „Jupiterze” byli już wszyscy znajomi. Tłumy publiczności i dziennikarzy gromadziły się w oczekiwaniu na punkt kulminacyjny programu: spektakl *Artyści dzieciom niepełnosprawnym*, czyli pokazy konne w reżyserii Dawida Gryty.

Zuza Anna wyglądała dziwnie, kiedy otworzyła mi drzwi. Pijana, w szlafroku, z kieliszkiem szampana w dłoni.

- Przecież dziś sylwester - zaśmiewała się, odrzucając w tył rozczochrane włosy. - Ale masz minę!

Wpuściła mnie do środka. Nadal nic się tu nie zmieniło, pomyślałam, nawet alarmów jeszcze nie założyli ci spece od Gryty. W salonie jednak zarejestrowałam kilka różnic. Przede wszystkim pomieszczenie stało się bardziej przestronne, bo scenarzystka poupychała zalegające wszędzie stosy papierów do kartonowych pudeł z opisem zawartości. Nad biurkiem powiesiła czarno-białą, powiększoną do znacznych rozmiarów odbitkę z serii tych, które kiedyś u niej oglądałam. Fotografia pochodziła najwyraźniej z jej studenckich czasów. Przedstawiała młodego Dawida Grytę, który trzymał pod rękę rozpromienioną dziewczynę w śmiesznej, bo od dawna niemodnej sukience i lakierkach z kokardką. Podobnych czółenek widziałam u niej z pięć par, jakby teraz też specjalnie szukała w sklepach ulubionego fasonu z młodości. Czy dla Zuzy Anny czas naprawdę zatrzymał się z chwilą śmierci ojca? Bo wszystko w jej otoczeniu na to wskazywało.

- To zdjęcie było niegdyś zamieszczone w porannej gazecie, przy ogłoszeniu o naszych zaręczynach.

Aż podskoczyłam, czując na karku jej oddech. Nie wiedziałam, że stoi tak blisko. O zaręczynach zresztą też nie. Odsunęłam się instynktownie, bo jej oczy miały dziwny wyraz. Zalśniły nostalgicznie na wspomnienie tamtych czasów, ale nie to mnie tak w nich przerażało... Ona nadal go kocha, zrozumiałam, albo tak jej się wydaje. Dlatego zawsze tak wychwała reżysera, nawet gdy inni go krytykują. I stąd ta mocno pochlebna monografia, na której autorce zależy chyba bardziej niż bohaterowi. Ależ ta kobieta musi się dręczyć! Jeżeli cierpi tak jak ja tuż po rozstaniu z Filipem, to

nie wiem, jak potrafiła wytrzymać przez te wszystkie lata.

- Napijesz się czegoś? - przeszła do porządku nad niespodziewanym wyznaniem. Bo było niespodziewane, przynajmniej dla mnie. Co prawda wcześniej raz czy dwa przemknęła mi przez głowę myśl, że może ona była tą miłością Gryty z czasów łódzkiej filmówki. Ale nawet jeżeli kiedyś chodzili ze sobą, dziś nie powinno to mieć większego znaczenia. Tym bardziej, że świetnie się dogadują na polu zawodowym. Przez tyle czasu zdażyłyby przygasnąć nawet najgwałtowniejsze uczucia, rozumowałam, bo żaden normalny człowiek nie jest w stanie przeżywać intensywnych emocji tak długo. Jednak ona potrafiła je zatrzymać. Może dlatego, że tak rzadko wychodziła do ludzi ze swego prywatnego świata? Gdybym ja zamknęła się w pokoju i w samotności pograżała we wspomnieniach, pewnie jeszcze nie doszłabym do siebie po rozstaniu z Filipem.

Ale dziwnie jest dowiedzieć się czegoś takiego o swoim wykładowcy... Ta wyeksponowana w gabinecie fotografia i sposób, w jaki skomentowała ją Zuza Anna, wprawiły mnie w zakłopotanie. Zupełnie jak wtargnięcie nie w porę do charakteryzatorni, kiedy przekonałam się, jak to jest naprawdę z oszłamiającą fryzurą czołowego amanta polskiego filmu. Tylko że to niemal jawne przyznanie się Zuzy Anny do nikomu niepotrzebnego uczucia było o wiele bardziej żenujące. I smutne. Kiedy scenarzystka wytrzeźwieje, nie będzie mogła odżałować, że tak się przede mną odsłoniła. Po co mi to?

Tymczasem nalała po kieliszku szampana, wyjęła

z barku herbatniki i posypała nimi srebrną tacę. Zaczęły mnie denerwować jej ślamazarne ruchy, bo każdy z nich opóźniał mój powrót do „Jupitera”. Oni tam pewnie już zaczęli pokazy kaskaderskie, a ja bezwolnie poddaję się scenariuszowi tej kobiety. Miałam nieodparte wrażenie, że zaplanowała sobie to spotkanie w każdym szczególe i dąży do czegoś, co trudno mi na razie odgadnąć. Wyjdź z tego mieszkania, podpowiadały mi intuicja i doświadczenie po jedynej spędzonej tutaj nocy. Ale częściowo zniewolona autorytetem profesorki i jej przygnębieniem, a trochę z ciekawości, nie zaprotestowałam, kiedy poprosiła o jeszcze jedną przysługę.

- Proszę, usiądź i rozgość się, bo to trochę potrwa. Chcę, żebyś coś przeczytała, zanim Dawid się z tym zapozna. Włączę telewizor, za chwilę powinni dać relację z festynu, to sobie popatrzymy kątem oka.

Podeszła do komputera, żeby włączyć odpowiedni program, bo nie miała zwykłego odbiornika. Wracając, zgarnęła z biurka zbindowany wydruk sporej objętości. Jak nie książka o Grycie, którą dopiero co skończyła opracowywać. Ale nie.

- Scenariusz thrillera - wyjaśniła. - To mój pomysł, inspirowany historią Lolity. Ostatnio sporo nad nim pracowałam i wprowadziłam istotne zmiany, przede wszystkim w zakończeniu. Myślę, że teraz jest naprawdę mocne... Liczę na twoją opinię, która opowieść, moja czy dziennikarki, jest lepsza, bliższa życiu i bardziej trzyma w napięciu. Tylko szczerze.

Trąciło uczelnią, a nie miałam ochoty wysłuchiwać teraz kolejnego wykładu o scenariopisarstwie. Tym

bardziej, że Zuza Anna swoim zwyczajem oczekiwała ode mnie aktywności. Co ja jej mam powiedzieć? Że jest najlepsza w swoim fachu i niech spada, bo ja muszę na festyn?

Zerknęłam na ekran, bo właśnie pokazali prowadzących program, a zaraz po krótkiej prezentacji rozpoczął się show harcerzy z grupy Serafina. O nie, wcale ci nie chodziło o dostarczenie Grycie czegoś pilnego, tylko o sposób na to, żeby zwabić mnie do towarzystwa, rozmyślałam z rosnącą niechęcią. Baba się upiła, zebrało jej się na chandrę i marudzi, a mnie każe potwierdzać swoją zawodową wartość. Rozumiem, że samotny wieczór sylwestrowy to niemiła perspektywa, ale w tej chwili niewiele obchodzi mnie jej pretensje do losu. Z taką urodą mogłaby mieć niejednego, gdyby nie upierała się tak przy Grycie, który zostawił ją dla sztuki. Co ja na to poradzę?

Muszę się szybko zachwycić scenariuszem, nie w czytując się za bardzo, przejrzeć raz dwa i zmykać, bo inaczej przegapię najlepszy numer - niespodziankę Gryty, który pojedzie oczywiście na cudnym Gruzynie.

Sobowtór diabła. No, nie najgorszy tytuł i od razu kojarzy się z serialową postacią, z której wymyślenia znana jest Zuza Anna. Otworzyłam scenariusz na pierwszej stronie. Nie, to niemożliwe! Nie dowierzałam temu, co czytam, więc przewróciłam na następną i kolejne... Jeden po drugim, na wzór scen filmowych, były tam opisane wypadki Dawida Gryty.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Prawda, że trzyma w napięciu jak mało który film? Może ciasteczko? - zagadnęła Zuza Anna pogodnie, przesuwając w moją stronę paterę ze słodkościami. Scenariusz odłożyłam jak najdalej od siebie, jakby był zdechłym wężem, ale on wciąż tam leżał, a to znaczyło, że naprawdę istnieje, że - co gorsza - zaraz zobaczymy realizację końcowej sceny i że tym razem obejdzie się bez dubli.

Scenarzystka przetrzymała mnie aż do występu ulubieńca, twierdząc, że z nikim nie oglądałoby się jej tego tak dobrze jak ze mną. Aż nadto znała moją fascynację Dawidem Grytą jako reżyserem i aktorem, a przede wszystkim świetnym jeźdźcem, oraz moją ogromną sympatię dla Gruzina. Teraz będzie miała dodatkową satysfakcję, patrząc, jak przeżywam śmierć ich obu. Sama się przekonam, jak bezradny w obliczu realnego zagrożenia jest heros z ekranu.

- Całe życie grał, jak mu kazałam. Nie umrze inaczej niż według mojego scenariusza - uzupełniła poufnym tonem przyjaciółki, która zwierza ci się z sekre-

tów postępowania z facetem. W jej opanowaniu było więcej szaleństwa niż gdyby zerwała się z fotela, zaczęła krzyczeć i drzeć włosy w obłąkańczym transie. Wtedy może przynajmniej wiedziałabym, że trzeba stąd jak najszybciej zwiewać i zrobiłabym to. A tak bałam się uczynić jakikolwiek ruch, żeby nie spowodować zachowania, którego skutków nie byłam w stanie przewidzieć. Siedziałam jak widz w kinie, niezdolny ruszyć się sprzed ekranu aż do finałowej sceny thrillera. Widziałam na monitorze, że jest już za późno, żeby ratować reżysera, ale to jeszcze nie było najgorsze. Bo czułam, że na jego unicestwieniu się nie skończy. Że i mnie coś grozi ze strony wariatki. Najlepiej byłoby wykorzystać moment jej nieuwagi i rzucić się do drzwi, choćby bez kurtki. Ale nie potrafiłam się przemóc.

Wśród burzy oklasków na ujeżdżalni pojawił się właśnie Dawid Gryta. Jego czarny uniform stapiał się w jedno z żałobną suknią fryzjijskiego ogiera. Dla kontrastu koń miał czerwone owijki na nogach, a jeździec - rogaty hełm Wikingów, też barwy ognia. Czyżby oryginalny kostium miał być wariacją na temat stroju świętego Mikołaja?

Publiczność w każdym razie wyła z zachwytu. Z każdej strony wozu transmisyjnego tłoczyli się ludzie, dla których zabrakło siedzących miejsc, a dalej na trybunach widzowie wstawali i wychylali się ponad głowami sąsiadów, żeby filmować albo robić zdjęcia.

Gruzin wydawał się wspanialszy i piękniejszy niż kiedykolwiek, a dla mnie jeszcze bardziej niedostępny. Wkroczył na arenę nabuzowany, jak na dopingu. Sta-

pał z właściwą sobie gracją, jak gdyby świadomie popisywał się unikalnym chodem. Kiedy stanął w świetle jupiterów i rozległy się brawa kilkutyśycznej publiczności, a z głośników ryknęła muzyka, nie był w stanie wytrzymać nadmiaru wrażeń. Raz po raz wspinał się, kręcił, nie mógł ustać w miejscu, a jeździec, ściskając w jednej dłoni mikrofon a w drugiej wodze, próbował się na nim utrzymać, nie przestając zabawiać publiczności:

- Spójrzcie państwo na tego diablika! Jak się puszy, jak nie może się doczekać, kiedy pokażemy państwu, czego się ostatnio razem nauczyliśmy - z wdziękiem bagatelizował zniecierpliwienie wierzchowca, choć ledwie panował nad nienaturalnie pobudzonym zwierzęciem. Odrzucił mikrofon prowadzącemu, który bał się podejść zbyt blisko, i ukłonił się w stronę łoży honorowej jak na prawdziwych zawodach. Kto by pomyślał, patrząc na sławnego reżysera, że w pracy taka z niego piła. I że być może wypowiedział właśnie ostatnie słowa w swoim życiu.

Ruszyli. Przed nimi serpentyna przeszkód podtrzymywanych przez uśmiechnięte Mikołaje z logo głównego sponsora festynu. Ogier skacze z nerwem, przyspiesza po każdej przeszkodzie, nieomal dyktuje tempo. Zbliży się do bandy, błyski fleszy odbijają się od czerni spoconego ciała jak błyskawice. Zawraca, galopuje teraz wzdłuż lustrzanej ściany, dumy właściciela ośrodka. Z pozycji kamerzysty widzę dwa konie biegnące równolegle obok siebie, jak na wyścigach.

Dwa konie.

Dwa *identyczne* konie.

Gruzin zaczyna ponosić. Błysk olśnienia. Zuza Anna nie wyjaśniła tego w swoim scenariuszu, ale już wiem: to nie jest Gruzin. I wtedy w centrum Łomianek to też nie był on. Ani u nas, kiedy o mało nie poturbował staro Borka. Uderza mnie Filipowe: „Jeśli trafię na trop tamtego...”. Więc to tak! Scenarzystka nie kazała naszprycować Gruzina jakimś świństwem, jak się tego obawiałam, ani też nie przypomina mu się żaden wstrząsający dramat z przeszłości. Ona po prostu znalazła sobowtóra! Do tego w takim samym wieku, a nawet z inochodem. Prawdopodobnie brata naszego gwiazdora. Bo mimo że końskie bliźniaki rzadko rodzą się zdrowe i osiągają dojrzałość, nie jest jednak wykluczone, że może się tak zdarzyć! Tyle że widocznie jeden z braci przyszedł na świat ze zwichrowaną psychiką. Jak wpadnie w amok, wrywa się spod kontroli człowieka i ponosi na oślep, nie reagując na żadne działania. Słyszałam o takich koniach zabójcach. W szale tracą instynkt samozachowawczy i mogą zabić się razem z jeźdźcem, na przykład wpadając na ścianę. Już raz Grycie udało się uratować przed roztrzaskaniem o bramę zastawioną wozem transmisyjnym, właśnie dzięki pękniętemu popręgowi. Po raz drugi - kiedy nie mógł pojechać na Gruzynie w gonitwie świętego Huberta, bo koń skaleczył nogę w podróży. Do trzech razy sztuka? A może to naprawdę tylko film?

Gryta do reszty stracił panowanie nad wierzchowcem. Dubler Gruzina z wybałuszonymi ze strachu oczami i zadartym łbem pocwałował na oślep przed siebie, wprost na przeciwległą ścianę. Staranował de-

korację w kształcie ogromnego stroika i w uprzęży ze zwójów lampek choinkowych powlókł za sobą świerkowe gałęzie przez pół ujeżdżalni.

Tłum wiwatował. Większość dziennikarzy i publiczności nie miała pojęcia, co naprawdę się dzieje. Cieszyli się, że reżyser tak wspaniale pędzi w girlandzie kolorowych światełek, a kiedy je zgubił, oczekiwali zapowiedzianego numeru - niespodzianki. „To zwierzę jest wściekłe” - huczały mi w głowie krzyki ludzi z przystanku, którzy w centrum Łomianek szykowali obławę na Gruzina. Wtedy podśmiewałam się w duchu z ich naiwności, a teraz sama miałam ochotę krzyknąć: „Niech ktoś zabierze stąd tego czarnego diabła!”. Że też od razu te słowa nie dały mi do myślenia!

Mur zbliżał się w zawrotnym tempie, a ja jeszcze czekałam na cud, który powstrzyma to, co nieuniknione. Gryta usiłował skrócić, ale mimo jego wysiłków, wędzidło ślizgało się w otwartym pysku fryza, jakby był drewnianym koniem na biegunach. O zatrzymaniu go też nie było mowy. Nic nie czuł.

- Skacz! Niech pan skacze z konia! To dummkoller! - Serafin wyrwał mikrofon prezenterowi i biegł na ratunek.

Ale reżyser za bardzo się bał albo zbyt mocno wierzył w swoje siły, żeby posłuchać dobrej rady. Dziesięć metrów dzieliło go od betonowej ściany. Kaskader wskoczył pomiędzy mur a rozpędzonego potwora. A potem, mogłabym przysiąc, wszystko działo się w zwolnionym tempie, jak najważniejsze sceny w *Niestrudzonych*. Przynajmniej ja tak to zapamiętałam.

- Głupi, stratuja go - syknęła scenarzystka na wi-

dok Serafina. Drgnęłam, bo zupełnie zapomniałam o jej obecności. Twarz kobiety zmieniła się, stała się zła i zacięta, ale nawet ten wyraz nie popsuł harmonii jej rysów.

Dummkollery. Raq'a, tak Filip nazywa konie z kręćkiem. Ponure i zawzięte, trudne do opanowania i nieprzewidywalne jak Zuza Anna dummkollery są niešťczęśliwymi ofiarami złych wspomnień albo nazbyt wrażliwych nerwów, a często obu tych rzeczy razem. Nie ujawniają tego typu zachowań na swobodzie, ale jedynie w pracy - bo to zintensyfikowany do szaleństwa bunt przeciw jakiemuś ograniczeniu, które stwarza człowiek. Takie konie są zawsze nerwowe, mocno pobudzone i zdają się wciąż szukać okazji, żeby ponieść. A kiedy im się uda - nie zważają na nic, bo nie widzą drogi przed sobą.

Serafin musiał zdawać sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa - w ułamku sekundy zdecydował się zaryzykować życie. Wyskoczył wprost przed karosza. Ten, goniąc bez opamiętania, białymi płatami piany znaczył szlak swego biegu. W ostatniej chwili kaskader cofnął się o krok, wyliczywszy odstęp z matematyczną precyzją. Chwycił za grzywę przebiegającego obok ogiera i skrzył jego łeb mocno w bok. Koń stracił rozpęd, jego zadem zarzuciło jak tylnym kołem roweru, kiedy hamuje się tylko przednim hamulcem. Niewiele brakowało do wywrotki. Muskularny fryz zachwiał się i prawie ukląkł; z wykreconą nienaturalnie głową przypominał zranionego podczas korridy byka. Zrobiło mi się go żal, ale to był chyba jedyny sposób na to, żeby dummkoller się ocknął.

Bo rzeczywiście oprzytomniał. Dał się opanować. Nie zdążył jednak zatrzymać się w porę i wpadł łopatką na chropawą ścianę, całe szczęście niegroźnie. Tak że kiedy Serafin puścił go i dla niepoznaki ukłonił się oniemiałym z wrażenia widzom, reżyser zdołał ukończyć swój program. Roztrzęsiony, dzielnie nadrabiał miną. A publiczność, zupełnie nieświadoma przyczyn zaistniałej sytuacji, jako że składała się głównie z osób, które na co dzień nie miały do czynienia z końmi, darła się wniebogłose z zachwytu.

Zahipnotyzowane tym, co działo się w „Jupiterze”, zwróciliśmy uwagę na terkoczący uparcie telefon dopiero kiedy zamilkł i przełączył się na automatyczną sekretarkę. Nagrywał się Wegner.

- Halo, tu Paweł. Oglądasz relację z festynu? Widziałeś Gruzina? Ten koń staje się niemożliwy. Dawid tyle z nim ćwiczył, a teraz pojechał jak nowicjusz, o wiele gorzej niż na próbach. Gdyby nie ten kaskader, pewnie by sobie nie poradził. Dobrze, że w sumie nic się nie stało. Dzwonię, bo za chwilę mój występ, nie przegap. Przyjadę wieczorem, jak się umawialiśmy, dobrze? Oddałem bilety. Jeśli nie chcesz iść na bal, to okej, spędźmy sylwestra u ciebie... - zawahał się, czy nie brzmi zbyt nachalnie. - Taka koleżeńska propozycja. Oddzwoń, czy się zgadzasz... Martwię się, czemu nie odbierasz... Cześć.

Akurat! Tyle było w jego głosie koleżeństwa, co w stosunku Kuby do mnie. No, zanim pojawiła się Ewka. Teraz się nie dziwię, że Wegner tak niemrawo szukał swojej Kasi, skoro Zuza Anna dała mu od daw-

na upragnioną szansę na bliższą znajomość. A kapryśna aktoreczka pewnie romansuje gdzieś w ciepłych krajach poza zasięgiem wścibskich reporterów. Jak nic przyprawiła mu rogi, więc nie miał się czym chwalić na konferencji prasowej czy w środowisku, Sam mówił, że od czasu do czasu rozpuszcza plotki na swój temat, to czemu nie tym razem? A Dawidowi wcisnął kit z porwaniem.

Chyba nigdy nie zrozumieć, czym oni wszyscy się w życiu kierują!

Tknięta złym przeczuciem, spojrzałam na scenarzystkę. Bo przecież brawurowa akcja Serafina zniszczyła jej misterny plan. Gryta znów wyszedł z opresji. W dodatku Zuza Anna zrobiła sobie ze mnie niewygodnego świadka.

Wciąż siedziała w fotelu naprzeciw monitora. W „Jupiterze” opadły już emocje, ale ludzie nadal klaskali przekonani, że to wszystko zostało precyzyjnie wyreżyserowane i obliczone na wywołanie silnych wrażeń. Zuza Anna patrzyła w ekran tak, jakby nic nie widziała. Odrzuciła głowę do tyłu, a jej oczy były nieruchome i ogromne jak u lalki. Nie żyje? - przestraszyłam się.

Wtem zerwała się i w ataku furii rzuciła na mnie. Spodiewając się czegoś podobnego, zdążyłam wywinąć się jej i uciec do przedpokoju. Tam mnie dopadła. Zaczęłyśmy się szamotać.

- On się zabije... On się musi zabić - mówiła do siebie, wolną ręką szukając czegoś za szafką z butami. Wykorzystałam ten moment, żeby wyszarpnąć się z jej uścisku.

A wtedy wyprostowała się i zagroziła sobą wyjście na klatkę schodową. W jej ręku błysnął cienki sztylet. Rekwizyt czy nie, zaczęłam krzyczeć z całych sił. Może ktoś z sąsiadów usłyszy i przybiegnie na ratunek.

Zamachnęła się na mnie. Nie czekając na pomoc, zaczęłam uciekać. Ciasny korytarzyk, kilkoro biało lakierowanych drzwi. Za wysoko, żeby skakać przez okno... Jedyne solidne schronienie to sejf w pokoju samobójcy. W życiu bym tam nie weszła, ale teraz... Zresztą na pewno drzwi są zamknięte...

Szarpnęłam. Poszło. Zatrzasnęłam za sobą pancerne drzwi i ciężko dysząc, oparłam się o zimny metal. Pomieszczenie było ciemne i bez okna. Za plecami usłyszałam zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Serce waliło mi jak perkusja rockowej kapeli, której słuchał Jakub. Żebym chociaż mogła do niego zadzwonić! Nie było o czym marzyć, bo komórka została w kurtce.

- Ratunku! Pali się! - krzyczałam, żeby zwrócić uwagę sąsiadów, ale dźwiękoszczelny materiał nie przepuszczał głosu. Skakałam i tłukłam w podłogę, ściany, drzwi aż do zmęczenia.

Światła, bo oszaleję! Gdzieś musi być włącznik. Ruszyłam wzdłuż ściany, opuszkami palców badając ją na wysokości wyciągniętej ręki. Zrobiłam krok, drugi. Potknęłam się o coś i upadłam. Wstając, wymacałam w ciemności ludzką nogę.

Była ciepła i drgnęła w odruchu samoobrony, co bynajmniej nie pomogło mi się uspokoić. Ale przynajmniej świadczyło o tym, że mam do czynienia z żywą osobą. Ten ktoś rzeźił teraz w ciemnościach. W panice rzuciłam się do wyjścia, ale nie trafiłam w drzwi. Za to

znalazłam kontakt. Rozbłysło światło i wreszcie mogłam ją zobaczyć.

- O Boże!... Pani?! Tutaj?! - nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Ledwie można było rozpoznać atrakcyjną blondynkę z billboardu. W pokoiku o wiele mniejszym niż wynikałoby z planu mieszkania, grubo wyłożonym czymś w rodzaju płyt korkowych, spod ciężkiego biurka wpatrywały się we mnie rozszerzone źrenice przywiązanej do niego Kasi Rutkiewicz. Aktorka wyglądała na skrajnie wyczerpaną.

Pospieszyłam uwolnić ją od szerokiej taśmy samoprzylepnej, którą była zakneblowana i okręcona jak pajęczym kokonem. Cuchnęła z braku higieny. Kiedy oswobodziłam jej ręce i nogi, długo je rozcierała, nie mogąc rozprostować. Nie odezwała się do mnie ani słowem.

- Co się stało? Nie wiem, co powinnam zrobić... Jak mogę pani pomóc? - pytałam bezradnie. Schyliłam się i wyciągnęłam rękę, żeby mogła się na mnie oprzeć przy wstawaniu.

A wtedy krzyknęła ostro, wbiła długie paznokcie w moją szyję i zaczęła mnie dusić.

Jednak była na tyle osłabiona, że z łatwością uwolniłam się od niej. Wtedy się opamiętała.

- Ja przepraszam, nie chciałam pani skrzywdzić. Ale... to wydarzyło się tak nagle, że myślałam... Nie mogłam się powstrzymać... Ja nie wiem, co mi jest...

- Ciii, to nerwy. Dużo pani wycierpiała - już się uspokoiliśmy i próbowałam skłonić aktorkę do tego samego. Opowiedziałam jej, kim jestem i skąd się tu

wzięłam. A także o wszystkim, co się działo podczas jej nieobecności na planie *Nieustrudzonych*, wyłączając bierną postawę Pawła Wegnera.

- Robi wszystko, co może, aby trafić na pani ślad - okłamałam bez zmrużenia oka wycieńczoną kobietę, kiedy o to zapytała. Chyba tylko pewność co do uczuć partnera trzymała ją przy życiu i zdrowych zmysłach. Ja w jej sytuacji zwariowałabym, i to dawno. Ale jak się tu znalazła i dlaczego?

- Ta suka chyba myślała, że Dawida i mnie coś łączy. Kiedy przychodziłam do niej konsultować sceny, zagadywała mnie o niego. Nigdy nie spytała wprost o nasz związek, ale gromadziła wszystkie brukowce, w których pisali o tym romansie. Była piekielnie zazdrosna o reżysera. Kiedy złamał nogę i poprosił Pawła, żeby z nim pomieszkał przez jakiś czas, sama byłam zła na Dawida. Mógł przecież wynająć kogoś do opieki, ma też swojego pomocnika, a wymagał takiego poświęcenia od najlepszego przyjaciela. Chyba się bała, że oboje wprowadzimy się do jego willi, bo mniej więcej w tym czasie zwabiła mnie tutaj i poczęstowała herbatą ze środkiem usypiającym. Obudziłam się w jakimś bunkrze albo raczej stajni, bo od ściany ciągnęło wilgocią, ale w sumie to strasznie tam śmierdziało końmi... Ja nie przepadam za nimi, więc okropnie się męczyłam. Skąd miałam wiedzieć, że potem będzie gorzej! Tam przynajmniej dbał o mnie jeden taki facet podobny do Schwarzeneggera. Przynosił przyzwolone jedzenie, nie wiązał mnie tak mocno... A w ogóle którego dziś mamy?

- Sylwester po południu. I mam nadzieję, że do

przyszłego roku ktoś nas *wyciągnie* z tego grobowca - próbowałam żartować, ale niespecjalnie mi wyszło, więc umilkłam.

Trzeba było się raczej przygotować na długie godziny spędzone w stanie skrajnego przygnębienia, nim nadejdzie pomoc. O ile Wegner usłyszy, jak się dobijamy do drzwi i pod warunkiem, że sam nie przyłożył ręki do tego, co się stało z jego kobietą... Własnymi siłami nie uwolnimy się stąd, to pewne, a Zuza Anna prędko nas nie wypuści. Zresztą nawet gdyby chciała, za żadne skarby nie mogę jej na to pozwolić! Zrozumiałam to, kiedy dostrzegłam w kącie pokoiku opartego o regał z książkami manekina. Tego właśnie, który zniknął z „Jupitera” i do tej pory się nie odnalazł. Naturalnej wielkości Dawid Gryta był ubrany jak zwykle elegancko. I wyglądał jak żywy.

Kasia zapadła w głęboki sen albo rodzaj odrętwienia. Bałam się ją obudzić, żeby nie przyprawić nadwątłych nerwów aktorki o kolejny wstrząs. Walczyłam sama z ponurymi myślami. W obronie przed wykończającą mózg beczynnością zaczęłam przeglądać fotografie Zuzy Anny. Częściowo znałam je z wizyty przed Wszystkimi Świętymi, ale skoro właścicielka wstawiła pudełko z nimi tutaj, mogły zawierać coś, co wolała ukryć przed wścibskimi. Zdjęcia z wierzchu już oglądałam. Te na spodzie przedstawiały prawie wyłącznie reżysera, samego lub z narzeczoną. Niektóre z odbitek były podpisane: „Na zawsze twój - Dawid” albo „Dla mojej jedynej miłości - Zuzanka” i dalej w tym stylu. Niby zwyczajne pamiątki, a zarazem po-

żywka dla pogłębiającej się obsesji scenarzystki. Kar-miła się szczęśliwą przeszłością i jak dziecko udawała sama przed sobą, że to zerwanie tak naprawdę się nie liczy. Bo los na pewno się odwróci i były narzeczony się opamięta.

Dlatego tak bardzo starała się wykazać w pracy - żeby odzyskać jego uczucie. Jak gdyby na miłość moż-na było po prostu zasłużyć! Ciekawe, czy Gryta domy-ślał się, co sprawia, że jest najlepsza w tym, co robi. I czy jakoś wykorzystywał tę jej motywację dla dobra serialu, jak moje marzenie o przejażdżce na fryzie?

Biedna szalona kobieta. Nie przychodziła na plan *Niestrudzonych* ani na imprezy promocyjne, żeby nie spotykać się z Dawidem w trudnej dla niej do zniesie-nia roli - wyłącznie jego współpracownicy. Nie wytrzy-małaby i tego, że wszyscy wokół traktują ich kontak-ty jedynie w ten sposób. Zamykała się w mieszkaniu pełnym pamiątek, gdzie łatwiej mogła żyć złudzenia-mi, że jest jak dawniej. Stąd ten brak jakichkolwiek zmian w wystroju wnętrza, a nie z powodu ojca, jak mi się początkowo wydawało! A przynajmniej nie tylko z tego powodu...

W końcu musiała zrozumieć, że czekaniem na cud niczego nie załatwi i zaczęła działać po swojemu. „Jeśli naprawdę go kochasz, zrób dla tej miłości wszystko, co w twojej mocy” - radziła mi kiedyś w sprawie Filipa. Sama walczyła wtedy desperacko o to, żeby odzys-kać Dawida! To nie jego romansu z Kasią się obawia-ła, ale przyjaźni z Pawłem, bo dzięki tej zażyłości nie potrzebował pomocy Zuzy Anny. Dlatego chciała od-sunąć od niego Wegnera i porwała aktorkę, żeby móc

szantażować jej partnera. Po wypadku na stadionie reżyser mógł szukać schronienia w mieszkaniu na Ochocie, ale nie chciał albo w ogóle nie przyszła mu do głowy taka możliwość. Zresztą ja wyskoczyłam od razu z tym zaproszeniem na Hubertusa w Kostomłotach. A kiedy doszło do wyjazdu na Podlasie, Zuza Anna wiedziała o potajemnej ucieczce dzięki Ignacowi. Kazała znów zamienić konie...

A ta akcja z ulatniającym się gazem? Gryta nie przyjął scenarzystki pod swój dach, choć tylko o to jej wtedy chodziło!... „Zbudować scenografię dla przypadku”... Że też ja się od razu nie domyśliłam, kto odpowiada za dziwne wydarzenia związane z jego osobą! Pomysły były zbyt wydumane dla każdego prócz obłąkanej scenarzystki. Może najpierw chciała go tylkostraszyć, a może od początku planowała zabójstwo, tylko wciąż coś jej przeszkadzało zrealizować chore wizje? W każdym razie po latach oczekiwania musiał przyjść moment, kiedy dotarło do niej, że pragnie niemożliwego. Wtedy coś w niej pękło. Tylko co mogło być tego przyczyną?

I co Zuza Anna zamierza dalej zrobić, przede wszystkim ze mną?

Spojrzałam na zegarek. Upłynęła pierwsza godzina czekania.

Nagle usłyszałam zgrzyt, a potem ktoś zaczął otwierać pancerne drzwi. Właścicielka? Czy może to Wegner przyjechał wcześniej niż zapowiadał? Odsunęłam się na wszelki wypadek.

- Kuba? Serafin? Jak dobrze, że jesteście! - Wprost

nie umiałam okazać, jak strasznie się cieszę, że mnie tu znaleźli. Nigdy nie potrzebowałam ich bardziej.

Kuba nie mógł oderwać ode mnie oczu.

- Dzięki Bogu, żyjesz! Wegner podniósł alarm, że Zuza Anna nie odbiera telefonów, ani stacjonarnego, ani komórki. Do ciebie też nie mogłem się dozwonić. A jeszcze po tym esemesie, że musisz do niej jechać... Przestraszyliśmy się, że znów coś się stało z gazem.

- I drzwi na klatkę otwarte? A gdzie gospodyni? - dopytywał się Serafin, wpychając się przed wyższego kolegę. Pierwszy zobaczył aktorkę, która nadal leżała na podłodze z zamkniętymi oczami.

- O żesz ty!... - aż zdjął czapkę i myślałam, że zaraz uklęknie jak przed katafalkiem.

- Żyje, ale dzwońcie szybko po karetkę, bo chyba zemdląła z wycieńczenia. - Trochę go tym uspokoiłam. Jak zwykle przytomność umysłu wróciła mi w zetknięciu z kimś zdenerwowanym bardziej ode mnie i przystąpiłam do działania.

Rozejrzeliśmy się z Jakubem; rzeczywiście scenarzystki nigdzie nie było. Jej cytrynowy mini cooper zniknął z parkingu przed blokiem. Za to komórka leżała na ławie w salonie dokładnie tak, jak to zapamiętałam.

Nie pojechała do Wegnera, bo następny telefon po wezwaniu pogotowia Serafin wykonał właśnie do niego. Kiedy aktor usłyszał, co się stało z jego partnerką, przejął się tak bardzo, że nie był w stanie rozmawiać o niczym innym, jak tylko o tym, w którym szpitalu ma jej szukać. Chyba za surowo go oceniałam. Teraz

wydawał się zszokowany tym, że Kasia nie odnalazła się na egzotycznym wojażu w towarzystwie nowej sympatii. Widać sam po pewnym czasie przestał wierzyć w porwanie i doszedł do wniosku, że kapryśna gwiazdka robi go w konia, tak jak do tej pory wszystkich dookoła. To by się zgadzało, że w odwecie za jej domniemany romans usiłował podrywać Zużę Annę, która chyba zawsze mu się podobała, jak wynika z tego, co mówił Serafin o ich spotkaniu w „Jupiterze”... Faktycznie, temperament nasz Pawełek ma iście południowy! Gwałtowna reakcja na telefon nie pozostawiała jednak wątpliwości, na której z kobiet naprawdę mu zależy.

Zuza Anna nie trafiła również na festyn, mimo że ostatnie słowa, które od niej usłyszałam, brzmiały jak zapowiedź dopełnienia zemsty na reżyserze. Kiedy dodzwoniliśmy się do niego, właśnie zamierzał wieźć fryza do kowala i nie bardzo mógł rozmawiać, bo ogier za nic nie pozwalał wprowadzić się do przyczepy. A musiał pojechać na fachowy zabieg, bo po szaleństwach na występie odprysnął mu kawałek puszki kopytowej. Kowal upierał się przy wyjeździe do Sierakowa, twierdząc że dopasować podkowę do złamane-go końskiego paznokcia potrafi najlepiej we własnej kuźni.

Spojrzałam na monitor i przypomniałam sobie o e-mailu od Filipa. Pewnie już dotarł do mojej skrzynki pocztowej. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że Zuza Anna obserwuje mnie z ukrycia, jak korzystam z jej osobistego komputera, ale pokusa była zbyt silna.

Zgadłam, Gruzin pochodzi z ciąży bliźniaczej. Hodowca zataił istnienie jego brata, żeby przynajmniej jeden z ogierków w przyszłości mógł zostać reproduktorem. Konie, które pochodzą z takich ciąży, nawet jeśli przeżyją i wyglądają zdrowo, nie są dopuszczane do hodowli, żeby problem nie powtarzał się w następnych pokoleniach.

Gruzin dostał więc licencję i z czasem kupił go producent *Niestrudzonych*. A bliźniak został potajemnie sprzedany i przesmuglowany do Polski nieco później, przy okazji nagrywania polsko-niemieckiej produkcji z udziałem fryza z „Jupitera”. Przejechał przez granicę jako Gruzin, choć ten prawdziwy wrócił do Polski tydzień wcześniej z resztą kaskaderskich koni. Zwinięcie z domu reżysera dokumentów potrzebnych do przekroczenia granicy dzięki pomocy Ignaca zapewne nie było trudne. Dla Arnolda. Bo to on musiał się jakoś dowiedzieć o bliźniaku i zorganizować transport. Nikt inny!

Po pierwsze kowal był półkrwi Niemcem i swego fachu nauczył się u tamtejszych podkuwaczy pracujących dla kadry olimpijskiej. Dlatego taki był rozchwytywany w podwarszawskich ośrodkach.

Po drugie to on wcześniej sprowadził z zagranicy prawdziwego Gruzina na polecenie producenta, więc znał się na formalnościach z tym związanych. Wtedy też pewnie dowiedział się o istnieniu bliźniaka i z czasem zwierzył się z tego Zuzie Annie, a to ją natchnęło do opracowania *Sobowótora diabla...* Tylko skąd taka zażyłość między scenarzystką i kowalem?

A teraz reżyser pojechał z nim do kuźni... Co się wo-

bec tego stało z Ignacem, który dotąd był na każde zawołanie swego chlebodawcy, nie wyłączając świąt? I gdzie jest teraz prawdziwy Gruzin?

Nagle uświadomiłam sobie, że choć Zuza Anna nie zrealizowała swego scenariusza, nadal nie odpuściła ani Grycie, ani jego osławionemu pupilowi. Nie daruję sobie, jeżeli nie zdążę jej przeszkodzić, cokolwiek zamierza zrobić z nimi w Sierakowie!

Pojechałam z chłopakami prosto do Arnolda. Przed kuźnią parkował już samochód z przyczepą do przewożenia koni. Wewnątrz niecierpliwiał się sobowtór Gruzina. Tłukł kopytem o ściankę ze złości, której inaczej nie miał jak rozładować. Poza nim w obejściu nie było żywej duszy - ani reżysera, ani gospodarza. Głęboka, bezwietrzna cisza ogarnęła część Kampinosu sąsiadującą z podwórzem. Wydłużone cienie drzew zwiastowały bliski zmierzch; puszcza wydawała się przez nie złowieszcza i podstępna.

Nagle złamała się z trzaskiem i spadła gałąź obciążona śniegiem, a fryz podrzucił głowę i strzelił wkoło spłoszonymi oczami. Po czym znów nastąpiła martwa cisza. Równie przerażająca jak zawodzenie konarów huśtanych przez wichurę, tylko że przygnębiała jeszcze bardziej. Zrobiło mi się zimno.

- Spóźniliśmy się? - zważyłam w sens naszego przyjazdu.

Kuba pierwszy wypatrzył coś podejrzanego.

- Patrzenie, otwarty samochód, tam pod lasem, no gdzie ten szlaban z zakazem wjazdu do parku... Wiedzicie?

Bez trudu rozpoznałam auto Zuzy Anny. Wpako-
wała je w śniegową zaspę i porzuciła przy drodze
do lasu, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Ślady
drobnych stóp ginęły między pniami, dokąd zoczyła
z głównego szlaku. Do kogo lub czego tak pędziła?

Serafin jeszcze raz zadzwonił do reżysera i wyjaś-
niło się, że źle go zrozumieliśmy: wcale nie wybierał
się nigdzie z kowalem, jedynie pomagał wpędzić do
przyczepy niesfornego ogiera. Wysłał z nimi do Siera-
kowa Ignaca, jak zawsze w takich sytuacjach, a sam
dotarł już do domu i zaczął szykować się na bal syl-
westrowy.

Tak czy inaczej, kowal i Ignac zniknęli, scenarzystka
też. Serafin opowiedział Grycie, co zastał w jej miesz-
kaniu i teraz u Arnolda.

- Zaczekajcie na mnie tam, gdzie jesteście. Przyjadę
najszybciej, jak będę mógł. Tylko nie wzywać mi poli-
cji, okej? - zastrzegł się nie wiedzieć czemu, po czym
zaklął szpetnie i się rozłączył.

Żadne z nas nie miało już wątpliwości, że Ignac, Ar-
nold i Zuza Anna działali we trójkę i że gdzieś w po-
bliżu mają kryjówkę, w której mieści się koń. Tylko jak
w strzeżonym parku można utrzymać w tajemnicy coś
podobnego? I przede wszystkim gdzie!?

Ślady delikatnych pantofelków poprowadziły nas
w głąb puszczy. Za zakrętem zbiegły się z dwiema pa-
rami męskich butów, które nakładały się na trop scena-
rystki. Wędrowaliśmy ich ścieżką dobry kawałek,
przedzierając się przez gęste zarośla i kopny śnieg,
który przesypywał się bezszelestnie i co najważniejsze,

nie przesiąkał do butów, jak breja na warszawskich ulicach. Gryta uparł się nam towarzyszyć, choć moim zdaniem ryzykował głupio i niepotrzebnie. My zresztą też, ale w końcu czego można się spodziewać po kaskaderach? A skoro oni zdecydowali się szukać Gruzina tuż przed nocą, chciałam i ja dotrzymać im kroku. Bez względu na konsekwencje.

- Wolę to niż zostać w Sierakowie! Któreś z nich może tam wrócić i co wtedy? Sama się nie obronię - wytoczyłam argument nie do odparcia. Bo skoro reżyser nie życzył sobie policji...

- Nie chcę medialnego skandalu, a po tym, co zrobił mój zaufany pracownik, mundurowym też nie ufam. Tak na wszelki wypadek. Bo mogą być opłacani, żeby dawali znać prasie, kiedy coś się dzieje. Dlatego te sępy zlatują się za każdym moim potk... posunięciem. Ale dosyć tego! - odgrażał się czapom śniegu w koronach sosen.

Znałam już Grytę na tyle, aby między wierszami odczytać prawdziwą przyczynę jego obawy przed mediami. Jak nic drżał, że przyparta do muru kobieta pozbędzie się reszty zahamowań i publicznie wyjaśni powód swojej zemsty. I że nie będzie jej bynajmniej chodziło o złamane serce, ale o odwet za zniszczenie kariery i życia jej ojcu. Reżyser na pewno podejrzewał, że Zuza Anna domyśliła się udziału narzeczonego w samobójstwie ojca i dlatego teraz zrobi wszystko, aby sprawca nieszczęścia przeżył podobny dramat.

Jednak i o niej wiedziałam dość dużo, aby wykluczyć taką możliwość. Nawet gdyby miała jakieś podejrzenia co do Gryty albo dowody, które go obciążały,

zakochana do szaleństwa tym bardziej starałaby się wyprzeć je ze świadomości. Bo to by ją zabiło!

Może tak właśnie musiała się szarpać przez kilkanaście lat, dlatego w końcu wysiadła jej psychika?

- Więc tu go trzymają... Kto by pomyślał! - reżyser pochylił się nad ścieżką do staroświeckiej piwnicy w środku Kampinosu. Do trzech rodzajów śladów, które nas tu doprowadziły, dołączyły zagłębienia w śniegowym puchu wielkie i okrągłe jak księżycowe krater. Ich kierunek wyraźnie wskazywał na to, że niedawno ktoś wyprowadził stąd Gruzina. Wewnątrz kopca musiały być schody prowadzące w głąb wybetonowanej jamy, jak w piwnicy moich dziadków. Pokonanie stromego zejścia wymagało od konia cyrkowej zręczności, ale co to za przeszkoda dla zwierzęcia obdarzonego nieprzeciętnym zmysłem równowagi. Pewnie obaj bracia wyróżniali się takimi zdolnościami.

- Tylko skąd się wzięła taka piwnica w środku lasu? - nie mogłam się nadziwić.

Serafin przestał się czujnie rozglądać i spojrział na mnie.

- Wieś tutaj była - wyjaśnił. - Widzisz ten brzozywy młodniak? To wszystko wyrosło na polach uprawnych. A dalej z boku, gdzie te zdziczałe drzewa owocowe, musiały być wcześniej zabudowania. To jedna z tych osad, które wykupiło od rolników, ja wiem, chyba państwo albo zarząd Kampinosu, aby powiększyć obszar parku narodowego. Zdaje się, że do dzisiaj trwa taka akcja. Na wykupionych terenach wyburza się budynki i pozwala naturze zająć się resztą.

- No dobra, ale co z tą piwnicą? Przegapili ją?
- Widziałem podobne z drugiej strony puszczy. Leśnicy zostawiają część z nich dla nietoperzy. To super miejscówka na przespanie zimy albo odchowanie młodych.

- Cicho - syknął Gryta i zbliżył ucho do solidnych, dębowych drzwi. Do tej piwnicy na pewno nie dostałyby się żadne nietoperze, bo pod rozgrzebaną przez nas stertą chrustu kryło się wejście zabezpieczone nie gorzej niż sejf Zuzy Anny. Reżyser zapukał, ale ze środka nikt nie odpowiedział.

- Co ona im zrobiła, że tak cicho siedzą? Przecież dalej są już tylko ślady jej i Gruzina. Musiała ich tu zamknąć, przecież nie rozpułynęli się w powietrzu - utyskiwał, że znów coś poszło nie po jego myśli.

Chłopaki chcieli wyłamać drzwi, ale nie było jak i czym ich podważyć. W końcu Gryta kazał przestać się dobijać.

- Najpierw trzeba odzyskać konia - zarządził. - Nie wiadomo, co ona zamierza z nim zrobić, a ja nie mogę ryzykować takiej straty. Tutaj zawsze będzie można wrócić.

- A jeśli oni nie żyją? - wtrącił cicho Jakub.

- To tym bardziej nie mamy się do czego spieszyć.

- Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że do mnie przyjedziesz - Zuza Anna ucieszyła się na widok reżysera jak mała dziewczynka, która długo wypatrywała powrotu ojca z pracy. Nawet jej głos brzmiał jak u dziecka, a oczy spoglądały na Grytę z bezgraniczną ufnością. Trudno jednak było odgadnąć, kogo widzą:

Dawida czy może równie sławnego ojca scenarzystki? I ten bezosobowy, odrealniony uśmiech, który tak okrutnie zmaćcił harmonię jej rysów...

Spojrzeliliśmy po sobie z zakłopotaniem, bo po raz pierwszy zmiany w jej psychice uwidoczniły się w wyrazie twarzy. To spustoszenie w idealnych dotąd proporcjach było chyba najgorsze w całym obrazie chorej kobiety. Stała po kostki w śniegu, który wsypywał się do jej włosów z kokardką, za cienkich na zimę. Była bez czapki i pod połą rozpiętego płaszcza wyraźnie usiłowała coś schować. Infantylny Zuza Anny i jej oderwanie od rzeczywistości nigdy bardziej nie rzucały się w oczy. Rozpuszczone włosy miała potargane przez leśny gąszcz i oproszone śnieżnym puchem z gałęzi, które roztrącała na drodze swojej ucieczki. W półmroku czarne fale zlewały się z grzywą fryzyskiego ogiera, który stał tuż za kobietą, przywiązany do pnia. Gruzin, ten prawdziwy, czekał cierpliwie, jak na planie filmowym.

Zbliżyliśmy się jeszcze trochę, a wtedy zasłoniła go własnym ciałem. Jej twarz straciła uśmiech; przybrała wyraz zaszczutego drapieżnika. Zuza Anna gwałtownym ruchem wyszarpnęła spod płaszcza fiolkę z ciemnego szkła i zdarła z niej zatyczkę. Pogroziła nam zupełnie trzeźwo, z odzyskaną w pełni świadomością:

- Ani kroku dalej, bo oślepię konia. Mam tu stężony kwas solny - to mówiąc, zamierzyła się na karego.

Zatrzymaliśmy się, czekając, co zrobi reżyser - od-ruch, który pozostał nam z pracy na planie. A Gryta po raz pierwszy, odkąd go znam, nie umiał się zachować. Niepewność na jego twarzy zasługiwała co najmniej na

Złote Lwy. Byłaby to piękna scena w jakimś melodramacie. W życiu - absurdalna.

- Przyjechałem po Gruzina - odezwał się wreszcie, ale nadal nie ruszył z miejsca. - Oddaj mi go.

Nie wierzyłam, że pojemnik zawiera silnie żrącą substancję, choć nie można było tego wykluczyć. Szkoda, że ostrożny Gryta nie widział ataku Zuzy Anny na mnie - wtedy dopiero była niebezpieczna! Teraz wyglądała zaledwie dziwacznie, gdy tak wciąż jeszcze, po tym co się stało, broniła własnych złudzeń. Przecież w żaden sposób nie zmusi Gryty, żeby do niej wrócił, i nie przekona go, że on potrzebuje jej tak, jak ona jego.

- Na wszelki wypadek niech pan robi, co ona każe. Tak się postępuje ze schizofrenikami - odpowiedział szeptem Jakub. Nie miałam pojęcia, że wie o takich rzeczach.

Zuza Anna nie słyszała tego, skupiona wyłącznie na swoim Dawidzie.

- Mam ci oddać konia? - zadrwiła, potrząsając głową. - Przez całe życie nie robię nic innego! Oddaję ci wszystko, a ty mi co? Nawet nie raczysz ze mną szczerze porozmawiać. Musiałam go uprowadzić, żebyś ze-chciał się ze mną spotkać inaczej niż w pracy i wysłuchać, co mam ci do powiedzenia!

Reżyser wykonał gest, jakby chciał ją powstrzymać przed mówieniem, ale bał się podejść. Teraz miała wygląd znacznie bardziej dziki, a dzięki władczej postawie sprawiała wrażenie o wiele wyższej niż w rzeczywistości.

- No powiedz sam, czy tak nie jest - ciągnęła. - To ja cię stworzyłam, dałam ci popularność. Beze mnie

byłbyś nikim. Naprawdę tego nie rozumiesz? Nigdy nie doczekałam się od ciebie wdzięczności ani uznania. Po tylu latach nawet moja pozycja współpracownika jest na tyle niepewna, że zlecasz napisanie scenariusza jakiejś prowincjonalnej dziennikarce! Wybacz, ale w tym momencie przesadziłeś. Próbowałam ci to pokazać, udowodnić, że nie jesteś wszechmocnym i nieskazitelnym herosem z ekranu. Że swoją bezdusznością krzywdzisz ludzi... Tak, tak, nie zaprzeczaj. Sława uderzyła ci do głowy, Dawidzie. Bardzo się zmieniłeś. Choć bezwzględny byłeś zawsze. Kiedy coś przestaje ci przynosić korzyści, po prostu to odrzucasz. Przejmujesz się tylko sobą!

To prawda, pomyślałam. Bez skrupułów pozbył się Lolity, kiedy stała się dla niego bezużyteczna. A roman z Zużą Anną? Rozstali się nomen omen akurat wtedy, kiedy Grytę wypromował jej ojciec. Czyżby od samego początku... Nie, przecież reżyser nie mógł być aż tak wyrachowany!

- Czego chcesz w zamian? - spytał szorstko, przerywając jej oskarżenia. Zuza Anna popatrzyła na niego nieprzytomnie spod rozczochranej czarnej grzywy. Chyba nie zrozumiała. - No, po coś uprowadziłaś tego konia, tak czy nie? - zniecierpliwił się brakiem reakcji i powtórzył: - Czego ty, do cholery, ode mnie chcesz?

- Nie rozumiesz? Żebyś wreszcie odebrał mi nadzieję! Potrzebuję tego, żebyś mi powiedział wyraźnie, że... że już mnie nie kochasz i że to się nigdy nie zmieni, i dlatego odszedłeś. A nie tylko tyle, że teraz nie możemy być razem. Nie wiedziałam, dlaczego to się rozpadło, co zrobiłam źle... Tak bardzo starałam się

sama to zrozumieć i może się zmienić, naprawić błąd... Słuchaj, ja muszę od ciebie usłyszeć, że to naprawdę koniec, żeby w to uwierzyć. Tylko tyle, Dawidzie - zakończyła miękko, odwróciła się do Gruzina i pogłaskała go z niespotykaną u niej czułością. A kiedy znów zobaczyłam jej twarz, powoli zaczynała rozświetlać się wewnętrznym światłem, jakby Zuza Anna chciała się podzielić jakąś radosną tajemnicą.

- Ale nie mówmy już o tym. - Zwróciła na reżysera roziskrzone oczy. - Spytaj lepiej, o czym marzyłam przez wszystkie te lata... O czym nadal marzę.

Mała, szczupła dłoń ślizgała się delikatnie po lśniącej jak atlas sierści Gruzina. Po spojrzeniu kobiety poznałam, że znów budzi się w niej ślepa, głupia nadzieja. Karmiła się nią przez kilkanaście lat, wierząc, że może rozpisać swoje życie na sceny zgodnie z autorskim pomysłem, jak to robiła na potrzeby serialu. Zapominała przy tym, że jej własne dążenia to dopiero scenariusz i że do jego zrealizowania potrzeba współpracy z innymi ludźmi, zupełnie jak na planie filmowym - z aktorami, obsługą techniczną, statystami, których twarze w większości nie jesteśmy w stanie zapamiętać, bo jest ich tak dużo... A przede wszystkim pomocy reżysera.

Pewnego dnia widać dotarło do niej, że nie doczeka się wzajemności, i uznała, że tylko zabójstwo może ją uwolnić od pogłębiającej się obsesji. Całe szczęście, że nie udał jej się ten chory plan. A teraz pragnienie niemożliwego powróciło ze zwiększoną siłą.

- Chcę tylko, żebyś był ze mną, Dawidzie - powiedziała cicho. - Czy możemy spróbować jeszcze raz?

Zuza Anna patrzyła Grycie prosto w oczy, spokojnie, przenikliwie, a jej drobna wypielegnowana ręka nie przestawała gładzić boku ogiera. W drugiej wciąż trzymała otwartą fiolkę. Czekała w napięciu, spodziewając się odpowiedzi, ale jej nie dostała.

Serafin od dłuższego czasu zakradał się od strony Gruzina, żeby w sprzyjającym momencie obezwładnić szaloną kobietę i wytrącić jej z ręki fiolkę. Nie zdążył dotrzeć dość blisko, kiedy rozległ się tętent kopyt i spomiędzy drzew wypadł drugi ogier. Sam wydostał się z przyczepy albo ktoś mu w tym pomógł, i biegł do stajni, za którą uważał kryjówkę w lesie. Skręcił tutaj, bo wyczuł na odległość Gruzina, który na chwilę przed pojawieniem się bliźniaka zarżał ostrzegawczo, szarpnął się i zerwał z uwięzi. Serafin w ostatniej chwili schwytał go za kantar i mocno przytrzymał.

- Łap drugiego, bo zaczną walczyć! - krzyknął do Jakuba, ale chłopak nie bardzo wiedział, jak ma podejść rozbrykanego ogiera. Najpierw oba konie się obwąchały, potem rozległ się kwik, a teraz przybysz tańczył wokół Gruzina, który lojalnie ostrzegał, szczerząc zęby, że nie opuści terytorium bez walki. Zwierzęta były tak jednakowe, że gdyby nie czerwone owijki na nogach sobowtóra nikt by nie rozpoznał, który jest który.

- Daj, ja to zrobię - wyprzedziłam Jakuba. Po raz drugi spotkaliśmy się z fryzem w podobnych rolach, tyle że w trochę innych okolicznościach niż wtedy w centrum Łomianek. Kiedy odciągnęłam go na bezpieczną odległość i dotknęłam spoconej szyi karego w uspokajającym geście, nie oparłam się wrażeniu *deja*

vu. I mogłabym przysiąc, że spomiędzy rozkudłanej grzywy wyrzało ku mnie porozumiewawcze oko.

- Jezu, nie! - usłyszeliśmy nagle jęk reżysera i jak nigdy nie było to przekleństwo. Widocznie chciał sam unieszkodliwić Zuzę Annę, kiedy wszyscy byliśmy zajęci rozdzielaniem ogierów. Chyba jednak nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, że ma do czynienia z osobą, która żyje już w zupełnie innym świecie. Upредиła jego zamiar i chichocząc jak psotna dziewczynka, bez wahania chlusnęła mu kwasem prosto w twarz.

Kiedy na jego krzyk odwróciłam się w ich stronę, Gryta kulił się z rękami przy twarzy. Scenarzystka patrzyła ponad nim w ciemniejącą ścianę lasu i uśmiechała się, niczym szczęśliwe dziecko przez sen. Jej oczy zaszyły mgłą stały się rozmarzone, jak gdyby odnalazła w końcu drogę do odległych, magicznych czasów. Może stała się na powrót małą córeczką tatusia. Albo romans z Dawidem trwał wreszcie bez przeszkód w jej wyobraźni. Tak czy owak, wiedziałam, że wreszcie znów jest szczęśliwa.

Epilog

Obudziłam się w wygodnym łóżku. Dookoła dzieśiątki aniołów uśmiechają się do mnie i do siebie nawzajem. Pośród nich święty Mikołaj, drugi, trzeci... i coraz ich więcej. Czy ja już jestem w niebie?!

Nie, no przecież to jest mój pokój u Mariolki. O proszę, znajomy budzik wskazuje wczesne popołudnie. Cichutko gra radio. Na nim elektroniczny datownik wyświetla pierwszy dzień stycznia. Musiałam usnąć po zabawie sylwestrowej. Tylko że ja... niczego z niej nie pamiętam. Czy w ogóle byłam na balu w „Jupiterze”? Jeśli nie umiem sobie nawet odpowiedzieć, jak i kiedy trafiłam do domu...

Zamykam oczy. Zaraz, zaraz, może po kolei... Pod powiekami przesuwają się pojedyncze obrazy jak kadry wycięte z filmu.

A więc wyraz twarzy Gryty, kiedy zrozumiał, że nie został obłany żrącym kwasem, tylko zwykłym wyciągiem ziołowym na spirytusie z apteczki Zuzy Anny. I to, jak chwilę później wyprostował się i obrócił do nas, gotowy do wydawania poleceń, stając się znów zawodowcem.

Albo twarz Zuzy Anny zastygła w grymasie leciutkiego uśmiechu i jej oczy zapatrzone w przestrzeń, pełne tajemniczego szczęścia wraz z tym czymś nieuchwytnym, co jest tak typowe dla natchnionych świętych z obrazków, a czasem też dla ludzi chorych. Przyglądałam się jej wtedy i nie mogłam uwierzyć, że to ta sama dumna, piekielnie zdolna i nieskora do uzewnętrzniania uczuć kobieta, którą poznałam w sali wykładowej na początku semestru. Długo patrzyłam za nią, gdy odjeżdżała do swojego nowego domu, gdzie nie będzie już nigdy sama, i próbowałam znaleźć wyjaśnienie dla tego, co się z nią stało. Może od początku miała słabe nerwy, a późniejsze przeżycia tylko pogłębiły jej skłonność do obłądu? Coś w rodzaju dummkollerki... Właśnie taką widziałam scenarzystkę po raz ostatni, zza szyby auta, którym Serafin odwiózł ją na komendę, gdzie zajmie się nią policyjny psychiatra i skąd Zuza Anna trafi pewnie do szpitala. Miał ją zabrać Kuba, ale uparł się, że zostanie ze mną.

Kiedy tamci odjechali, wróciliśmy we trójkę z Grytą do kryjówki w głębi lasu. Reżyserowi tak bardzo zależało na dyskrecji, że wolał samodzielnie załatwić tę sprawę do końca niż narazić się na ryzyko przeniknięcia informacji do mediów. Wyposażeni w łomy i siekierę mężczyźni szybko uporali się z włamaniem do piwnicy. Od środka pomagali im Arnold z Ignacem. Okazało się, że nie byli skrepowani ani też w żaden sposób ich nie skrzywdzono. Długo jednak nie mogliśmy wydobyć zeznań, jak to się stało, że dwóch zdrowych facetów, w tym niedoszły komandos, dało się wykiwać i pokonać jednej wątłej kobiecie.

Pierwszy pękł człowiek do wszystkiego. Trzęsącym się głosem przyznał, że Zuza Anna podstępem zwabiła ich obu do środka, myśleli że ona tam jest na dole, a potem potraktowała ich z zewnątrz gazem usypiającym. Odchodząc, zablokowała wyjście na wypadek, gdyby za wcześniej się obudzili.

- Bo myśmy chcieli ją powstrzymać, jak zobaczyliśmy, że taka pijana i sama nie wie, co robi. Normalnie jak jakaś obłąkana się zachowywała, za przeproszeniem. Szantażowała mnie od dawna, nie mogłem nic powiedzieć, ale ja zawsze jej wspak robiłem, zawsze... Pan mi nie wierzy!... A ja bym przecież nie pozwolił pana skrzywdzić ani Gruzina, ja nie, nigdy! - wił się pomocnik Gryty, nagle zapominając, ile to razy usiłował kantować swego chlebodawcę, jak choćby wtedy z odwiezieniem Lolity na skup. Giął się i prawie padał do kolan reżysera, aż budziło niesmak to jego płaszczenie się. Tak samo próbował przechytrzyć i drugą stronę.

- To ja przecież skaleczyłem nogę temu szalonemu koniowi, wtedy co go miałem zawieźć do Kostomłotów. Żeby pan na niego nie mógł wsiąść, ani nikt inny... I wcześniej sam uszkodziłem popręg przy siodle, żeby szwy pękły, nim się o co rozbijecie. A jak Gruzin miał się spalić, to też wpierw zadzwoniłem, wcześniej niż było trzeba, żeby pan zdążył przyjechać i uratować... - urwał, bo za późno się zorientował, że tylko pogarsza swoją sytuację.

- Wcześniej niż co? Chcesz powiedzieć, że to ty podpaliłeś mi stajnię?! - ryknął Gryta, jak to tylko on potrafi. -Ty...

Dalej wolałam nie słuchać. Nie tak miał wyjść Ignac na swojej dwulicowości, na pewno nie tak. Klituś bajduś z tym szantażem! Na takich jak on są prostsze sposoby. Panu Bogu świeczka a diabłu ogarek, aż w końcu nic nie zostaje w ręku. Stracił zaufanie pracodawcy, a pewnie i posadę, najlepszą, jaka mu się w życiu trafiła. Ciekawe, ile kasy obiecała Ignacowi za współpracę scenarzystka i czy zdążyła mu cokolwiek wypłacić? Bo nie poza chęcią zysku na pewno nie wchodziło w grę.

A tamten? Zerknęłam na Arnolda. Milczał jak głaz, a jego mina zdradzała, jak bardzo cierpi. I, co gorsza, z jakiego powodu.

- Pomyśl, on to wszystko robił chyba dla niej, z miłości - podzieliłam się domysłami z Kubą w drodze powrotnej do Łomianek. Zwinięta na tylnym siedzeniu walczyłam z sennością, bo znienacka dało o sobie znać potężne wyczerpanie nadmiarem stresu i przeżytych emocji. - Nie do wiary, że Arnold coś do niej... Niby nie on jeden oszalał na jej punkcie, miała mnóstwo adoratorów, ale że akurat on i to do tego stopnia...

To wtedy chyba pomyślałam, że może w każdym człowieku tkwi jakaś obsesja, która z czasem pogłębia się coraz bardziej, jeśli jej na to pozwolimy. Jednych niszczy, innych rozwija - w zależności od tego, co kto zrobi ze swoimi skłonnościami. Gryta na przykład nie mógł zostać prawdziwym policjantem, więc zamiast się frustrować, dzięki *Niestrudzonym* został najlepszym i najbardziej znanym konnym funkcjonariuszem z ekranu. Zakompleksiony Serafin ze strachu, że wyrosnie na mięczaka jak jego ojciec, zawziął się i trafił do czołówki kaskaderów, a niski wzrost stał się jego atu-

tern w zawodzie. Z kolei taką Ewkę ciekawość ludzi i wszystkiego, co się dzieje w jej otoczeniu, doprowadziła do dziennikarstwa. A ja? Mnie prowadzą przez życie konie i pasja jeździecka. Dzięki temu dostałam się na plan filmowy, a wcześniej to połączyło nas z Filipem... No właśnie, a gdyby tak Zuza Anna pracowała nad sobą, jak ja po rozstaniu? Nie popadłaby może w obsesyjne uzależnienie od Gryty i byłaby teraz szczęśliwie zakochana w kimś innym? Wyszłaby za męża, miała dzieci i pewnie nadal wymyślałaby seriale, choć kto wie, czy raczej nie familijne. Wszystko to zamiast wpatrywania się bez słowa w białe ściany szpitalnych sal...

- Skąd wiesz, czy jej by się udało? A jeśli to nie zależy od nas, czy mamy dość siły, żeby się uwolnić od marzeń, które nie mogą się spełnić? - zaskoczył mnie Kuba swoimi przemyśleniami. - Ja na przykład nie umiem i nie chcę zamienić swojego na żadne inne. To co mi radzisz?

Znów zbliżył się niebezpiecznie do zakazanego tematu. Ale czy aby na pewno? Przecież odkąd pojawiła się ta Ewka... Przez chwilę żałowałam, że nie powiedział nic więcej. Wzruszyłam ramionami i uciekłam w bezpieczne rejony.

- Co prawda Gryta też zawinił, bo po co podtrzymywał w niej tę nadzieję? Żeby była bardziej wydajna w pracy dla niego czy co? Dostał za swoje i chyba coś do niego dotarło, skoro zdecydował się utrzymywać sobowtóra Gruzina. Do niczego mu się nie przyda taki koń, tylko wciąż będzie przypominał tę dziwną historię...

To ostatnie, co zapamiętałam. Usnęłam w aucie i wi-
dać spałam tak twardo, że nie czułam, kiedy dojechali-
śmy do celu i ktoś przeniósł mnie aż tutaj.

Zza ściany dolatują zduszone głosy, jakieś przeko-
marzania i wygłupy, a potem wzajemne uciszanie.

- Bo obudzisz Broszkę - upominają się na zmianę
Mariolka z Serafinem, ale każda próba uspokojenia
kończy się wybuchem jeszcze większej wesołości. Nie
wytrzymam, żeby nie zajrzeć do pokoju współlokator-
ki przez otwarte drzwi. Siedzą pod kocem na kanapie
przed telewizorem. Na ławie nasz nieśmiertelny sernik
ze świąt, którego nikt już chyba nie dokończy. Obok
świeże ciasta ze sklepu. Pod ścianami porozstawiane
zgrzewki napojów, całe pudła jedzenia i stopy najnow-
szych gazet. Na mój widok oboje milkną jak dzieciaki
przyłapano na psocie i na chwilę zapada krępująca ci-
sza. Ale nie na długo.

- Czy coś przespałam? - udaje mi się wreszcie prze-
bić przez bezładną relację na dwa głosy. Wskazuję na
osobliwą kolekcję słodczy i wszelkich dóbr kuchen-
nych. - No i te czekoladowe aniołki z mikołajami
u mnie...

- Przepraszam, nie było już gdzie układać tego
wszystkiego. Ktoś się włamał do „Spożywczaka” w no-
cy, kiedy bawiliśmy się na balu. Tak cicho, że nikt nic
nie słyszał. Rozpracowali zamek i pustą kasetkę na
pieniądze, wynieśli cały alkohol. Ale co tam, warto
było - mówi rozpromieniona Mariolka, zwykle taka
oszczędna, a dziś dziwnie mało przejęta stratami. Sera-
fin obejmuje ją i wpada w słowo, opisuje ze szczegó-
łami poranną akcję ratunkową tego, co zostawili zło-

dzieje. Nieśmiałość, która zwykle dopadała go w tym domu, znikła chyba bezpowrotnie.

Uśmiecham się do nich, ale nagle robi mi się wcale nie do śmiechu, bo słyszę z kuchni, że Kuba i Ewka w najlepsze bawią się robieniem obiadu. Tak dobrze się dogadują, to samo poczucie humoru i w ogóle... jedna wielka chała! Widać wybrali się razem na ten bal, przecież Gryta kazał kaskaderom przyjść, żeby było normalnie, wesoło i żeby nikt nie podejrzewał, że coś mogło pójść nie po jego myśli... No więc Kuba poszedł z nią i dobrze im tam było, a ja tu sama jedna... i jeszcze ci włamywacze na dole. Przecież mogli wejść na piętro, przstraszyć mnie, mogło mi się coś stać i nikt by mnie nie obronił... Ale sama sobie jestem winna, trzeba było wcześniej się obudzić, Boże, jak ja mogłam tego nie wiedzieć, przecież czułam to od dawna... Nie, teraz to już jest...

- Nie cieszysz się? - na twarzy Mariolki zawód, na mojej chyba popłoch. Co to, czyta mi w myślach?

- Zejdź ty w końcu na ziemię - śmieje się Serafin. Nie wiem, czy mówi to do mnie, czy do niej, i mocniej przytuła się do Mariolki. Oni też się tam śmieją, ale dobra, widać tak ma być. Ale że ja dopiero teraz...

- Mówiłam, że może z tych moich patchworków coś w końcu wyjdzie. Na balu jedna aktorka z *M jak miłość* pochwaliła kieckę, którą miałam na sobie. To jej powiedziałam, że jestem projektantką, a co! Chce taką samą, dałam jej swój numer telefonu i od niej też wzięłam na wszelki wypadek, bo jeszcze zapomni zadzwonić, to będę mogła się odezwać. Wiecie co, ja chyba będę jeszcze robić kiedyś przy kostiumach...

Wyściskałam ją, bo zasłużyła, choć entuzjazm dla świata seriali trudniej było mi podzielić. W samą porę skończyła się moja własna przygoda z filmem, bo jeszcze trochę, a zawałiłabym studia.

- Nawet ta Rutkiewicz zajrzała na chwilę z Wegnerem, fotoreporterzy od razu się na nią rzucili, ale krótko była, żeby tylko się pokazać. Bledziutka taka, chudzina, ledwie dała radę się uśmiechać.

- Pewnie jutro ktoś napisze, że do tej pory leczyła w tajemnicy anoreksję i jeszcze nie doszła do siebie - wtrąciłam ze złością. Dobry ten Gryta, żeby nawet ją wyciągać ze szpitala i narażać dla zachowania pozorów! Ale że też go posłuchała i przyszła... Więc tym bardziej Kuba.

Mariolka westchnęła:

- Szkoda, że ciebie nie było. Ale padłaś jak zabita, żal było cię budzić.

- Wiesz, mała, głowę mam teraz jak supermarket, ale wiem jedno: zmęczyły mnie już te podboje i gotów jestem się ustatkować. To ci jeszcze powiem, że tylko Mariola i żadna inna!

Kuba i Ewka śmieją się w kuchni do rozpuku z jakiegoś swojego żartu.

- Zobaczymy, gwiazdo, jak wytrzeźwiejesz - udaję srogie kiwanie palcem i zaraz wycofuję się z pokoju. Zaschło mi w gardle i muszę iść do kuchni napić się wody. Ale już.

Zatrzymuję się w progu. Obierają ziemniaki. A Kuba odwraca się od razu, raczej wyczuwając moją obecność za plecami niż słysząc ciche kroki. Ten uśmiech, który tak lubią dziewczyny, rozświetla jego szaroziele-

ne tęczęwki, iskry porozumienia przeskakują nad kuchennym stołem od okna do drzwi i z powrotem. I wiem już, wiem z całą pewnością, że nigdzie nie poszedł. Że został tu ze mną, choć go o to nie prosiłam, żebym się nie bała, kiedy się obudzę w pustym domu po tym wszystkim, co przeżyłam u Zuzy Anny. Bo zawsze był w pobliżu, kiedy go potrzebowałam. I ja... A Ewka nadal się śmieje, w końcu widzę to wspaniałe koleżeństwo między nimi - takie, jakie jest naprawdę, i nie ma już we mnie żadnej zazdrości ani niepokoju. Czuję, że jestem blisko odkrycia czegoś ważnego, co z nią też się wiąże, czegoś o sobie i o życiu w ogóle...

- Patrzcie, zmieniają billboard! - wdziera się w myśli podekscytowany okrzyk Mariolki, która przypadkiem wyjrzała na balkon.

Wszyscy rzucamy się do okna. Na miejscu reklamy „polskiej herbaty o angielskim smaku” pojawiają się kolejne elementy nowej układanki. Już widać, że kolorowe kwadraty ułożą się w gigantyczny plakat *Niestrudzonych*. „Nowe odcinki już od Nowego Roku” zachęcają producenci. Powyżej komisarz pojedynkuje się z Diabłem, który odsłania przed nim twarz w scenie na stadionie. A w tle pojawia się jeszcze umundurowana Kasia Rutkiewicz na moim kasztanku. Drugi plan jest niewyraźny, zagadkowy, jakby aktorkę oddzielała od walczących o nią mężczyzn ściana deszczu albo mgła.

- A może to jest Broszka? - ryzykuje Mariolka, a Serafin z Ewką podchwytyją temat. Możliwe czy nie?

- Jak ty myślisz? - któreś w końcu postanawia mnie spytać, skoro sama nie zabieram głosu. Ale mnie jest wszystko jedno. Dochodzę do wniosku, że to w sumie

nieistotne, nawet jeśli to jestem ja. Bo chyba wreszcie znalazłam pointę do książki, którą Ewka chce o mnie napisać. Zaraz, jak to było? Miałam przecież na końcu języka... Kuba obejmuje mnie ramieniem i całuje w sam kącik uśmiechu. Już wiem, co chciałam pomyśleć. Że najważniejszą i najtrudniejszą rolą w życiu do odegrania dla każdego jest odróżnić prawdziwą miłość od jej dublerki.